ROZMOWA „DO RZECZY”

Grzegorz Braun o sposobach walki z napływem migrantów

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 27/636 30 CZERWCA–6 LIPCA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Zamach stanu Tuska? – analizują Semka i Ziemkiewicz

Fanatycy Zielonego Ładu nie zamierzają odpuścić – pisze Warzecha z Brukseli

Trump igra z ogniem

Kulisy tajemniczej operacji prezydenta USA i premiera Izraela

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER: „BAJECZNA CHORWACJA" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1463~~ ZŁ

496,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 967 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7bcb357858

Między wojną a mistyfikacją

PAWEŁ LISICKI

Kto wygrał wojnę Izraela z Iranem? Na to skądinąd proste pytanie bardzo trudno znaleźć równie jasną odpowiedź.

Po pierwsze, czy atak na Iran został przeprowadzony tylko na rozkaz premiera Izraela, Beniamina Netanjahu, czy też od początku o planach agresji wiedziały Stany Zjednoczone? Z pierwszej reakcji Marca Rubia, sekretarza stanu USA, wynikało, że wszystko dokonało się bez wiedzy i zgody Ameryki. Jednak niemal w tym samym czasie Donald Trump opublikował serię oświadczeń, z których wynikało coś całkiem odwrotnego: atak Izraela został przygotowany i przeprowadzony w pełnym porozumieniu ze Stanami Zjednoczonymi. W takiej sytuacji można uznać, że prowadzone jednocześnie przez USA z Iranem negocjacje, których celem miała być pełna kontrola nad irańskim programem nuklearnym, były jedynie zasłoną dymną. Chodziło o to, by irańskich negocjatorów zwieść, a następnie łatwiej zaatakować. To w dużym stopniu się udało: Izrael uderzył skutecznie w wielu irańskich dowódców wojskowych, a także w kilku najważniejszych naukowców, odpowiedzialnych za program nuklearny. Podstęp się powiódł.

Po drugie, o tym, że chodziło o wspólne przedsięwzięcie amerykańsko-izraelskie, zdawało się świadczyć amerykańskie bombardowanie trzech głównych irańskich ośrodków podejrzanych o pracę nad bronią atomową – w Natanz, Isfahanie i Fordo. Miało to miejsce tydzień po ataku Izraela, w nocy z soboty na niedzielę. Do tego momentu sprawa wydawała się jasna: operację antyirańską przygotowali wspólnie Izraelczycy z Amerykanami. Jej celem było – dokładnie to samo deklarowali prezydent Trump i premier Netanjahu – zniszczenie potencjalnego irańskiego zagrożenia nuklearnego oraz obalenie reżimu ajatollahów. Nikt nie postawił tej sprawy jaśniej niż prezydent USA, który ogłosił, że dąży do bezwarunkowej kapitulacji Teheranu i całkowitej eliminacji reżimu.

I w tym momencie zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Gdyby celem faktycznie było zniszczenie irańskiego programu nuklearnego, atak amerykański powinien być niespodziewany i masowy. Tymczasem informacje o operacji bombardowania – jakie samoloty wezmą w niej udział i w co uderzą – zostały podane na tyle wcześnie, że wszelkie potencjalnie niebezpieczne instalacje i substancje na pewno zostały z irańskich ośrodków przeniesione. Poza tym ledwo wielkie bomby spadły, a Amerykanie, na czele z prezydentem Trumpem, ogłosili wielki i niesłychany wręcz sukces. Skąd mogli o nim wiedzieć, nie mając dostępu do danych na temat stanu podziemnych umocnień? Na podstawie zdjęć satelitarnych nie sposób nic sensownego powiedzieć. Dlaczego Irańczycy zachowywali się w obliczu nalotu tak biernie? Ani same bombowce B-2, ani towarzysząca im flota nie zostały nawet ostrzelane. Podobnie osobliwy charakter miał „odwet" irański. Wprawdzie wystrzelono rakiety na bazy amerykańskie na Bliskim Wschodzie, ale tak, żeby nikogo nie skrzywdzić. O ataku wcześniej Amerykanów uprzedzono. Nic dziwnego, że przypominało to bardziej strzały na wiwat, a nie zemstę.

Nie mniej dziwny jest rezultat całej operacji, całkiem inny niż wcześniejsze deklaracje. W Iranie reżim nie tylko nie upadł, lecz także się wzmocnił. Teheran zadeklarował, że występuje z Międzynarodowej Agencji Atomistyki. Dostępne źródła wywiadowcze potwierdzają to, co podpowiadał zdrowy rozum: możliwości produkcji wzbogaconego uranu i broni atomowej wskutek amerykańskiego bombardowania wcale się nie zmniejszyły. A więc o co chodziło?

Sądzę, że początkowo Donald Trump faktycznie dał się przekonać premierowi Netanjahu, że Izrael jest w stanie przygotować miażdżące uderzenie, którego skutkiem będzie upadek islamskiej republiki. Dlatego przez kilka pierwszych dni ogarnął go entuzjazm i gotów był przyznać się do współautorstwa operacji. Jednak szybko zorientował się, że jego wielki żydowski przyjaciel pakuje go w coraz większą kabałę. Iran otrząsnął się po pierwszym ciosie i zaczął skutecznie ostrzeliwać cele w Izraelu. Magiczna „Żelazna Kopuła" okazała się dziurawa. Coś, co miało być szybką i chirurgiczną operacją zmiany reżimu w Iranie, zaczęło się zmieniać w koszmar.

Dalsza eskalacja – a więc wysłanie do Iranu wojsk lądowych – w ogóle nie wchodziła w grę. Trump zderzył się też z bardzo ostrą krytyką swojego własnego zaplecza politycznego: wielu najważniejszych publicystów MAGA zaczęło wskazywać, że stał się on narzędziem globalistów i neokonserwatystów. Dlatego prezydent USA nagle porzucił strój jastrzębia i przedzierzgnął się znowu w gołąbka pokoju. Bombardowanie Iranu było zasłoną dymną, która pozwoliła Waszyngtonowi wyjść z twarzą z kryzysu. Trump mógł ogłosić własną wiktorię, a także pomógł wycofać się z nie do końca udanej operacji premierowi Izraela. W ten sposób to, co mogło stać się globalną tragedią, przekształciło się w farsę. Jednak żadna z istotnych przyczyn konfliktu nie została usunięta, a lekceważenie reguł prawa międzynarodowego – tak przez Izrael, jak USA – pokazuje, że czeka nas jeszcze wiele niespodzianek. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA
PODŻEGACZ CZY POKÓJ CZYNIĄCY?
Trump igra z ogniem

18 WITOLD REPETOWICZ
IRAN WYCHODZI Z WOJNY Z TARCZĄ

22 ROBERT BOGDAŃSKI
KALKULACJE PUTINA

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
TUSK CORAZ CZĘŚCIEJ CHYBIA
Premier w potrzasku

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BUKARESZT NAD WISŁĄ? SERIO?

28 ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM
POLACY NIE BĘDĄ PŁACIĆ ZA POLITYKĘ NETANJAHU

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
POMNIKI W SKALI MAKRO

WYDARZENIE

34 RADOSŁAW WOJTAS
POLAK W KOSMOSIE
Misja na ISS

KULTURA

38 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
DRAMAT W POLSKIM KINIE
„Europejski model wspierania kultury filmu" nadchodzi!

40 PIOTR GOCIEK
PATOELITA, I KWITA

42 ROZMOWA Z RADOSŁAWEM PIWOWARSKIM
DEDYKACJA DLA KOBIET

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

48 ŁUKASZ WARZECHA
KLIMAT NA ZMIANY
Polityka klimatyczna UE pod ostrzałem

51 FILIP MEMCHES
CZY MAMY SIĘ JUŻ BAĆ NIEMIEC?

54 ROZMOWA Z CZESŁAWEM RYSZKĄ
KSIĄDZ BLACHNICKI JEST MĘCZENNIKIEM

HISTORIA

56 ŁUKASZ CZARNECKI
DŁUGA WOJNA PORUCZNIKA ONODY
29 lat w filipińskiej dżungli

59 GRZEGORZ MAJCHRZAK
PRZEŁAMANIE BARIERY STRACHU

ŚWIAT

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
W CO GRA „BAĆKA"
Dlaczego Łukaszenka uwolnił Cichanouskiego

67 JACEK PRZYBYLSKI
POCIĄG DO EUROPY

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI
NIEMIECKA MASZYNKA DO ROBIENIA PIENIĘDZY
Europejski przemysł zbrojeniowy

WAKACJE

76 CEZARY GMYZ
W OJCZYSTYM MIEŚCIE ADAMA MAŁYSZA
Tratwą po Wiśle

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (62), KOMUDA (63), PRZYBYLSKI (70), GABRYEL, WARZECHA (71), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 7bcb357858

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Tom Williams/Associated Press/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Wybory inteligencji plus

Określenie „inteligencja" oznaczało w Polsce przynależące do narodu polskiego środowiska ludzi wykształconych, aktywnych w różnych segmentach życia społecznego. Stanowiły one przywódcze części składowe społeczeństw polskich w okresie zaborów, zwłaszcza od drugiej połowy XIX w. i w okresie PRL, a więc w czasach unicestwionej lub ograniczonej możliwości samostanowienia Polaków w organizowaniu własnego państwa i życia społecznego.

Ważną rolą tej zróżnicowanej i niemającej jednolitej struktury organizacyjnej warstwy były niezależne od obcych lub narzuconych władz państwowych działania wspierające rozwój cywilizacyjny, kulturowy i gospodarczy pozbawionego wówczas podmiotowości narodu polskiego. Te rozproszone działania, także w kierunku budzenia ducha narodowego, współtworzyły podstawy do odzyskania niepodległości państwa polskiego.

We współczesnej Polsce wizje jej rozwoju można tworzyć i realizować w ramach systemu demokratycznego, w tym partyjnego. Najwięcej ludzi wykształconych wchodzi w skład klas średnich, w tym wyższej i niższej. Współtworzą oni różne środowiska polityczne. Jednej warstwy inteligenckiej, której można przypisać wyższość intelektualną nad resztą „nieoświeconego" społeczeństwa, już nie ma. Niektóre środowiska polityczne czy zawodowe nie zdają sobie z tego sprawy i pod swoją rzekomą inteligenckość w starym rozumieniu się podszywają. Na ogół są to wyborcy Platformy Obywatelskiej: dziennikarze kosmopolitycznych gazet, aktorzy filmowi i teatralni, artyści estradowi i kabaretowi. To środowisko „inteligentów", wymuszające konformizm wobec własnych opinii w swoim otoczeniu, akceptuje trywialne kłamstwa swoich przywódców, w stylu „100 konkretów", i nieetyczne działania wobec opozycji. Oprócz braku etosu honorowego można dostrzec brak ich propolskiej wizji rozwojowej i miałkość intelektualną. Nie ma wśród nich śladu poszlacheckiej proweniencji inteligentów minionych czasów. Niektóre wypowiedzi przedstawicieli tych elit, w tym aktorów i prawników, idące w sukurs interesom aktualnie rządzącej partii PO, budzą zażenowanie. W istocie szkodzą one interesom państwa, chociaż chętnie o nich mówią. Nasuwa się tu przysłowie: konia kują, żaba nogę nadstawia.

Pora zauważyć, że dzisiaj atrybuty starej inteligenckości łatwiej dostrzec w ugrupowaniach prawicowych, proniepodległościowych i demokratycznych, niż w „liberalnych" środowiskach PO i „Gazety Wyborczej". Elity te ciągle aspirują do wyższości intelektualnej nad resztą społeczeństwa, można je więc określać jako inteligencję plus, aby odróżnić je od pojęcia inteligencji w starym rozumieniu.

dr hab. Andrzej Przymeński, emerytowany profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu

eprasa.pl 7bcb357858

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zapomnieć o anonimowości

PIOTR SEMKA

Każdy, kto ma za sobą wizytę w USA, wie, że tamtejsze służby imigracyjne są bardzo obcesowe w przepytywaniu przybyszy na lotniskach i w portach Ameryki. Można zostać spytanym, czy przechodziło się choroby weneryczne, czy ma się w rodzinie terrorystę lub czy było się w jakiejś komunistycznej organizacji. Ale nawet ludzie zahartowani w kontaktach z US Citizenship and Immigration Service zaskoczył niedawny komunikat ambasady USA w Warszawie.

„Ze skutkiem natychmiastowym wszystkie osoby ubiegające się o wizę nieimigracyjną w celu podjęcia nauki w Stanach Zjednoczonych [...] powinny zmienić ustawienia prywatności swoich kont w mediach społecznościowych na publiczne" – czytamy w komunikacie z 24 czerwca. „Ma to na celu ułatwienie procedur weryfikacyjnych niezbędnych do potwierdzenia tożsamości i oceny dopuszczalności wjazdu do Stanów Zjednoczonych zgodnie z przepisami prawa USA" – głosi zarządzenie. „W szczególności konieczne jest wskazanie w formularzu DS-160 nazw użytkownika (tzw. handles) ze wszystkich platform społecznościowych używanych w ciągu ostatnich pięciu lat" – informuje ambasada.

Przedstawiciele amerykańskich służb konsularnych będą sprawdzać wnioskujących pod kątem działań, wpisów i wiadomości, świadczących o „wrogości względem obywateli, kultury, rządu, instytucji albo zasad leżących u podstaw USA". Wnioski osób, które nie udostępnią do wglądu swoich kont w mediach społecznościowych, mogą być odrzucone.

Ostre żądanie ujawnienia wszystkich swoich dawnych i obecnych nicków oburzy zapewne wielu polskich użytkowników portali. „Mam prawo do anonimowości czy nie?!" – zakrzyknie pewnie niejeden naukowiec przekonany, że samo skierowanie go do wymiany z USA oznaczało zatwierdzony wyjazd. Pewnie usłyszymy o oburzeniu i powoływaniu się na prawa człowieka.

Tyle że to Amerykanie decydują, kogo wpuszczą, a kogo nie. Waszyngton zaś w epoce Donalda Trumpa, zadzierający ostatnio ze światem arabskim i komunistycznymi Chinami naraz, nie ma ochoty wpuszczać potencjalnych wrogów na swe terytorium. Zbyt wielu z nich już uzyskało obywatelstwo kraju gwiaździstego sztandaru. A zbadanie internetowych kont danego kandydata do wizy to dobry sposób na sprawdzenie jego poglądów i sympatii.

Milton Friedman przypomniał niegdyś roszczeniowym pokoleniom lat 70., że nie ma darmowych obiadów – zawsze ktoś musi za nie płacić. Teraz Ameryka przypomina osobom, które chcą zawitać pod jej dach, że nie ma uniwersalnego prawa do zachowania anonimowości w sieci. A jak komuś się to nie podoba – zawsze może z wyjazdu za wielką wodę zrezygnować. I właśnie na tym polega suwerenność.

Wiem, że brzmi to coraz egzotyczniej w krainie, gdzie niemiecka policja wyrzuca za Odrę, kogo tylko zechce. ©℗

FOT. PRZEMYSŁAW KELER/KPRP

PIOTR SEMKA ODZNACZONY PRZEZ PREZYDENTA

Piotr Semka został odznaczony przez prezydenta RP Andrzeja Dudę Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Publicystę „Do Rzeczy" uhonorowano „za wybitne osiągnięcia w podejmowanej z pożytkiem dla kraju działalności zawodowej i społecznej, za zasługi dla wolnej Polski". To drugie odznaczenie nadane Piotrowi Semce przez prezydenta, w 2019 r. odebrał Krzyż Wolności i Solidarności. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 7bcb357858

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Liczenie szparagów

Posłanka Polski 2050, Izabela Bodnar, pochwaliła się złożeniem w Sejmie popartego podpisami 25 tys. obywateli projektu, który ma „ułatwić życie polskim uczniom". Chodzi – ni mniej, ni więcej – tylko o odstąpienie przez państwo od obowiązkowej matury z matematyki. Ciekawa jest argumentacja. Nie, że np. wobec postępu technologicznego znajomość matematyki przestała być potrzebna, bo każdy ma w komórce kalkulator i „groka" albo inną sztuczną inteligencję, której może zapytać. Nawet nie to, że matematyka jest z gruntu „wykluczająca" i tym samym rasistowska, nie dopuszczając (przynajmniej na razie) żadnej „pozytywnej dyskryminacji" w obliczeniach dokonywanych z pozycji feministycznych bądź niebinarnych. Argumentacja jest prosta: matematyka jest trudna. Przez to, że jest trudna, wielu uczniów nie potrafi jej opanować. Przez to, że nie potrafią jej opanować, są zestresowani.

Kto mądry, ten powiedziałby, że jeśli w kolejnych latach wyniki matur z matematyki są coraz gorsze, to coś jest nie tak nie z matematyką, tylko ze szkołą. Może program jest źle skonstruowany, może nauczyciele nieprzygotowani. Ale mądrość dawno już nie ma w polskim systemie edukacji (i nie tylko tam) prawa obywatelstwa. Pani „ministra" Nowacka uczyniła wszak swym sztandarowym projektem zakaz zadawania prac domowych, a zupełnie niedawno, chcąc pomóc koalicyjnemu kandydatowi ma prezydenta, zaproponowała, by uczniowie sami wybierali sobie dyrektorów szkół. No to koalicjantka z rozpadającej się Trzeciej Drogi postanowiła ją przelicytować: Matury wypadają słabo i coraz słabiej? To je zlikwidujmy.

Świetnie, tylko dlaczego ograniczać się do matematyki? Nadal pozostanie wiele nudnych przedmiotów, które tylko stresują dzieci. „Język polski" (na co on przyszłym Europejczykom?), historia (jw.), biologia (wystarczy im wiedzieć, że płci jest więcej niż dwie). Młode polactwo powinno znać zasady „inkluzywności", umieć obsłużyć prezerwatywę („edukacja zdrowotna") i policzyć dzienną normę zbioru szparagów. Po co więcej? ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Trochę powagi

Grzegorz Braun rzucił hasło: „Teheran-Warszawa – wspólna sprawa". Przywódców politycznych trzeba traktować serio. Hasła też, bo – jak wiadomo – czasami nawet niepoważne mogą mieć poważne konsekwencje. Próbuję więc zrozumieć, co jest tą wspólną sprawą. Skala prac nad irańską bombą atomową jest kwestią sporną, ale irańska negacja żydowskiej państwowości już nie. Poseł Braun też, w Parlamencie Europejskim i w kraju, mówił o „przeniesieniu" państwa żydowskiego na drugą półkulę. Więc może to ma być ta wspólna sprawa? I czyja? Polski czy jakiejś antyizraelskiej międzynarodówki?

Wojna Izraela i Iranu to dramatyczny problem. W wymiarze ludzkim dla dotkniętych nią narodów, a także dla Polski, ze względu na to, co nam może przynieść kryzys międzynarodowego bezpieczeństwa. Przecież z natury jest ono systemem naczyń połączonych. Zagrożeni ze wschodu potrzebujemy Ameryki zdolnej do powstrzymywania Rosji. Tymczasem zaabsorbowanie Amerykanów na Bliskim i Dalekim Wschodzie może radykalnie ograniczyć ich zdolności działania i w ogóle zainteresowanie sprawami Europy Środkowej. Solidarność Stanów Zjednoczonych z Izraelem jest zaś po prostu faktem, niezależnym od zmieniających się tam rządów. Już dziś widzimy, jak na tle bliskowschodniej wojny obrona niepodległości Ukrainy schodzi na drugi plan.

My zaś w gruncie rzeczy mamy ten sam interes i na Bliskim Wschodzie, i w Azji Wschodniej, i oczywiście na Ukrainie. Jest nim po prostu pokój, zachowanie i utrwalenie porządku międzynarodowego, dzięki któremu niepodległość Polski stała się możliwa. Jeśli przełożyć to na hasło w trakcie przerwanej wojny, to mogłoby brzmieć „Jerozolima-Teheran-Warszawa – wspólna sprawa". Ale to chyba jednak za długie i zbyt skomplikowane jak dla prostych potrzeb, które swą aktywnością chce zaspokajać Grzegorz Braun. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O dialogu i integracji

Ostatniej jesieni z Włoch wydalony został imam Bolonii Zulfiqar Khan. Włoskie MSW uznało, że zagraża bezpieczeństwu narodowemu. W kazaniach wielbił męczeństwo islamskich terrorystów samobójców, a przy okazji bojowców Hamasu. Prosił Allaha, by unicestwił Włochy, Stany Zjednoczone, Francję, Niemcy i Wielką Brytanię za to, że wspierają „nieczystych syjonistów". Mało tego. Namawiał włoskich muzułmanów, by w proteście nie płacili podatków.

Przybył następca z Pakistanu, Omar Mamdouh. Najpierw na TikToku, na kanale o nazwie „Prawdziwy islam", puszczał (i puszcza nadal) nagrane kazania swego poprzednika, a potem sam przystąpił do nauczania. Tuż przed Bożym Narodzeniem tłumaczył, że muzułmanie nie mogą z tej okazji składać życzeń chrześcijanom, bo ci są bluźniercami. Twierdzą, że Allah miał syna. Potem zajął się obyczajowością. Pouczał, że islam nie zna pojęcia „feminizm", a zgodnie z islamskimi zasadami obcy mężczyzna nie może rozmawiać z kobietą i odwrotnie, poza przypadkami wyższej konieczności. Na przykład gdy islamska kobieta musi spytać kierowcę autobusu, gdzie wysiąść. Ale już żartować z nim nie może. Homoseksualizm nazwał chorobą, którą należy leczyć. Duchowny ma 180 tys. entuzjastów w Sieci.

O sprawie jest głośno w całej Bolonii, niejako stolicy włoskiej lewicy, która rządzi tam od 80 lat. W mieście kotłuje się od kolektywów i organizacji walczących o prawa pań, a także stowarzyszeń LGBTQUI. Reakcja? Zero. Zapewne dlatego, że mogłoby to uderzyć w powszechny w Bolonii kult św. Migranta.

Na koniec na drugą nogę. W Sorrento w dzielnicy Mortora ks. Rito Maresca odprawił uroczystą Mszę w święto Bożego Ciała we wdzianku w barwach palestyńskiej flagi, nałożonym na szaty liturgiczne. W homilii mówił o niewinnych ofiarach wojny. Potępił Izrael i Stany Zjednoczone. O wojnie na Ukrainie nawet się nie zająknął.

W Italii mówi się o niej coraz mniej, a szajbolewica nie chce wydatków na obronność. Chce znów kupować gaz od Rosji. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 7bcb357858

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

MŁODZI ŹLI, KOALICJANCI TEŻ

Nie widać końca powyborczych analiz, które serwują nam gwiazdy większe i mniejsze. Do rozkładania na czynniki pierwsze przyczyn przegranej Rafała Trzaskowskiego wziął się tym razem Daniel Olbrychski. Winni? Ludzie młodzi. – Zdaje się, że wczoraj czy przedwczoraj ktoś w „Szkiełku" [najprawdopodobniej chodzi o program „Szkło kontaktowe" w TVN24 – przyp. red.] rzucił fantastyczne określenie, że to młode pokolenie fatalnie głosuje i fatalnie gra w piłkę nożną. Doczekaliśmy się takiego dziwnego pokolenia – stwierdził gorzko „Kmicic". Kontynuując oburzenie na młodych, Olbrychski powiedział, że niewłaściwe wybory „idą z niedostatku analizy". – Przecież głosując 15 października, tak wspaniale i masowo, teraz kompletnie inaczej, w dużym stopniu, ci młodzi ludzie nie zrozumieli, że głosują sami przeciwko swojemu wyborowi z 15 października – wskazał aktor w TVP Info. Na tym Olbrychski nie poprzestał. Gwiazdor jest także zniesmaczony postawą koalicjantów. Uważa, że przed pierwszą turą niedostatecznie wspierali kandydaturę Rafała Trzaskowskiego. – Odnosiłem wrażenie, i nie tylko ja, że pierwsza tura to był mecz: Rafał Trzaskowski kontra reszta świata. Koalicjanci w imię swoich wybujałych ambicji głównie napadali na Rafała, który musiał się bardzo kulturalnie wywijać i robił to dobrze, ale nie było wsparcia – mówił. Daniel Olbrychski poinformował, że zdecydował się na złożenie protestu wyborczego, bo jego zdaniem wyniki wyborów mogą być inne, niż podała oficjalnie PKW.

FOT. FOTON/PAP

ZBYT SZPETNI DLA DEMOKRACJI

W wywiadzie udzielonym Dorocie Wysockiej-Schnepf aktor wrócił do wyborów prezydenckich z roku 2015. Jak stwierdził, na kandydata PiS głosowali m.in. faszyści oraz „ludzie szpetni". – Niewątpliwie marsz w kierunku pięknym, właściwym i pożytecznym dla Polski będzie hamowany. Dziesięć lat temu Andrzej Duda wygrał minimalnie i chodzi mi po głowie, że wygrał głosami polskich faszystów, ponieważ zarzucił panu Komorowskiemu, że nie jest patriotą, przepraszając za Jedwabne. Ten haniebny zarzut spowodował, jak przypuszczam, gremialne głosowanie bardzo brzydkich, szpetnych ludzi na niego, polskich nacjonalistów i faszystów – powiedział Daniel Olbrychski. Problem w tym, że z nimi wszystkimi sam Donald Tusk nie wygra. – Brakuje fighterów. Sam Donald Tusk nie udźwignie tego, ale dźwiga wspaniale – podsumował. Ach, ci tolerancyjni oświeceni! Szacunek dla myślących inaczej aż kipi.

KIEPSKI LIFT

À propos szpetoty. Blanka Lipińska przesadziła z operacjami plastycznymi. Niedawno pisarka przeszła lifting twarzy. W czasie zabiegu wyszło na jaw, że wcześniej wykonano bez jej zgody inny zabieg, który przyniósł przykre powikłania. Lekarz usunął z mięśni stały wypełniacz, którego istnienia celebrytka nie była świadoma. Tymczasem Blania zapewnia, że nigdy nie zgadzała się na stałe wypełniacze, wybierając „lżejsze". Dodatkowo poprzedni zabieg został wykonany błędnie. W konsekwencji celebrytka straciła czucie w niektórych partiach twarzy. O szczegółach opowiedziała na Instagramie. – Powikłania mam od tego, co profesor znalazł pod skórą, kiedy mnie otworzył. Jest coś takiego jak hydroksyapatyt. Jedna pani doktor, która ma się za wybitnego specjalistę, mimo braku mojej zgody wstrzyknęła mi to i zrobiła to źle! Zamiast podskórnie, podała mi to w mięśnie – zaczęła. – Profesor wydłubał tyle, ile mógł. Części nie mógł, bo było za blisko nerwów. To powoduje nierówności, które widać np. na wywiadach, jak światło zaświeci tak, że je uwydatnia (dlatego na insta używam filtrów, bo ciągle bym miała pytania „co ci się stało?". Nic! Goję się!). To powoduje obrzęki. To spowodowało, że ten lift nie wygląda tak, jak chciałabym tego ja czy profesor – wyznała. Lipińska podkreśla, że chce, aby jej przykład ustrzegł innych przed tym, co może ich spotkać w klinikach medycyny estetycznej. – Wiecie, co jest najgorsze? Kiedy lekarz robi wam medycynę estetyczną, a dokładnie wypełniacze, on działa na ślepo! [...] Renoma kliniki i ego lekarza nie daje wam gwarancji. Czy wyciągnę konsekwencje prawne w stosunku do tej pani doktor? Oczywiście! Mój prawnik już wysłał pismo – oznajmiła.

RATUNEK DLA PLANETY

Blania jest w „medialnym gazie" i komentuje, co się da, nie tylko swoje problemy natury estetycznej. Lipińska opublikowała oświadczenie dotyczące posiadania dzieci. Celebrytkę denerwują ciągłe pytania o potomstwo. „Jak nie chcesz być rodzicem, to nie bądź! To Twoje życie i NIKT (rodzice, dziadkowie, społeczeństwo) nie ma prawa decydować za Ciebie! Nikt nie ma prawa pytać Cię: DLACZEGO?! A Ty nie masz obowiązku się tłumaczyć! Czy oni za Ciebie wychowają to dziecko? Utrzymają? Będą borykać się z problemami? Czy to ich życie się zmieni? NIE! A jeśli usłyszysz, że gdyby każdy tak myślał, to gatunek ludzki by wymarł. No cóż... Dla planety to nawet byłoby lepiej. Ziemia jest przeludniona, a ten gatunek staje się coraz głupszy i destrukcyjny... Żadna strata" – stwierdziła. Gatunek staje się coraz głupszy – powiada pani Blania. Ciekawe... ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w całym ten kraju da się odczuwać wyraźną ekscytację, ponieważ polski astronauta poleciał do kosmosu. Z niepokojem obserwujemy nasilające się występowanie zjawiska tzw. dumy narodowej, która – rzecz jasna – jest fenomenem niebezpiecznym, iż im wyższe poczucie dumy narodowej, tym większe ryzyko pobudzenia demonów polskiego patriotyzmu.

A spróbujmy się sprawie przyjrzeć przez chwilę tak, jak najbardziej lubimy, czyli krytycznie. I zobaczmy, czy naprawdę jest tak czym się podniecać.

Po pierwsze – okazuje się, iż polski astronauta leci w ramach komercyjnej misji z firmy Elona Muska. Nooo więc sami wiecie, nie możemy tego pochwalać, iż Musk to fashysta i neoliberał w jednej, odstręczającej osobie.

Po drugie – no kaman, dostać się do tego, iżby polecieć w kosmos, to może i jest wyzwanie, bo konkurencja itd. Więc OK, trzeba było pewnie odstawić jakąś konkurencję. Natomiast sama faza końcowa, a więc lot w kosmos – no dobra, jaka to sztuka, dać się zapakować w skafander, potem do tego statku kosmicznego, czy jak się to fachowo nazywa, i w zasadzie tyle.

Po trzecie – kosmos jest eksplorowany od jakichś 60 lat, a 60 lat to dużo. Czyli sama branża jest dość stara. Wygląda więc na to, że angażujemy się w jakieś przestarzałe przedsięwzięcia, które niedługo pewnie stracą na znaczeniu, zwłaszcza że krajobraz technologiczny zmienia się bardzo szybko, a my tu inwestujemy zasoby w coś, co jest w wieku przeciętnego wyborcy pisu.

Jak więc widzicie, nie możemy dać się porwać narodowej mitotwórczej narracji, ale na spokojnie ją punktować, mocno trzymając się rzeczywistości i przemawiać językiem faktów, choćby był językiem nieprzyjemnym.

Walka trwa, ale oni już są wielcy. Dobrze wiecie, o kim mowa – o bohaterach czasu powyborczego, a więc Romanie Giertychu i Tomaszu Lisie.

W czasie, kiedy inni milczą, oni mają odwagę głośno bronić demokracji. W czasie, kiedy – zdawać by się mogło – poważni politycy, i to w obozie rządowym, z pokorą przyjmują wyniki sfałszowanych wyborów, oni tweetują (czy tam xują) i nawołują do tego, iżby w ramach demokratycznych procedur zastosować możliwe środki prawne, iżby zapanowała praworządność.

Szczerze powiemy, iż jest nam wstyd, że nie mamy w sobie nawet 10 proc. tej siły, wytrwałości i woli walki, co Tomasz z Romanem. Widzą, iż złe języki będą kąsać, iż wrogowie będą się natrząsać, ale nieprzejednani obrońcy prawdy stoją tam, gdzie dziś stać należy.

Ze swojej strony deklarujemy daleko idące poparcie wyrażone w: polubieniu tweetów (czy tam xów), podawaniu ich dalej, życzliwym i uważnym obserwowaniu postępów w walce z oszustwami wyborczymi. Giertych niedawno zdemaskował, iż komisje wyborcze zostały opanowane przez Rodaków Kamratów Olszańskiego. Czekamy z niecierpliwością na kolejne demaskatorskie rewelacje i będziemy Was na bieżąco informować, jak przesuwa się front walki o ważność wyborów. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Odczepcie się ode mnie!

Rafał, słyszałeś Romana? On ma teraz koncepcję, że to „Jaszczur" i „Ludwiczek" skręcili wybory!
Że kto? Sławek, o czym ty gadasz?

Nie znasz „Jaszczura"? No, ten wariat taki, o Żydach ciągle mówi.
To tylko Brauna znam z takich. Daj mi spokój z Romanem!

Ale słuchaj, może jeszcze się uda! Jak dadzą głosy do przeliczenia policjantom i naszym sędziom...
Ja nie chcę żadnego przeliczania, żadnego „Jaszczura" i żadnych sędziów. Ja chcę sobie już tylko spokojnie zwężać ulice.

Co ty? Jak to?!
Tak to. Odczepcie się wszyscy ode mnie. Ja już mam plan, jak zlikwidować kolejne tysiąc miejsc parkingowych i gdzieś mam żyrandol w pałacu.

A ja?! A co ze mną?!
Możesz jakimś klubem sportowym pokierować. Tęcza na przykład. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wiem, trudno znaleźć legalne i skuteczne sposoby działania w tym ustrojowym bałaganie, jaki odziedziczyliśmy po PiS".

DONALD TUSK, *premier RP, na platformie X, z apelem do liderów koalicji rządowej o to, żeby się zachowali „przyzwoicie" w chwili „poważnej próby"*

eprasa.pl 7bcb357858

To, co najpiękniejsze. Otóż po wyborach prezydenckich Przemysław Czarnek zmienił dzwonek do telefonu. Obecnie jak ktoś do niego dzwoni, wszyscy słyszą nieśmiertelną kwestię Rafała Trzaskowskiego – „coście tacy smutni, hej, brygada, uśmiechnijcie się". Nas to bawi.

W sprawie przyszłości Czarnka jest w partii dwugłos. Jedni uważają, że jak pójdzie do Kancelarii Prezydenta Karola Tadeusza, to będzie tam nabierał sznytu premierowskiego, by stanąć w przyszłości na czele rządu koalicyjnego. Drudzy uważają, że Przemysław pilnie potrzebny jest w PiS tu, teraz i dziś oraz na przyszłość, najlepiej w formie nowego prezesa. Jako że jesteśmy po kongresie PiS, to sami wiecie, jak wyszło.

Ciekawa sprawa – do niedawna mówiło się w PiS, że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński najchętniej powierzyłby w przyszłości tekę premiera ponownie Mateuszowi. Jednak aktualnie relacje między nimi są dość chłodne i podobno prezes wolałby Czarnka. Przyczyną ochłodzenia jest nie tylko budowanie własnej frakcji, lecz także kampania prezydencka. Niżej wyjaśniamy, o co chodzi.

Otóż było tak. Szeregowy poseł Kaczyński dysponował badaniami, z których wynikało, że były premier Mateusz cieszy się aktualnie znikomą popularnością w elektoratach, szczególnie Mentzena i Brauna. Chciał zatem Morawieckiego na czas kampanii Karola Tadeusza schować. Tymczasem pracoholik Morawiecki chciał wszędzie być i wszędzie jeździć za Karolem. Złośliwe wiewiórki twierdzą, że marzą mu się z elektem tak dobre relacje, jak miał z ustępującym Andrzejem Sebastianem. Wątpimy jednak, czy jest to możliwe.

Nie wszyscy w PiS chcą się zaprzyjaźniać z elektem Karolem Tadeuszem. Niektórzy już czekają, aż zrobi coś, za co będzie można z nim ostro jechać i wyzywać go od zdrajców. Na przykład gdyby już jako urzędujący prezydent ubił jakiś deal w rządem w sprawie ambasadorów – kilku moich w zamian za kilku waszych. Nie musimy dodawać, że podejście takie przejawiają ci wypróbowani towarzysze partyjni, którzy aktualnie chodzą do prezesa narzekać, że prezydent miał być nasz, pisowski, a tymczasem zerwał się ze smyczy.

Szłapka w swoim pierwszym filmiku jadł truskawkę i mroził ceny energii za jednym zamachem

Żeby dopełnić obrazu pokampanijnego, dodamy też, że niektórym członkom sztabu wyborczego ewidentnie lekko odbiło po wygranej kandydata Karola Tadeusza. I uważają, że są najlepszym sztabem na świecie. Dodamy więcej: najbardziej usilnie głoszą te opinie ci sami, którzy jeszcze na finiszu kampanii głosili, że sztab jest super, tylko kandydat jakiś mało lotny. Gratulujemy podejścia. Jak się chłopaki utwierdzą w takim przekonaniu, to po następnych wyborach parlamentarnych PiS będzie junior partnerem Konfederacji.

Konfederacja tymczasem ma problem obfitości. Otóż po dobrym wyniku Mentzena w szeregi partii chce wstąpić coraz więcej ludzi. Może chodzić nawet o kilkanaście tysięcy. Deklaracje jednak nie są rozpatrywane w oszałamiającym tempie. Rzecz w tym, że obecni liderzy obawiają się nowych potencjalnych kandydatów na liderów. Podobny problem ma Grzegorz Braun. Zgłosiło się do niego więcej chętnych, niż liczy obecnie Konfederacja Korony Polskiej. I teraz niespodzianka. Braun jest, co

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

prawda, otwarty na nowych, bo teraz jego ugrupowanie mieści się całe w jednej dużej windzie towarowej. Polecił jednak, żeby uważać na tzw. pokemonów, czyli na kompletnych świrów. Braun, rozumiecie?

Swoją drogą, posłuch to Braun ma. Jak w Bełchatowie na kongresie KKP przyszło do głosowania, kto ma być szefem, to Grzegorz Braun w głosowaniu tajnym wybrany został jednomyślnie. Zdaje się, że chyba jedna osoba wstrzymała się od głosu. Domyślamy się, że mógł to być sam Braun.

W Peezelu po pożegnaniu z Hołownią trwa przegrupowanie. Partyjnej opozycji przewodzą Marek Sawicki i Waldemar Pawlak. Cisną na Władka Kosiniaka-Kamasza, żeby nacisnął na Tuska w sprawie rekonstrukcji. A konkretnie żeby skłonił Tuska, by ten zrekonstruował sam siebie i na czele rządu postawił Władka. Władek wije się jak piskorz. I chciałby, i boi się. Ale chyba bardziej się boi. W tej sytuacji może dojść do tzw. małej rekonstrukcji. A mianowicie zrekonstruowania Władka na fotelu prezesa PSL, a co za tym idzie – na stołku ministra obrony narodowej. Co ciekawe, peezelowskie Brutusy gadają po kątach, że ankieta, w której 70 proc. chłopów opowiedziało się za pozostaniem w koalicji, to lipa, a ankieta została sfałszowana. Tak naprawdę jest pół na pół.

Z pewną taką nieśmiałością przyznajemy: w wyścigu do fotela rzecznika rządu trzymaliśmy kciuki za Adama Szłapkę. A to dlatego, że dawna gwiazda Nowoczesnej Kropki Ryszarda Petru jest nam nieco znana. Jego nieznośna proeuropejskość, pogarda dla tzw. ciemnoty pisowskiej oraz geremkopodobna wyższość moralna czynią go rzecznikiem idealnym. No i stało się, mieliśmy rację: teraz jest tak, jakbyśmy mieli zamiast jednego Tuska w rządzie dwóch Tusków, tylko ten młodszy jest jeszcze mniej mądry i jeszcze bardziej irytujący.

Szłapka nie zawiódł. W swoim pierwszym filmiku nowy rzecznik rządu jadł truskawkę i mroził ceny energii za jednym zamachem. Był to najbardziej żenujący film od czasów Jacka Protasiewicza smażącego jajecznicę na szynce parmeńskiej. Czekamy na więcej, jest jeszcze do pobicia seria filmików Marianny Schreiber.

W związku z lotem kolejnego Polaka w Kosmos (pamiętajcie, każdy, kto nie jest pierwszy, jest już tylko kolejny), podajemy interpretacje dla obu stron politycznego sporu. Najpierw dla opozycji: skoro muskonauta Uznański-Wiśniewski zabrał z Ziemi cząstkę każdego z nas (a tak mówi), to znaczy, że zabrał też cząstki wyborców PiS oraz obu Konf, oraz generalnie Nawrockiego. Co oznacza, że prawica polska podbiła Kosmos. Gratulujemy, zwłaszcza że naszych cząstek musiało być więcej. Jak w wyborach.

Tatuś zdał sobie sprawę, że liczne deficyty córki nie mogą być zasypane największą nawet kasą. I teraz rodzi się nowy pomysł, a mianowicie by wylansować jej męża muskonautę na fotel głowy państwa. Sławosza lubimy, bo chłopak sympatyczny, ale pomysł wydaje się z kosmosu.

Nasze wiewiórki wypatrzyły w okolicach ul. Inflanckiej byłego rektora Collegium Humanum. Otóż Paweł Cz. wygląda rewelacyjnie i ma w tej okolicy swojego fryzjera, który co tydzień poprawia mu fryz. Nie wiemy natomiast, gdzie złapał taką opaleniznę, bo ma zakaz opuszczania kraju. Wiemy natomiast, że warszawskie środowiska niewyautowanych gejów są przerażone.

Do niedawna mówiło się w PiS, że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński najchętniej powierzyłby w przyszłości tekę premiera ponownie Mateuszowi. Jednak aktualnie relacje między nimi są dość chłodne i podobno prezes wolałby Czarnka

Teraz interpretacja dla silnych razem i ogólnie strony rządowej: nie udało się zrealizować haseł: „Żydzi na Madagaskar" i „Księża na Księżyc". Udało się natomiast Złemu Donaldowi z Sopotu wykopanie PiS na orbitę (gdyż skoro muskonauta Uznański-Wiśniewski zabrał z Ziemi cząstkę każdego z nas, to znaczy, że zabrał też cząstki wyborców PiS itp., itd., patrz: wcześniejszy wywód). Gratulujemy. Co teraz wywali w Kosmos Tusk i dlaczego będą to finanse publiczne?

Apropos – Zły Donald z Sopotu ogłosił, że lot Uznańskiego-Wiśniewskiego to wielki krok dla Polski. Nie wiedzieliśmy, że Elon Musk to Polska. Zapisujemy.

Kosmos ma swe konsekwencje polityczne. Jeszcze nie tak dawno w Łodzi szeptano, że tamtejszy milioner Radosław Wiśniewski, który wylansował swoją córkę na posła, chce za pięć lat wylansować tęże samą Aleksandrę Uznańską-Wiśniewską na fotel prezydencki. To już nieaktualne.

Otóż prokuratura bada ich związki z Cz., które podobno nie były platoniczne. A Cz. sypał w śledztwie na prawo i lewo. W szczególności przerażony jest pewien europoseł Platformy. A także spora część duchowieństwa, i to nie tylko katolickiego. Są wśród nich również biskupi, a nawet jeden kardynał. I to zagraniczny.

Skoro padło już słowo europoseł, to przenosimy się do Brukseli. Jak powszechnie wiadomo, Michał Dworczyk został jednogłośnie wiceszefem komisji bezpieczeństwa i obrony Parlamentu Europejskiego, co wprawiło w szok i niedowierzanie wszystkie antymorawieckie frakcje w PiS. Najciekawsze jednak jest to, jak doszło do wyboru. Otóż Dworczyk miał jakieś tam poparcie, ale były też wątpliwości, czy należy w niego inwestować, skoro obecny rząd w Warszawie chce zabrać mu immunitet i wsadzić do ciupy. Szalę przeważył list od byłego ministra obrony Ukrainy Ołeksija Reznikowa, który w swym piśmie przypomniał, ile dobrego Dworczyk zrobił, by pomóc Ukrainie w krytycznych momentach roku 2022. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

Podżegacz czy pokój czyniący?

Wojciech Golonka

Zasadnym i pierwszorzędnym pytaniem pozostaje kwestia tego, czy administracja Donalda Trumpa, która najwyraźniej spróbowała siłowo ugasić tlący się na Bliskim Wschodzie pożar, przyczyniła się najpierw do jego wzniecenia

W chwili, kiedy piszę ten artykuł, nastąpił spektakularny, przynajmniej tymczasowy zwrot w wojnie żydowsko-perskiej w postaci ogłoszenia przez prezydenta Donalda Trumpa zawieszania broni, na które – również przynajmniej chwilowo – przystały Izrael i Iran. Wprawdzie w ostatnim czasie dyplomacja i oficjalne deklaracje amerykańskiego rządu posłużyły Izraelowi i USA za fortele taktyczne w starciu z Iranem, znacznie nadwyrężając tym samym ich wiarygodność, niemniej uroczysty ton tej deklaracji rodzi pewną nadzieję na bardziej trwałe zaprzestanie działań wojennych i rzeczywiste rozmowy pokojowe. Czy tak rzeczywiście będzie, czy rozejm ten przetrwa machinacje twardogłowych po obu stronach, w szczególności – ale nie tylko! – ze strony Izraela, który otwarcie dąży do zmiany władz w Teheranie? Innymi słowy: Czy Donald Trump, który osobiście zaangażował się w to zawieszenie, obroni swój autorytet, okaże się bardziej skuteczny niż w swych dotychczasowych działaniach rozjemczych na Ukrainie? Przekonamy się o tym stosunkowo szybko.

Jakie miałyby być główne założenia tego hipotetycznego pokoju oraz czy miałby to być pokój sprawiedliwie uwzględniający całą złożoność sytuacji na Bliskim Wschodzie, w tym kwestię palestyńską? Oto pytanie otwarte, rodzące sceptycyzm, skierowane przede wszystkim do ekspertów, poddanych zresztą w ostatnich dniach bardzo mocnej próbie. Albowiem nawet z autentycznymi ekspertami, których wiedza jest bez wątpienia pożądana i przydatna, zachodzi problem chronicznego braku należytego dystansu do zajęcia przez nich klarownego i statecznego stanowiska. Wiąże się to w dużej mierze zarówno z naszą epoką powszechnej, bezpośredniej komunikacji cyfrowej, jak i z naszymi własnymi, aczkolwiek często zgubnymi dla prawdy oczekiwaniami natychmiastowych komentarzy umożliwiających nam rozeznanie się w rzeczywistości w chwili, gdy pozostaje ona nadal dynamiczna i wciąż głęboko spowita mgłą wojny – i tej fizycznej, i tej o charakterze dezinformacyjnym.

ZASADNICZE PYTANIA

W chwili zatem, kiedy ucichły, przynajmniej na moment, huki wybuchów i jęki ofiar (choć niestety nie w Gazie), a dyplomacja zdaje się tymczasowo brać górę nad osłabionymi środkami militarnymi, należy postawić istotne pytania, na które nie ma obecnie jednoznacznych odpowiedzi (choć zachodzą pewne istotne poszlaki), ale których prędzej czy później trzeba będzie udzielić celem rozeznania, czy sytuacja cały czas pozostawała „pod kontrolą" USA (i innych mocarstw?) tudzież czy igrano z widmem światowego konfliktu, a przynajmniej z konfliktem mocarstw za pośrednictwem ich regionalnych partnerów.

Te pytania brzmią: Czy to Izrael wciągnął mimowolnie USA do wojny z Iranem, stawiając je przed faktem dokonanym, czy też dokonał swej akcji za przyzwoleniem Waszyngtonu i w porozumieniu z nim? Czy USA wybrnęły – chwilowo – z tego konfliktu, w którym obok Iranu ucierpiał ewidentnie sam Izrael, dokonując po części teatralnego, acz spektakularnego ataku na ośrodki jądrowe Iranu – a zatem w pewnym porozumieniu z Iranem – czy też być może tym decydującym ruchem ryzykowano eskalację o nieprzewidywalnych, mogących się wyrwać spod kontroli skutkach?

Jakkolwiek bowiem by patrzeć na racje po obu stronach tej 12-dniowej wojny, zauważmy, na – podstawie analogicznego przykładu wojny rosyjsko-ukraińskiej – że gdy w grę wchodzą, w sposób zespolony, interesy bloków

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. MANUEL BALCE CENETA/AP/EAST NEWS

Dyplomacja i oficjalne deklaracje amerykańskiego rządu posłużyły Izraelowi i USA za fortele taktyczne w starciu z Iranem

geopolitycznych, interesy finansowe i żarliwe ideologie, wojna zachowuje się jak nieokiełznany żywioł natury czy złośliwy dżin wypuszczony z butelki: o wiele łatwiej ją wywołać, niż zakończyć, łatwiej eskalować, niż wyciszyć. Stąd zasadnym i pierwszorzędnym pytaniem pozostaje kwestia tego, czy administracja Donalda Trumpa, która najwyraźniej spróbowała siłowo ugasić tlący się na Bliskim Wschodzie pożar, przyczyniła się najpierw do jego wzniecenia.

IZRAELSKIE WPŁYWY W POLITYCE USA

Z kluczowych dostępnych tu elementów odpowiedzi, która – jak wspomniałem – w tej chwili nie będzie jednoznaczna, choć może być roztropnie orientacyjna, należy przytoczyć istotne przyczyny dalsze, które w ostatnim czasie osiągnęły swe rzeczywiste skutki. Otóż w swych wywiadach prof. Jeffrey Sachs regularnie przytacza wypowiedź amerykańskiego gen. Wesleya Clarka z 2007 r., byłego dowódcy NATO. Wyznał on, że w dniach bezpośrednio po zamachach z 11 września 2001 r. dowiedział się w Pentagonie, iż zapadła wówczas decyzja siłowego usunięcia władz siedmiu państw na szeroko pojmowanym Bliskim Wschodzie, tj. władz Iraku, Syrii, Libanu, Libii, Somalii, Sudanu… a na końcu tej listy znajdował się Iran. W rzeczy samej, sześć z tych krajów w tym czasie nie oszczędziły wojny różnego formatu i choć sam Clark nie wiązał tych planowanych operacji z działaniami na rzecz Izraela, to prof. Sachs robi to bez trudu, zważywszy na to, że dowództwo Pentagonu pozostawało wówczas w rękach zadeklarowanych neokonserwatystów, z ich nadrzędnym celem zbrojnego eliminowania wrogów Izraela. Nie jest też tajemnicą – są to oficjalne dane, potwierdzone stosownymi wypowiedziami izraelskich polityków – do jakiego stopnia amerykańskie elity polityczne są podporządkowane interesom izraelskiej polityki, poniekąd bezwarunkowo, za przyczyną niezwykle prozaicznego narzędzia w postaci funduszy wyborczych umożliwiających skuteczną karierę polityczną w USA.

Mowa tu m.in. o osławionym AIPAC – Amerykańskim Komitecie Spraw Publicznych Izraela – który np. w ostatnich wyborach kwotą ponad 50 mln dol. wsparł 361 proizraelskich kandydatów na 468 wybieranych ówcześnie miejsc do obu izb Kongresu (czyli w przeszło 80 proc. okręgów!), zarówno republikanów, jak i demokratów. Drugie tyle wyłożył na dodatkowe działania promocyjne w tym cyklu wyborczym. Notabene w ścisłej czołówce senatorów beneficjentów funduszy proizraelskich w ogóle za okres 1990–2024 figurują: Joe Biden (ponad 4,2 mln!), Hillary Clinton oraz Kamala Harris (ponad 2,3 mln każda). W tegoż Joe Bidena jako kandydata na prezydenta proizraelskie lobby zainwestowało również przeszło 4 mln dol., natomiast w przypadku Donalda Trumpa szacunek ten jest już wręcz astronomiczny: w wyborach w 2024 r. sama Miriam Adelson, wdowa po miliarderze Sheldonie Adelsonie, kasynowym magnacie z Las Vegas, wsparła go kwotą 100 mln dol., podczas gdy jej mąż wydał na niego drugie tyle w poprzednich cyklach wyborczych.

eprasa.pl 7bcb357858

Nie są to, ma się rozumieć, darowizny robione in blanco – w przypadku wsparcia Adelsonów Trump zobowiązał się w przeszłości do przeniesienia ambasady USA z Tel Awiwu do Jerozolimy, z czego – jak wiadomo – się wywiązał. Z kolei jego obecna administracja cieszy się bez wątpienia bardzo wysokim stopniem kadr zorientowanych na Izrael, co siłą rzeczy przekłada się na politykę Białego Domu i w niej uwydatnia.

Podobny skuteczny lobbing sprawia zatem, że premier Beniamin Netanjahu (tak jak jego poprzednicy) nawet przy silniejszym międzynarodowym sprzeciwie może być w znacznej mierze pewny poparcia Ameryki dla ogólnych ram swej polityki zagranicznej, w tym dla rozwiązań siłowych, a nawet, najwyraźniej, dla co wybredniejszych jej szczegółów, i to mimo możliwych waśni na linii Waszyngton – Tel Awiw, które jeśli już docierają do publicznej wiadomości, to w formie przecieków medialnych, a nie publicznych wyrażeń dezaprobaty (stąd też ostatnie otwarte niecierpliwości Trumpa wobec Netanjahu łamiącego postanowienia zawieszenia broni, okraszone dosadnym przekleństwem na oczach kamer, stanowią swego rodzaju zaskakujące i znaczące novum). Zbytecznie jest tu chyba dodawać, że przy takim mechanizmie ideowo-finansowym zwolennicy trumpowskiej polityki „America First" (Po pierwsze Ameryka) muszą się liczyć z jej naturalnym w tym wypadku, acz niedopowiedzianym otwarcie korelatem: „but Israel Firstest" (lecz najpierwszy Izrael)…

Trump jednak nie tylko nie był neokonserwatystą, lecz także otwarcie dotychczas krytykował zaangażowanie zbrojne USA ostatnich dekad w postaci niekończących się wojen i ewidentnie otoczył się w swej administracji ludźmi mającymi w tej kwestii być może jeszcze surowsze niż on zdanie, jak Robert Kennedy Jr. czy Tulsi Gabbard, obecnie dyrektor Wywiadu Narodowego USA (czyli w zasadzie łącznik informacyjny z prezydentem ze strony połączonych agencji wywiadu), do której za chwilę wrócimy. Przy czym, co trzeba zaznaczyć i zniuansować, Trump nie stronił również od punktowego militarnego interwencjonizmu, by przypomnieć eliminację gen. Ghasema Solejmaniego w Iraku w 2020 r., odpowiedzialnego za zagraniczne działania wojskowe Iranu czy zbombardowanie przez amerykańskie siły zbrojne Syrii w 2017 r. z powodu mniemanego użycia broni chemicznej przez syryjskie wojsko w Khan Shaykhun. Natomiast prawdą jest, w ramach potrzebnego niuansu i zrozumienia optyki samych Amerykanów, że z perspektywy notorycznego zbrojnego interwencjonizmu jego poprzedników doraźne akcje Trumpa były głośnymi, ale ograniczonymi i jednorazowymi ruchami – kiedy w 2018 r. miałem sposobność zapytać pracownika kontraktowego amerykańskiego wojska w domenie rakiet, dlaczego, mimo zerwania z polityką poprzedników, USA jednak zbombardowały Syrię, zapytał on lakonicznie, co właściwie rozumiem przez bombardowanie, bo USA w rzeczywistości Syrii nie zbombardowały…

Amerykanie z pewnością byli doinformowani o planowanej od dłuższego czasu żydowskiej operacji „Wschodzący Lew" i wiedzieli, że kwestia wzbogacanego przez Iran uranu, mogącego jak najbardziej posłużyć do konstrukcji broni jądrowej, jest wygodnym pretekstem do próby podmiany władz w Teheranie

To podejście Trumpa, przynajmniej co do deklarowanych intencji, odzwierciedlały niezwykle mocne słowa z niedawnego przemówienia inaugurującego jego drugą prezydencję: „Będziemy mierzyli nasze sukcesy nie tylko wygranymi bitwami, lecz także wojnami, które zakończymy – a także, co być może najważniejsze, wojnami, w które nigdy się nie zaangażujemy". Był to czytelny sygnał nie tylko dla amerykańskich wyborców, ewidentnie znużonych trzema dekadami neokońskich wojen i interwencji, co potwierdzają sondaże i w dobie obecnej, lecz także dla jastrzębich ośrodków w USA i za granicą. Niemniej nie była to deklaracja abdykacji, ponieważ jednocześnie Trump kładł akcent na politykę „pokoju przez siłę" na arenie międzynarodowej, tj. wyciszania konfliktów za pomocą manifestowanej zdolności projekcji niezrównanej siły zbrojnej w skali globalnej.

OSOBLIWY TEATR

Deklaracje deklaracjami, owszem, pięknymi i zbożnymi, ale na administracji Trumpa ciążyło, jak wskazywali zorientowani analitycy, stałe niebezpieczeństwo wciągnięcia do kilku konfliktów zbrojnych, z Bliskim Wschodem na czele. I wobec tych wszystkich niełatwych do pogodzenia czynników warto wrócić tu do zadanego wcześniej pytania, w trzech wariantach niewykluczających zresztą innych logicznych opcji: Czy Trump dał się zatem wciągnąć przez nieostrożność Izraelowi w wojnę perską czy przystąpił doń na własne życzenie, czy może włączył się weń jedynie symbolicznie, w ramach potężnej, acz bezkrwawej projekcji siły, pozwalającej zakończyć chybioną co do celu podmiany irańskiego reżimu operację Izraela, której rozwój w sposób oczywisty wyrwał się Beniaminowi Netanjahu spod kontroli?

Otóż Amerykanie z pewnością byli doinformowani o planowanej od dłuższego czasu żydowskiej operacji „Wschodzący Lew" i wiedzieli, że kwestia wzbogacanego przez Iran uranu, mogącego jak najbardziej posłużyć do konstrukcji broni jądrowej, jest wygodnym pretekstem do próby podmiany władz w Teheranie. Najwyraźniej dali na tę próbę przyzwolenie, wobec braku owoców dwumiesięcznych negocjacji z Persami, i wielce w ogóle możliwe, że te negocjacje opóźniły same działania Netanjahu, który po udanym gambicie neutralizacji proirańskich sił w Gazie, Libanie i w Syrii postanowił zagrać va banque celem eliminacji reżimu ajatollahów.

Innymi słowy, równie dobrze to Trump, wielce zadufany w swoich możliwościach negocjacyjnych, liczący też być może na dyplomatyczne wsparcie ze strony Kremla w zamian za poluzowanie przez USA kwestii ukraińskiej, mógł wcześniej prosić Netanjahu: daj nam najpierw spróbować z Iranem po dobroci, a dopiero jeśli się nam to nie uda, to zrobicie to po waszemu. Kiedy zaś odpalono to „po waszemu", Trump, wbrew wielkiej powściągliwości swych współpracowników odcinających

eprasa.pl 7bcb357858

się od udziału USA w tej operacji, a nawet wbrew wcześniejszemu ostrzeżeniu Tulsi Gabbard o siłach pchających do konfrontacji mogącej się skończyć wojną nuklearną, która to przestroga nabrała post factum właściwej interpretacji, tej operacji dekapitacyjnej najwyraźniej publicznie kibicował. To przejawiałoby jego wiarę w szanse sukcesu operacji, na przekór dość licznym zdaniom przeciwnym ekspertów, świadomych potencjału rakietowego Iranu i niewydajności Żelaznej Kopuły, która w tej konfrontacji bardzo szybko zaczęła przypominać dziurawe sito Bibiego (o horrendalnych kosztach jej funkcjonowania nie wspominając).

Jednocześnie z pewną dozą ostrożności można przypuszczać, że to Amerykanie zablokowali plan likwidacji Alego Chamenei, do którego nawoływała strona żydowska. Dochodzimy tu do fiaska celu samej operacji: wprawdzie Izrael bez wątpienia zdestabilizował chwilowo irański łańcuch dowodzenia i poczynił dotkliwe spustoszenia w zasobach militarnych Iranu, jednakże Persowie stosunkowo szybko ogarnęli się po pierwszym brutalnym zaskoczeniu i zaczęli bezpardonowo bombardować Izrael wedle gotowych schematów działania – głównie obiekty natury wojskowo-infrastrukturalnej, ale z druzgocącym skutkiem także dla obiektów cywilnych i wszelkimi uciążliwościami dla samej populacji. Stąd nawet przy silnym poparciu społecznym premier Izraela nie mógł ryzykować dalszej konfrontacji bez coraz większej ruiny kraju.

I tu dzieje się rzecz wielce osobliwa, choć jednocześnie w stylu Trumpa: działając wbrew prawu międzynarodowemu (obowiązującemu wprawdzie innych, ale już niekoniecznie Amerykę) lub ponad nim i naciągając tudzież rozciągając interpretację o niebo ważniejszego prawa amerykańskiej republiki, która wprawdzie wymaga zgody Kongresu na działania wojenne, ale umożliwia prezydentowi, jako naczelnemu dowódcy, podjęcie samodzielnych kroków w przypadku „bezpośredniego zagrożenia", co w przypadku prawa USA stanowi pojęcie nieostre, mające już precedensowe elastyczne zastosowania za np. prezydentury Reagana czy Clintona, Trump w tych okolicznościach decyduje się na spektakularne, ale po części teatralne zbombardowanie ośrodków jądrowych Iranu, teoretycznie przystępując do wojny żydowsko-perskiej. Tymczasem niby jest to operacja najściślej tajna, ale prestiżowy dziennikarz śledczy Seymour Hersh informuje, kiedy będzie mieć miejsce. Wprawdzie jankesi dokonują spektakularnej projekcji i demonstracji siły zarazem, ale bombardują w zasadzie opustoszałe instalacje, z niewiadomym do końca skutkiem, podczas gdy pół tony wzbogaconego w 60 proc. uranu zostało najspokojniej w świecie przetransportowane w inne, nieznane na razie miejsce.

Następnie następuje już czysto teatralny, ale symboliczny odwet Iranu – tak bardzo przestrzegającego wcześniej USA przed przystąpieniem do tej wojny – który to bombarduje amerykańską bazę w Katarze, tak że zestrzelono 13 wystrzelonych w nią rakiet z 14, a ostatniej pozwolono „honorowo" trafić w bazę, gdy stwierdzono, że jej uderzenie nie będzie nikomu zagrażać. Ten osobliwy modus operandi, w którym nie polała się krew irańska z rąk amerykańskich ani amerykańska z irańskich, wskazuje, że władze obu krajów nie miały ochoty na bezpośrednią konfrontację i utrzymywały, co potwierdzały raczej wiarygodne informacje, otwarte „tylne kanały" komunikacji. Być może nawet w ramach prowadzonych wcześniej rozmów ustalono z irańską frakcją gołębi, że jedynie podobna demonstracja siły skłoni irańskich twardogłowych do porozumienia z Amerykanami; w każdym razie na tym etapie Trump, wcześniej zwodniczy, pozwolił Persom wyjść z tego konfliktu z twarzą, a oni jemu także, co potwierdzają głosy krytyki i niezadowolenia ze strony frakcji wojny w USA i w Izraelu.

AMERYKA NIE CHCE WOJNY

Próbując zatem racjonalizować wydarzenia ostatnich tygodni, wskazywałbym, że Trump mimo wszystko bardziej odegrał rolę hamulcowego wobec Izraela (a potem rolę jego ewidentnego ratownika po bardzo groźnej dlań konfrontacji) niż wojennego podżegacza, zaznaczając jednocześnie, że taka opinia ma swe słabe strony, których nie prezentuje opinia nieco idealizująca, wedle której Trump po prostu mógł i powinien był zakazać Netanjahu jakiejkolwiek bezpośredniej napaści na Iran. Moja hipoteza nie rozwiewa przy tym wątpliwości, na ile Trump, który ostentacyjnie odcinał się od Tulsi Gabbard, mówiąc, że to ona się myli, że on się z nią nie zgadza (dziś równie dobrze można sądzić, że było to czysto taktyczne odcięcie się od jej tonującej retoryki w ramach prężenia muskułów wobec frakcji irańskich twardogłowych), bagatelizował zagrożenia tej strategii lub parastrategii (jeśli zaczęto improwizować po pierwszych irańskich ciosach w Izrael), choć wyjątkowo powściągliwa reakcja Persów wskazuje, że raczej nie zagrał on va banque i tak naprawdę nie ryzykował swym posunięciem życia Amerykanów czy wciągnięcia samych USA do wojny. Post factum przyznał otwarcie, że wojny tej nie chce, podobnie jak sprzeciwia się na tym etapie próbom podmiany reżimu.

Próbując racjonalizować wydarzenia ostatnich tygodni, wskazywałbym, że Trump mimo wszystko bardziej odegrał rolę hamulcowego wobec Izraela (a potem rolę jego ewidentnego ratownika po bardzo groźnej dlań konfrontacji) niż wojennego podżegacza

Zaznaczamy na koniec, że oczywiście nieznane nam są dziś wszystkie mogące nastąpić jeszcze skutki tej konfrontacji, aczkolwiek jest pewien dosadny powód do optymizmu. Były kongresman Matt Gaetz, polityk z Florydy, niezwykle lojalny wobec Trumpa, stwierdził ostatnio w wywiadzie u Benny'ego Johnsona, że w jego opinii działalność Epsteina była działalnością obcego wywiadu zbierającego kompromaty na amerykańskie i brytyjskie elity, celem zapewnienia ich poparcia dla niekończących się amerykańskich wojen. Jeśli zatem obecny naczelny dowódca USA do kolejnych neokońskich wojen, mimo dużej presji, aż tak bardzo się nie garnie, to tego typu lewara marsowe bóstwo najwyraźniej na niego nie ma…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Iran wychodzi z wojny z tarczą

Wiec „Wściekłość i zwycięstwo" w Teheranie, 20 czerwca 2025 r. Uczestnik zgromadzenia trzyma zdjęcie ajatollaha Alego Chamenei

FOT. SOBHAN FARAJVAN/ZUMA PRESS/FORUM

Witold Repetowicz

Islamska Republika Iranu wychodzi z konfrontacji z Izraelem wzmocniona, ale sam kraj poniósł spory koszt wojny. Prognozy, że reżim jest na skraju upadku, a władzę przejmie syn ostatniego szacha, były od samego początku przejawem totalnego oderwania od rzeczywistości. Jednak Iran potrzebuje współpracy z Zachodem, gdyż Rosja i Chiny nic mu nie dają

Każdemu konfliktowi zbrojnemu towarzyszy wojna informacyjna i tak też było w przypadku starcia izraelsko-irańskiego. Problem w tym, że część komentatorów najwyraźniej uznała, że wszystkie deklaracje Izraela są w 100 proc. prawdziwe, a wszystko, co wypływa ze strony Iranu, to kuriozalna propaganda. Skutkiem tego był zalew opinii i „newsów" o tym, że celem Izraela jest wyzwolenie Irańczyków spod jarzma Islamskiej Republiki, reżim jest na skraju upadku, a opozycja reprezentowana przez Rezę Pahlawiego za chwilę przejmie władzę. Ponadto pojawiły się liczne głosy twierdzące, że Iran został całkowicie pozbawiony zdolności bojowej, a jego program nuklearny został totalnie zniszczony.

Niedawny wywiad Tuckera Carlsona z senatorem Tedem Cruzem pokazał, że wielu uważa, iż nie trzeba znać podstawowych faktów na temat demografii i struktury etnicznej oraz religijnej, by planować rewolucję w Iranie. Nie trzeba też wiedzieć, kto jest kim w opozycji irańskiej. Bo przecież po co? Co może pójść nie tak? Historia pokazuje, że planowanie zmian władzy bez znajomości realiów kraju, którego ten plan dotyczy, ma katastrofalne skutki. Zresztą w przypadku inwazji na Irak w 2003 r. zmianę władzy poprzedziły dość konkretne przygotowania, spotkania różnych opozycyjnych sił, wizja nowych rządów itp. A i tak wyszło, jak wyszło. W przypadku Iranu nie ma nawet tego.

CIA OBALA DEMOKRACJĘ

Emigracyjną opozycję przeciwko Islamskiej Republice można podzielić na cztery grupy: monarchistów, mudżahedinów ludowych, lewicę i separatystów. Tych pierwszych reprezentuje Reza

eprasa.pl 7bcb357858

Pahlawi, 65-letni syn obalonego w 1979 r. szacha Mohammeda Rezy Pahlawiego. Za każdym razem, gdy w Iranie wybuchają protesty lub mowa jest o „zmianie reżimu", mieszkający sobie w USA książę ogłasza, że bierze odpowiedzialność za stworzenie tymczasowych władz, choć nikt go w samym Iranie o to nie prosi. Złośliwi nazywają go zatem „clown prince'em", śmiejąc się, że raz po raz dosiada białego konia, by ruszyć do pałacu Sa'adabad (dawna teherańska siedziba jego ojca), a następnie znowu odprowadza go do stajni na swoim luksusowym ranczu, na którym żyje z pieniędzy skradzionych Irańczykom przez jego ojca. Aby zrozumieć stosunek Irańczyków do Pahlawiego, trzeba zgłębić nieco historię jego rodziny i cofnąć się do początków XX w., gdy w Iranie wybuchła tzw. rewolucja konstytucyjna. Był to powszechny ruch prodemokratyczny, który pojawił się w Iranie za czasów szacha Mozaffara ad-Dina z dynastii Kadżarów. W jego wyniku w 1905 r. powstał pierwszy irański parlament i przyjęto dość liberalną, jak na tamte czasy, konstytucję. Reformy te znalazły powszechne poparcie ze strony duchowieństwa szyickiego, które ogłosiło, że każdy, kto występuje przeciwko demokracji, jest wrogiem islamu i zasługuje na śmierć.

Rewolucja konstytucyjna została częściowo stłumiona dzięki wsparciu rosyjsko-brytyjskiemu dla Kadżarów. Ostateczny cios zadał jej jednak pewien oficer brygady perskich kozaków, pochodzący z niearystokratycznego rodu, który w 1926 r., przy pomocy Brytyjczyków, obalił ostatniego kadżarskiego władcę i sam ogłosił się szachem jako Reza I. Jego rządy trochę przypominały to, co Atatürk robił w sąsiedniej Turcji, ale Reza był znacznie mniej zdolny i w 1941 r., w wyniku interwencji brytyjsko-sowieckiej, został obalony, a następnie zastąpiony 22-letnim synem Mohammadem Rezą – człowiekiem o usposobieniu playboya, nieinteresującym się wówczas polityką. Dzięki temu w Iranie znów zaczęły się odbywać wolne wybory w ramach wielopartyjnej sceny politycznej (tej demokracji, w przeciwieństwie do dynastii Pahlawich, nikt z zewnątrz Iranowi nie narzucał). Trwało to do 1953 r., gdy CIA przeprowadziła operację „Ajax" i obaliła demokrację w Iranie, a Mohammad Reza wprowadził autorytarne rządy oparte na masowych represjach i wyrafinowanych torturach dysydentów. Skończyło się to tym, że w 1979 r. został obalony i uciekł z kraju. Rządy Pahlawich to raptem 53-letni epizod w historii Iranu.

KOMUNIZM I ISLAM RAZEM

Wbrew powszechnemu mniemaniu w rewolucji 1979 r. islamiści Chomeiniego nie byli jedyną siłą. Mieli konkurencję w postaci mudżahedinów ludowych i komunistów. Ci pierwsi to wyznawcy filozofii Alego Szariatiego, który łączył społeczny rewolucjonizm z szyickim fundamentalizmem, przedstawiając alternatywną wersję komunistyczno-islamskiego społeczeństwa. To z nimi był związany pierwszy porewolucyjny prezydent Iranu Abolhassan Banisadr, którego usunięto ze stanowiska w 1981 r. Wkrótce potem mudżahedini zorganizowali dwa potężne zamachy terrorystyczne na władze Islamskiej Republiki, a ich lider, Masud Radżawi, uciekł z Banisadrem z kraju. Mudżahedini ludowi znaleźli schronienie w Iraku Saddama Husajna i wspierali go w wojnie przeciw swojej ojczyźnie, czym całkowicie się skompromitowali. Niemniej pewna liczba fanatycznych wyznawców szyickiego komunizmu pozostała i to prawdopodobnie oni odgrywają kluczową rolę w zdobywaniu informacji wywiadowczych dla Mosadu. Bo gdy w 2003 r. Saddam upadł, mudżahedini ludowi szybko przefarbowali się na demokratów i przyjaciół USA oraz Izraela. Masud Radżawi natomiast zniknął i od 22 lat nikt go nie widział, ale mudżahedini ludowi twierdzą, że żyje i jest wciąż ich liderem. Tymczasem organizacją kieruje Mariam Radżawi, która pieniędzmi uzyskiwanymi od neokonserwatywnych i izraelskich patronów kupuje różnych polityków (w tym w Polsce) i odgrywa oscarową rolę wielkiej demokratki.

To właśnie Reza i Mariam ostrzyli sobie teraz ząbki na przejęcie władzy w Iranie, przy czym oczywiście politycznej mięty między nimi nie ma, więc robią to konkurencyjnie, a nie wspólnie. Bo co może łączyć dwoje farbowanych demokratów, z których jeden to syn szacha, a druga to spadkobierczyni ideologii szyickiego komunizmu? A jeszcze są „regularni" komuniści, którzy też odegrali ważną rolę w rewolucji 1979 r. Zresztą komunizm w Iranie pojawił się przed tym, jak w Rosji wybuchła rewolucja bolszewicka, a w wyborach w 1943 r. komunistyczna partia Tudeh zdobyła ponad 12 proc. głosów i dziewięć mandatów w 136-osobowym parlamencie. Partia ta wciąż działa w Iranie, choć nielegalnie, ale na emigracji komuniści podzielili się na kilka konkurencyjnych nurtów. Ponadto są jeszcze osoby luźno związane z szeroko rozumianą lewicą irańską, takie jak choćby laureatka Pokojowej Nagrody Nobla Szirin Ebadi i irańscy apostaci ateiści, tacy jak Mariam Namazie, która zablokowała kilka prób wprowadzenia na Zachodzie szariatu.

Emigracyjna lewica irańska ma większe poparcie w Iranie od monarchistów czy mudżahedinów ludowych, gdyż nie skompromitowała się pomysłami na przejęcie władzy na cudzych czołgach. W tym kontekście umizgi Rezy wobec Izraela są dość żałosne, bo choć znaczna część Irańczyków nie cierpi Islamskiej Republiki, to nie przekłada się to na popieranie obcej inwazji. Choć rzeczywiście przed wojną stosunek dużej części Irańczyków do Izraela był pozytywny lub neutralny (na pewno w większym stopniu niż w większości krajów arabskich, a nawet Turcji), to wojna zmieniła to na niekorzyść Tel Awiwu. Trudno bowiem spodziewać się, że ktoś, komu lecą bomby na głowę, będzie sympatyzował z agresorem, nawet jeśli ten agresor mówi o „wyzwoleniu". Poza tym większość nawet tych niereligijnych, zwłaszcza lewicowych, Irańczyków nie akceptuje tego, co Izrael robi w Gazie. Z czysto ludzkich powodów.

Są jeszcze separatyści: kurdyjscy, beludżyjscy i arabscy. Iran jest państwem wieloetnicznym, ale potencjał separatystyczny jest tylko w niektórych grupach. Poza Persami jest bowiem kilka innych grup spokrewnionych z nimi, które odwołują się do tożsamości irańskiej w wymiarze etnicznym (jako pojęcia szerszego od tożsamości perskiej). Dotyczy to także części Kurdów, którzy od starożytności byli kulturowo bardzo bliscy Persom. Co więcej, dotyczy to również irańskich Azerów, których trudno uznać za mniejszość (a już z całą pewnością nie są prześladowani), ponieważ zawsze stanowili elity tego kraju. Nawet Najwyższy Przywódca Ali Chamenei jest z pochodzenia Azerem. Przy czym od kilku dekad różne zewnętrzne siły (Turcja, ZSRS, Azerbejdżan) próbowały rozniecić separatyzm w Azerbejdżanie

eprasa.pl 7bcb357858

Irańskim, ale z marnym skutkiem. Ostatni na liście tych sił jest Izrael. Kilka lat temu w Knesecie skierowano list do izraelskiego MSZ, by uznać niepodległość „Azerbejdżanu Południowego". Problem w tym, że takiego bytu nie ma, a Irańczycy nie lubią, jak w ramach „wyzwalania" próbuje się dokonać rozbioru ich kraju. Co do separatystów to są to w zasadzie wyłącznie sunnici, których łącznie w Iranie jest ok. 10 proc. Znaczna ich część jest przy tym znacznie bardziej radykalna religijnie niż reżim, a wielu sunnickich Kurdów irańskich wstąpiło do ISIS. Niektóre organizacje separatystyczne, w szczególności w Beludżystanie i Chuzestanie, dokonują aktów terroryzmu, w których giną cywile. Tu również trudno się zatem spodziewać, by spotykało się to z aprobatą nawet tych Irańczyków, którzy nienawidzą Islamskiej Republiki.

Irańczycy to bardzo mądry naród, dobrze wykształcony, a także kochający swój kraj. Dlatego nie dali się nabrać na hasła Beniamina Netanjahu podburzające do rewolucji. Wiedzieli, że na koniec będzie jakiś deal, który nie obejmie tych, którzy uwierzyliby w „wyzwalanie przez Netanjahu". Zostaliby po prostu zabici i nikt by im nie pomógł. Wiedzieli też, że Netanjahu zależy na rozpętaniu chaosu w Iranie, uaktywnieniu grup terrorystycznych i separatystycznych, a najlepiej na doprowadzeniu do wojny domowej – a nie stworzeniu „wolnego Iranu". Nie ma bowiem żadnych gwarancji, że w wyniku rzeczywiście wolnych wyborów wyłonione byłyby władze, które prowadziłyby przyjazną wobec Izraela politykę. W Iranie brak wiarygodnych sondaży, ale można założyć, że reżim (i różne jego frakcje) cieszą się wciąż sporym poparciem. Być może jest to 20 proc., być może 30 proc., a niektórzy twierdzą, że nawet 40 proc.

KLĘSKA IZRAELA

Wojna z Izraelem z całą pewnością tego poparcia nie osłabiła, zwłaszcza że Islamska Republika na pewno tej wojny nie przegrała. Faktem jest, że zaczęła się ona od kompromitacji irańskiego kontrwywiadu. Faktem jest również, że Izrael dokonał znacznie większych zniszczeń w Iranie niż Iran w Izraelu, a liczba zabitych po stronie irańskiej jest kilkunastokrotnie wyższa. Ale to nie ma znaczenia, bo wojna to nie gra w „Counter-Strike'a". Liczy się to, kto

Irańczycy to bardzo mądry naród, dobrze wykształcony, a także kochający swój kraj. Dlatego nie dali się nabrać na hasła Beniamina Netanjahu podburzające do rewolucji

osiągnął jakie cele, a Izrael nie osiągnął w zasadzie żadnych, i już to samo w sobie jest sukcesem Iranu. Pierwszym, głównym celem Izraela było zniszczenie irańskiego programu nuklearnego, a drugim – zniszczenie jego zdolności w zakresie rakiet balistycznych. Tymczasem według niektórych ocen pochodzących z USA irański program nuklearny został cofnięty zaledwie o parę miesięcy, a zdolności do skutecznego rażenia Izraela Iran zachował, czego dowodem był atak dokonany w ostatniej chwili przed zawieszeniem broni.

To klęska Izraela, zwłaszcza że powrót do rozwiązania militarnego będzie w najbliższym czasie znacznie trudniejszy. Wojna pokazała bowiem, że Izrael samodzielnie nie jest w stanie jej prowadzić i potrzebuje od pierwszego dnia defensywnego wsparcia USA. Gdyby nie to, irański ostrzał stawałby się powoli coraz bardziej bolesny, gdyż Izraelowi kończyłyby się pociski przeciwrakietowe. Ponadto dużą część początkowego sukcesu Izrael zawdzięcza zaskoczeniu, i na to drugi raz też już nie może liczyć. Przede wszystkim jednak wątpliwe, by Trump miał ochotę przeżyć to jeszcze raz, zważywszy na ogromną niepopularność jego decyzji o uderzeniu na Iran.

Tymczasem Iran pokazał, że jest w stanie razić Izrael i zadawać mu straty. To sygnał dla wszystkich państw regionu, który z całą pewnością będzie je odstraszał od konfrontacji z Iranem. Zresztą już w trakcie wojny wszystkie kraje regionu w mniejszym lub większym stopniu potępiły izraelską agresję na Iran. Zrobiły to przy tym z wyrachowania, bo nie chciały oberwać rykoszetem. Nie chciały też, by w Iranie zapanował chaos, wojna domowa, bo to uderzyłoby także w ich bezpieczeństwo. Dla Turcji perspektywa rozpadu Iranu i emancypacji tamtejszych Kurdów to już w ogóle czarny scenariusz. Okazało się więc, że nikt nie chce przyłożyć swojej ręki do niszczenia Islamskiej Republiki. A to, że uderzenie Iranu na amerykańską bazę Al-Udeid w Katarze było teatrem, ma niewielkie znaczenie w świetle wątpliwości co do skuteczności uderzenia USA na Iran. Ze strony Donalda Trumpa był wyraźny brak chęci kontynuowania wojny i to też mówi samo za siebie.

Teraz do Iranu należy wybór dalszej drogi. Reżim będzie się czuł wzmocniony, więc może odrzucić propozycję dalszych negocjacji i nowego porozumienia w sprawie programu. USA, twierdzące, że zniszczyły irański program, będą miały też znacznie mniej argumentów, by dociskać Iran. W takiej sytuacji zagrożenie, że Iran wystąpi z Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i będzie chciał szybko zdobyć broń nuklearną, zmieniając swoje dotychczasowe podejście, jest bardzo duża. Wtedy przeciwskuteczność „spektakularnego zwycięstwa" Izraela będzie już całkowita. Ale Iran jako kraj zapłaci za to dalszą izolacją i biedą. Reżim powinien też przemyśleć, co mu dał „sojusz" z Rosją i Chinami. Gdyby Rosja sprzedała Iranowi systemy przeciwlotnicze S-400 i samoloty Su-35, o co Iran od dawna zabiegał, to straty Iranu byłyby znacznie mniejsze, a Izraela – większe. I oczywiście oba te kraje ani nie chciały, ani też nie mogły pomóc Iranowi. Dlatego w interesie Iranu jest porozumienie z Zachodem. Tyle że to nie oznacza, że do niego dojdzie.

Jeżeli ktoś jeszcze liczy, że ta wojna osłabiła reżim i w najbliższym czasie wybuchną jakieś protesty albo dojdzie do przewrotu wojskowego, to znaczy, że wciąż funkcjonuje w alternatywnej rzeczywistości. Ostatnia rzecz, jaka może się zdarzyć w Iranie, to „świecka dyktatura". Ale jeśli Iran wybierze drogę izolacji, to za jakiś czas mogą wybuchnąć nowe protesty. Zmiana w Iranie może jednak nastąpić wyłącznie od wewnątrz systemu. Warto pamiętać, że największym dotąd wyzwaniem były protesty po wyborach prezydenckich w 2009 r., na których czele stał Mir Hosejn Musawi, wieloletni premier Iranu za czasów ajatollaha Ruhollacha Chomeiniego. W najbliższych miesiącach należy jednak oczekiwać, że różne frakcje reżimu wyciszą swoje spory i będą demonstracyjnie okazywać jedność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

REPUBLIKA

Cotygodniowy przegląd najciekawszych, najzabawniejszych i najbardziej wiralowych filmów, zdjęć i postów z internetu. Widzowie zagłosują także na niechlubne Oskary Tygodnia – **najlepszy hit z sieci.**

HITY w sieci

SOBOTA 11:11 w Republice

Zapraszają Mirona Hołda i Oskar Szafarowicz

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 7bcb357858

Kalkulacje Putina

Robert Bogdański

Rosja mogłaby stać się atomowym patronem dla nieprzewidywalnego zideologizowanego reżimu w Iranie. Układ między Moskwą a Teheranem byłby nieco podobny do tego, który jest między Putinem a Miedwiediewem. Pierwsza strona udawałaby, że nie odpowiada za działania partnera, ale korzystałaby z destabilizacji, którą powodowałaby strona druga

Internetowe memy bywają zaskakująco celne. Po ataku Izraela na irańskie ośrodki jądrowe ukazało się wygenerowane przez sztuczną inteligencję zdjęcie przedstawiające byłego prezydenta Ukrainy, Wiktora Janukowycza, byłego dyktatora Syrii, Baszara al-Asada, i ciągle aktualnego przywódcy Iranu, ajatollaha Alego Chamenei, siedzących przy kuchennym stole typowej moskiewskiej chruszczowki z widokiem na Kreml, żeby nie było żadnych wątpliwości. Al-Asad i Janukowycz w sowieckich podkoszulkach, Chamenei jeszcze nie. Na stole herbata, ot zwyczajny dzień w Moskwie. Ilustracja została zapewne wygenerowana przez izraelskich speców od operacji psychologicznych chcących zasugerować, że oto nadchodzi koniec trwającego od prawie pół wieku reżimu islamskiego. Przy okazji pokazywali, jak Rosja systematycznie traci swoje aktywa, które zamiast bić wrogów, piją czaj przy placu Czerwonym. Najpierw Ukraina, potem Syria, teraz przyszedł czas na upadek sojuszniczego reżimu w Iranie.

Ponieważ Ukraina była dla Putina zasobem o żywotnym znaczeniu, po upadku Janukowycza zdecydował się na wojnę. Inwestycja w al-Asada dawała możliwości prowadzenia gry politycznej, pozwalała dozować napięcie i sprawiała, że bez Moskwy nie można było podjąć żadnych decyzji na Bliskim Wschodzie. Dodatkowym bonusem była destabilizacja Europy przy pomocy syryjskich uchodźców. Upadek syryjskiego dyktatora był bolesnym ciosem dla interesów i prestiżu Rosji m.in. dlatego, że jedyne, co mogła mu zaoferować, to azyl. Dla kraju nieustannie starającego się przekonać świat o swojej militarnej sile było to bolesne. Syria al-Asada była jednak dla Rosji po prostu klientem, którego znaczenie było ograniczone.

OBSESJA PO UTRACIE IMPERIUM

Z Iranem jest inaczej. Wiele wskazuje na to, że Iran nie tylko był poważnym partnerem, lecz także miał zostać partnerem nuklearnym, a układ między Moskwą a Teheranem miał przypominać relację łączącą Chiny i Koreę Północną. Dlatego zniszczenie irańskiego programu atomowego jest ciosem bolesnym, a ewentualny upadek reżimu ajatollahów byłby klęską na miarę utraty Ukrainy. I wiele wskazuje na to, że jedyna pomoc, którą Moskwa mogłaby teraz zaproponować Alemu Chamenei, to azyl. Do tego – na szczęście dla Putina – daleko, jednak musi on przełknąć po raz kolejny to, że jego kraj nie tylko wykazuje się słabością, lecz także wszyscy to widzą.

Izraelski analityk wojskowy Daniel Rakov opublikował między rozpoczęciem wojny przez Izrael a atakiem amerykańskim tekst pod tytułem, który musiał zaboleć: „W związku z wojną Izraela z Iranem Rosja uczy się, jak nic nie znaczyć". Chłodno i bezwzględnie analizował on sytuację, w której Rosja po prostu nie posiada zasobów, aby coś zrobić, i to nie tylko w obliczu ostatniego ataku, lecz także w ciągu ostatniego roku, gdy Iran i Izrael wymieniały uderzenia powietrzne. Rakov kostycznie stwierdził, że Rosja nie dostarczyła wówczas systemów przeciwrakietowych nie tylko dlatego, że są jej potrzebne do obrony przed atakami ukraińskimi, lecz także dlatego, że zdawała sobie sprawę z tego, że zostałyby zniszczone przez Izrael. Rzeczowość tego podejścia poraża, bo nie ma w nim nic wrogiego, ot po prostu konstatacja faktu, że Rosja nic nie może militarnie zdziałać i dobrze, że się nie miesza w nie swoje sprawy.

Co istotne, ten komentarz pochodzi od przedstawiciela kraju, który utrzymuje z Rosją Putina robocze stosunki i prowadzi wobec niej politykę opartą na interesach, czasem z nią współpracując. Tu po prostu Rosja stanęła na drodze i należało jej powiedzieć, gdzie jest jej miejsce. Warto wziąć przy tym pod uwagę, że autor ponad 20 lat pracował w wywiadzie wojskowym swojego kraju. Zważywszy na to, że po utracie imperium sowieckiego kwestia odzyskania znaczenia międzynarodowego jest dla ludzi Putina nieomal obsesją, cios został wymierzony celnie.

Wyeliminowanie Iranu jako sojusznika Rosji byłoby ogromnym osłabieniem dla Kremla

Rosyjskie reakcje na atak izraelski, a następnie amerykański były klasycznie zorkiestrowane: Władimir Władimirowicz zachował umiar, jak zwykle w takich sytuacjach, dając sobie możliwość manewru w stronę eskalacji albo uspokojenia. Ministerstwo Siergieja Ławrowa wydało z siebie pełne oburzenia, emfa-

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. KREMLIN.RU

tyczne oświadczenia potępiające wojnę i agresję, co w jego wykonaniu brzmiało groteskowo, ale tym się w Moskwie nikt nie przejmuje. Natomiast szczególna rola przypadła Dmitrijowi Miedwiediewowi, który odgrywa rolę kogoś w rodzaju putinowskiego Romana Giertycha – jest harcownikiem mówiącym rzeczy, które często zawisają w przestrzeni bez oficjalnego komentarza, wyznaczając granice, do których Rosja może się posunąć. Prezydent może je zignorować, ale może także – jeśli sytuacja będzie sprzyjająca – pójść za sugestiami swojego współpracownika. Jest to sposób utrzymywania przeciwników w niepewności.

Miedwiediew w niespełna 24 godziny po amerykańskim uderzeniu opublikował na platformie X wpis z czymś w rodzaju analizy krytycznie oceniającej działania amerykańskie. Jej zasadniczym przekazem było to, że atak nie przyniósł oczekiwanych efektów, infrastruktura krytyczna Iranu doznała jedynie niewielkich uszkodzeń, a wzbogacanie uranu będzie trwało. Tu następowały dwa bardzo ważne zdania: „wzbogacanie – teraz możemy to powiedzieć wprost – w celu produkcji broni jądrowej" i „wiele krajów jest gotowych dostarczyć Iranowi głowice nuklearne". Następnego dnia Miedwiediew opublikował następny wpis, w którym pozornie wycofywał się z tego, co zamieścił wcześniej. Pisał, że „Rosja nie zamierza dostarczać Iranowi głowic", bo przecież jest sygnatariuszem Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

Cały ten kontredans został skomentowany przez obserwatorów jako efekt działania alkoholu, a następnie zdyscyplinowania przez naczalstwo. Tylko że przekaz zawarty w dwóch pierwszych zacytowanych zdaniach nie został w żaden sposób sfalsyfikowany. Miedwiediew oznajmił, że według jego wiedzy Iran istotnie usiłował zbudować bombę atomową, i wszelkie opowieści o tym, że wzbogacanie uranu do wysokich wartości miało li tylko charakter pokojowy, były właśnie opowieściami dla naiwnych. Natomiast zdanie o tym, że Rosja nie dostarczy Iranowi głowic, nie zaprzecza temu, że „są kraje" gotowe je dostarczyć. Kraje, wolno sądzić, niezwiązane układem o nieproliferacji. Liczba mnoga jest może nieco na wyrost, bo konkretnie jest to jeden kraj – Korea Północna. I tak się składa, że między tym krajem a Iranem jest droga nieomal w całości prowadząca przez terytorium Federacji Rosyjskiej.

Pierwszy wpis Miedwiediewa spowodował gwałtowne komentarze ze strony amerykańskiej. Donald Trump napisał gniewnie, że gdyby Iran dostał głowice od Rosji, reakcją byłoby użycie „najbardziej śmiercionośnej broni, którą kiedykolwiek wyprodukowano". To w jego stylu. Zaraz potem Rosjanin zamieścił drugi wpis i wielu komentatorów uznało, że nastąpiło uspokojenie sytuacji. Pozwalam sobie mieć inne zdanie. Rosja zagroziła – po pierwsze – współpracą z Iranem w produkcji broni jądrowej, a po drugie – wskazała niedwuznacznie, że Iran może otrzymać gotowe głowice, zachowując w tym komunikacie pewien stopień niejednoznaczności, jednak dostatecznie jasno wskazując kierunek.

ODZYSKAĆ SPRAWCZOŚĆ

Oba pomysły są obarczone ryzykiem i nie byłyby łatwe w realizacji. Współpraca z Iranem mogłaby się odbywać przy okazji już trwającego programu związanego z pokojowym wykorzystaniem energii jądrowej, w ramach którego w Iranie przebywa ok. 600 rosyjskich specjalistów, którzy pracują w elektrowni w Buszehr. Putin uzyskał teraz od Beniamina Netanjahu zapewnienie, że nie zostanie ona zaatakowana. Gdyby jednak produkowano w niej materiały do bomby, sytuacja uległaby zmianie. Wówczas Rosja stanęłaby wobec konieczności rozpięcia swojego parasola nuklearnego nad Iranem, czyli – mówiąc po prostu – zagrożenia odwetem, w razie gdyby nastąpił atak. Ekstremalnie ryzykowne. Współpraca Rosji z Koreą Północną wymagałaby zgody Chin, a północnokoreański dyktator zapewne zażądałby za nią sowitej zapłaty. Najeżona trudnościami byłaby także przeprawa transportu przez Morze Kaspijskie.

Dlaczego Rosja miałaby podjąć takie ryzyko? Po pierwsze, aby odzyskać sprawczość. Wyeliminowanie Iranu jako sojusznika byłoby ogromnym osłabieniem dla Putina. Gdyby w dodatku rzeczywiście nastąpiła zmiana reżimu w Teheranie, a nowe władze podjęły współpracę z Arabią Saudyjską, Izraelem i ze Stanami Zjednoczonymi, wyeliminowany zostałby potężny czynnik destabilizacji Bliskiego Wschodu i Rosja nie miałaby tam czego szukać. Natomiast wyposażenie ajatollahów w bombę całkowicie zmieniłoby układ sił. Sojusznicy Stanów Zjednoczonych byliby zagrożeni, można by podjąć próbę powrotu do Syrii, odbudowy Hamasu i Hezbollahu, nieomal zniszczonych przez Izrael w wyniku ostatniej wojny. Wszystko to pod parasolem atomowym. Rosja zyskałaby też w Iranie młodszego partnera, który odgrywałby podobną rolę jak Korea Północna wobec Chin. Pekin jest bowiem dla Kima rodzajem patrona, bo choć na zewnątrz tego nie okazuje i czasem decyduje się na potępienie północnokoreańskiego programu atomowego, to jednak w praktyce kontroluje ten kraj – 98 proc. handlu Korei Północnej to handel z Chinami. Pekin mógłby więc doprowadzić do denuklearyzacji Pjongjangu, a jeżeli tego nie zrobił, to zapewne dlatego, że wygodnie jest mu utrzymywać taki czynnik destabilizacji w regionie, w którym ma do załatwienia jeden bardzo ważny interes – opanowanie Tajwanu. Akcja przeciwko wyspie mogłaby zostać nieoficjalnie skoordynowana z działaniami północnych Koreańczyków, tworząc poważny problem strategiczny dla Ameryki.

Podobnie Rosja mogłaby stać się atomowym patronem dla nieprzewidywalnego zideologizowanego reżimu w Iranie. Układ między Moskwą a Teheranem byłby nieco podobny do tego, który jest między Putinem a Miedwiediewem. Strona pierwsza udawałaby, że nie odpowiada za działania partnera, ale korzystałaby z destabilizacji, którą powodowałaby strona druga. Konsekwencje tego byłyby trudne do wyobrażenia i dlatego lepiej by się stało, gdyby w Iranie nastąpiła jednak zmiana władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Tusk coraz częściej chybia

Piotr Semka

Donald Tusk znalazł się już w potrzasku. Nie potrafi reagować na nowe sytuacje inaczej niż lansowaniem coraz bardziej fantastycznych teorii spiskowych. A jego koalicjanci po raz pierwszy zdobyli się na twarde „nie" wobec kolejnej próby wywołania politycznej wojny domowej

FOT. STACH ANTKOWIAK/REPORTER

W polskiej polityce pojawiła się nowa linia podziału. Po jednej stronie obóz szaleństwa politycznego snujący plany zamachu stanu, który od niedawna zaczął żyrować Donald Tusk. Po drugiej stronie politycy zarówno z opozycji, jak i części koalicji 13 grudnia, którzy zaczęli się bać, że obecny premier ulegający Giertychowi to droga do katastrofy. Donald Tusk, przyłączając się do hasła ponownego przeliczenia wszystkich głosów, po raz pierwszy od wielu lat wepchnął swoją partię w polityczną izolację. A przecież jeszcze trzy tygodnie temu dystansował się od jednoznacznego poparcia akcji, której twarzą stał się Roman Giertych.

PLATFORMA OPUSZCZONA PRZEZ KOALICJANTÓW

24 czerwca – Sejm. Na trybunę wchodzi Adrian Zandberg. „W Polsce jest ponad 321 tys. komisji wyborczych i ćwierć miliona ludzi w tych komisjach, ofiarnie, często do późna w nocy uczciwie pracowało, licząc głosy. Tym ludziom należy się od Wysokiej Izby szacunek i podziękowanie, a nie sianie »szurskich« teorii spiskowych" – grzmi brodaty olbrzym.

„Słyszę zupełnie szaleńcze scenariusze, żeby nie zwoływać Zgromadzenia Narodowego. Chcę powiedzieć bardzo jasno, że ze strony Razem nie będzie zgody na wywracanie porządku konstytucyjnego, a demokracja koniec końców zawsze polega na tym, żeby zgodzić się i uszanować taki wynik wyborów także wtedy, kiedy nie my je wygrywamy" – oświadcza lider partii Razem. Na słowa Zandberga natychmiast reaguje marszałek Szymon Hołownia: „Panie pośle, chcę tylko powiedzieć, że to ja zwołuję Zgromadzenie Narodowe, i chcę panu powiedzieć, że będzie dobrze".

Ta wymiana zdań wyrażająca zgodny sprzeciw wobec haseł powtarzanych przez polityków Platformy to dobry przykład zmiany sytuacji politycznej. Oprócz Zandberga i Hołowni od haseł ponownego liczenia głosów odciął się też lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. Z teorii o masowym spisku, który miał objąć setki czy nawet tysiące komisji wyborczych, kpi także Anna Maria Żukowska z Lewicy.

Tak otwartego podziału w koalicji 13 grudnia nie było od dawna. Co więcej, nawet spora część publicystów, których trudno posądzać o jakieś sympatie wobec PiS, odżegnuje się od pomysłów ponownego liczenia głosów. Takie stanowisko zajęli np. prof. Ewa Łętowska, prof. Jarosław Flis czy szanowany konstytucjonalista prof. Ryszard Piotrowski. Zaniepokojenie zaangażowaniem się Donalda Tuska i wielu innych ważnych polityków Platformy w kwestionowanie wyników wyborów wyrazili publicznie tacy publicyści jak Jakub Majmurek pisujący w „Newsweeku" czy np. Michał Danielewski do niedawna współnaczelny OKO.press.

WIĘŹNIOWIE WŁASNEJ BAŃKI

A jednak Platforma nie przestaje podbijać bębenka w akcji, której twarzą jest Roman Giertych. Pomysły liczenia głosów przez policję wysuwa sędzia Igor Tuleya. Marcin Kierwiński, jeden z czołowych polityków PO, publicznie ogłasza poparcie dla zapowiedzi ministra Adama Bodnara weryfikacji głosów w ponad 1400 komisji. Płomienne wezwania do akcji na rzecz ponownego przeliczenia głosów zamieszcza „Gazeta Wyborcza". W TVP bardzo wyraźnie kreowana jest aura politycznego wzmożenia poprzez żółte paski epatujące „ponad 50 tys. protestów wyborczych".

Te dwa światy politycznego zacietrzewienia i resztek elementarnego zdrowego rozsądku ścierać się będą w najbliższych tygodniach. Dlaczego jednak tym razem Platformie nie udało się uzyskać wpływu już nie tylko na większość Polaków, lecz także na polityczny obóz koalicji 13 grudnia i – szerzej mówiąc – na sporą część lewicowo-liberalnych elit? Po pierwsze, PO nie zrozumiała, jak ważną wartością dla większości opinii publicznej jest szacunek dla trybu wyborczego, który należy do jednej z niewielu wartości, która jeszcze pobudza ludzi dobrej woli po obu stronach publicznego sporu. Po drugie, platformersi na czele z Donaldem Tuskiem nadal nie

eprasa.pl 7bcb357858

rozumieją, jak bardzo zmienił się rynek komunikacji zbiorowej. Jeszcze dwie dekady temu wstępniaki redaktorów „Gazety Wyborczej", wzywające do nieuznawania wyników wyborów z 1 czerwca bieżącego roku, wywoływałyby ogromny wpływ na polską scenę polityczną. Dziś jest to głos, który wcale nie dominuje w debacie zbiorowej. A tak absurdalna teza o skręceniu wyborów miałaby szansę zatrząść polityką tylko w warunkach medialnej dominacji obozu liberalno-lewicowego. W świecie, w którym ludzie zainteresowani polityką czerpią wiadomości z Internetu, w ładzie medialnym, w którym swoistą rewolucję zrobił Kanał Zero i działają dwie silne telewizyjne stacje prawicowe, nie da się już powtórzyć wywoływanej ad hoc histerii medialnej, która niegdyś przyczyniła się do obalenia rządu Jana Olszewskiego.

I wreszcie trzeci czynnik – niezdecydowanie Donalda Tuska. Pod wpływem bardzo szybkiego uznania wyniku wyborów przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen początkowo dystansował się on od hasła ponownego przeliczenia głosów. Ale po dwóch tygodniach dał się ponieść nastrojom i ogłosił swój słynny tweet, w którym z dużą dozą perfidii pytał Karola Nawrockiego, czy „nie chce poznać prawdziwych wyników wyborów?". Nikt nie ma złudzeń, że bez zielonego światła lidera PO jego podwładni nie pozwalaliby sobie na tak wyraźne lansowanie hasła o sfałszowaniu wyborów.

To samo dotyczy TVP w likwidacji, która bardzo wyraźnie przyłącza się do straszenia Polaków hasłami rzekomego, domniemanego fałszerstwa wyborczego.

Czy Tusk boi się jakiejś gniewnej reakcji Waszyngtonu? Być może w swoim własnym mniemaniu prowadzi politykę środka – sam ogranicza się tylko do jątrzących tweetów, ale większość aktywności w kwestii negowania wyników wyborów zostawia Romanowi Giertychowi. Tyle że taka połowiczna polityka nic nie daje. Jeśli nawet tak ostrożni wobec Tuska politycy jak Władysław Kosiniak-Kamysz czy Szymon Hołownia zdecydowali się na twarde „nie" wobec szaleństw platformerskich zagończyków, to znaczy, że paraliżująca siła Tuska wyraźnie osłabła.

FATALNY WODZIREJ

Ważnym czynnikiem słabości kampanii przeciw wynikom wyborów prezydenckich było to, że twarzą nowej operacji jest Roman Giertych. To polityk, który w coraz większym stopniu staje się kulą u nogi Tuska. Giertych mnoży coraz to nowe teorie spiskowe na temat wyborów. Nieprzypadkowo budzi też obawy nawet w samym obozie Platformy. Według medialnych plotek bardzo wielu polityków niepokoją ambicje byłego szefa Ligi Polskich Rodzin, który chciałby zastąpić Adama Bodnara w fotelu ministra sprawiedliwości. O tym, że znany adwokat ma na to apetyt, świadczą jego wypowiedzi z tych krótkich dwóch godzin, gdy cała Platforma przekonana była o zwycięstwie włodarza Warszawy w wyborach prezydenckich. Giertych ogłaszał wtedy intensyfikację rozliczeń wokół PiS, a pytany o to, jak ma to wyglądać, tajemniczo odpowiadał: „A to już zobaczy pan, panie redaktorze".

W tym kontekście zwraca uwagę wyciek materiałów z Ministerstwa Sprawiedliwości na temat sprawy Polnordu. Dziennikarze Wirtualnej Polski, do których dotarły materiały na temat tego śledztwa, mieli podstawy do tego, by postawić bardzo poważne zarzuty wobec decyzji prokuratury o umorzeniu śledztwa wobec Giertycha. Co ciekawe zresztą, publikacje Wirtualnej Polski wywołały furię Wojciecha Czuchnowskiego z „Gazety Wyborczej". Uznał on przeciek z Ministerstwa Sprawiedliwości za dowód istnienia „pisowskiego deep state". O wiele bardziej prawdopodobne jednak było to, że pojawienie się w mediach – znów bardzo odległych od PiS – materiałów kompromitujących Giertycha działało na korzyść Adama Bodnara, który nie ma ochoty rozstawać się ze swoim gabinetem w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Kolejną wskazówką, że Roman Giertych zaczyna przerażać osobowości skądinąd życzliwe Donaldowi Tuskowi, są informacje o tym, że szef Naczelnej Rady Adwokackiej, Przemysław Rosati, odrzucił propozycję zastąpienia Adama Bodnara. Według kuluarowych plotek Rosati miał oświadczyć, że nie chce być kukiełką w rękach duetu Roman Giertych – mecenas Jacek Dubois.

Jeśli do prawda, to oznacza to, że wizja przejęcia przez Giertycha zarówno funkcji ministra sprawiedliwości, jak i prokuratora generalnego okazała się o jednym żartem Donalda Tuska za dużo.

NA KOŃCU KORYTARZA

Donald Tusk zawsze lubił mieć na smyczy jakiegoś politycznego agresora. Kiedyś w tej roli gustował Janusz Palikot, a teraz rolę tę odgrywa Roman Giertych. Tyle że jeśli Palikot nie kojarzył się innym politykom PO z zagrożeniem, to Giertych potrafi wywoływać u części polityków Platformy autentyczny lęk. Oczywiście można przyjąć, że warunkowe wsparcie Tuska dla kampanii Giertycha miało służyć wieloletniej kampanii odbierania prestiżu Karolowi Nawrockiemu. Ale na razie negowanie wyników wyborów umacnia wizerunek Platformy, która nie jest zdolna do uczciwej analizy popełnionych w kampanii prezydenckiej błędów, a jedyne, co umie, to tylko podbijanie antypisowskich emocji. Rząd wyczerpał wszystkie działające dotychczas chwyty Tuska pod publiczkę. Wzrost gospodarczy wyraźnie kuleje. Jak wskazuje Witold Gadomski z „Gazety Wyborczej": „Rząd Tuska drży przed dalszym pogarszaniem się wyników ekonomicznych". Jak prognozuje Gadomski, jeśli wzrost gospodarczy obniży się do poziomu bliskiemu zeru, to może dojść do kumulacji niekorzystnych zjawisk. W gospodarce, w służbie zdrowia i na rynku pracy.

Takiego kryzysu nie da się zażegnać kolejnymi dotacjami, bo kasa jest już pusta, nie da się też go przykryć propagandą lub zwalić winę na poprzedników. Wszystkie dotychczasowe patenty Donalda Tuska na rządzenie przestały działać. Co więcej, gaśnie jego mit politycznego cudotwórcy. Po przegranej Rafała Trzaskowskiego za parę tygodni może przegrać walkę o niedopuszczenie do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Donald Tusk znalazł się już w potrzasku. Nie potrafi reagować na nowe sytuacje inaczej niż lansowaniem coraz bardziej fantastycznych teorii spiskowych. A jego koalicjanci po raz pierwszy zdobyli się na twarde „nie" wobec kolejnej próby wywołania miniwojny domowej.

Jan Maria Rokita zastanawia się, czy Tusk nie odejdzie, nie chcąc ciągnąć Platformy do momentu kampanii sejmowej 2027 r. Pytanie jednak, czy taki zaplanowany odwrót jest jeszcze możliwy. Nie widać zbyt wielu chętnych w koalicji do sprzątania po bałaganie, za który odpowiada Wielki Donald.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Bukareszt nad Wisłą? Serio?

Minister sprawiedliwości Adam Bodnar domaga się przekazania kart wyborczych, celem ich przeliczenia, miejscowym prokuratorom

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Premierowi nie chodzi o wyprowadzenie wojska na ulice, ale o wyprowadzenie swojej partii ze Zgromadzenia Narodowego w chwili ślubowania „nielegalnego neoprezydenta" i potem podważanie na każdym kroku jego „moralnego prawa" do sprawowania „ukradzionego" urzędu

Dlaczego PO zaczęła domagać się ponownego przeliczenia głosów w wyborach dopiero wtedy, gdy stało się to niemożliwe? Moim zdaniem – właśnie dlatego. I właśnie dlatego domaga się tego tym głośniej, im bardziej jest to niemożliwe. Niemożliwe zaś jest zarówno w świetle prawa, które pozwala Sądowi Najwyższemu nakazać ponowne liczenie głosów tylko w tych komisjach, w których zgłoszono konkretne zastrzeżenia do wyniku (a strona przegrana zgłosiła je w kilkunastu z – przypomnijmy – prawie 32 tys.), jak i faktycznie, gdyż po zaakceptowaniu przez PKW poszczególnych protokołów głosy nie zostały w żaden sposób zabezpieczone. Polskie prawo nie przewiduje żadnej procedury zabezpieczania zużytych kart do głosowania po zaakceptowaniu przez PKW protokołu wyborczego. Mogą one jeszcze leżeć w jakichś składzikach w urzędach gminy, bez żadnej gwarancji, że to wszystkie głosy z danej komisji, że nic z worków nie ubyło ani niczego tam nie dorzucono – a w niektórych okręgach wyborczych być może zostały już zmielone. Nie istnieje też żadna procedura określająca, kto miałby je ponownie liczyć. Miałyby do tego zostać zebrane te same komisje wyborcze, w tym samym składzie? Mniejsza z tym, kto, z jakiego funduszu i na jakiej podstawie prawnej miałby ponad 100 tys. ich członków zapłacić za powtórne wykonanie tej samej pracy. Ale jaki miałoby to sens, skoro domagający się przeliczenia twierdzą, że komisje zostały spenetrowane przez spisek i nie można im ufać? Kto i jak miałby teraz wyznaczyć „wiarygodnych" liczących?

Kolejne pomysły brzmią coraz bardziej groteskowo, ale za to pojawiają się na coraz wyższych szczeblach. W kampanię wdał się – zresztą wywołany po nazwisku przez kierownika całego zamieszania, Romana Giertycha – minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar, domagając się przekazania kart wyborczych, celem ich przeliczenia, miejscowym prokuraturom. Prokuratur regionalnych mamy w Polsce ok. 300, a więc każda musiałaby przeliczyć karty z ponad 100 komisji. Pomińmy już, że prokuratorzy powinni zajmować się ściganiem przestępstw, bo wielka ich część i tak już od dawna tego nie robi, skierowana przez Bodnara do różnych „specjalnych zespołów" mających znaleźć „haki" na PiS. Ale niemożność ogarnięcia przez nich takiego zadania oczywista jest nawet dla samego Bodnara. Zapowiada on więc, że prokuratury zlecą to liczenie wskazanym przez siebie podwykonawcom, np. policji. A może straży pożarnej? A może urzędnikom skarbowym? Albo po prostu lokalnym ogniwom PO, KOD czy innych „Akcji Demokracji", na okoliczność liczenia podniesionym – powiedzmy uchwałą sejmową – do rangi „pomocniczych prokuratorów", analogicznie do zarządzeń niemieckich z lat 30. ubiegłego wieku, które nadały uprawnienia „pomocniczej policji" bojówkom partii rządzącej.

MYŚLENIE PARANOICZNE

Jest oczywiste, że ewentualne „ponowne liczenie głosów" musiałoby zamienić się w cyrk, w którym każdy liczyłby sobie, co by chciał, jak by chciał, a wyniki tych „obliczeń" i tak znane byłyby z góry, po jednym spojrzeniu w media społecznościowe danego „rachmistrza". Trudno nawet o tym poważnie rozmawiać. Tymczasem w narastający jazgot „trzeba ponownie przeliczyć głosy w całym kraju" włączają się rozpoznawalni politycy PO, ministrowie (oprócz wspomnianego Bodnara – wiceszef MON Cezary Tomczyk, z wiekopomnym argumentem: „Jeśli w każdej komisji ukradziono Trzaskowskiemu tylko siedem głosów, to znaczy, że tak naprawdę to on jest prezydentem"), na czele z samym premierem, publicznie nawołującym, by poznać „prawdziwy wynik tych wyborów".

Opowieść o „zamienionych głosach" rozwija się zgodnie ze wszystkimi doskonale opisanymi przez podręczniki psychologii i socjologii zasadami „myślenia paranoicznego", uznającego brak dowodu za dowód. Wobec oczywistej niemożności uzyskania sądowej decyzji ponownego przeliczenia czy tym bardziej powtórzenia wyborów argumentem „oczywistych nieprawidłowości" jest sama ta decyzja: skoro „PiS-owcy boją się ponownego przeliczenia", to już wszystko jasne. Poza tym wiadomo – Sąd Najwyższy to od dawna dla PO „Sąd Schrödingera", który jednocześnie jest sądem (gdy uznaje ważność wyborów dla partii korzystnych) i nim nie jest (gdy uznaje wyniki dla partii niekorzystne).

eprasa.pl 7bcb357858

Ten „dowód" podstawowy obudowany jest dodatkowymi. Po pierwsze – liczbą protestów wyborczych. Przysłano ich przecież 50 tys.! W istocie – faktycznych protestów, w rozumieniu prawa, było według prezes SN Małgorzaty Manowskiej i rzecznika SN Aleksandra Stępkowskiego ok. 800 (najmniej w dziejach III RP – co zresztą oczywiste, zważywszy, ile nawzajem patrzących sobie na ręce ruchów kontroli wyborów dochowaliśmy się po poprzednich doświadczeniach), cała resztka to skserowane świstki, wrzucone do sieci z prośbą o zasypanie nimi SN przez Giertycha oraz europosła Michała Wawrykiewicza i oparte na „argumentacji prawnej" dającej się streścić w zdaniu: „Ja niżej podpisany protestuję przeciwko sfałszowaniu wyborów, bo w uczciwych wygrałby Trzaskowski". Po drugie – „analizami statystycznymi", z braku twardych danych opartych na uznaniowo przyjmowanych kryteriach i branych z sufitu danych (np. nagłośniony przez „Gazetę Wyborczą" autor jednej z nich, dr Krzysztof Kontek z SGH, oparł się na korelowaniu wyników z kodami pocztowymi, otwarcie zresztą przyznając, że liczył „tylko w jedną stronę", szukając „statystycznie nieuzasadnionych" niskich wyników w obszarze danego kodu pocztowego kandydata Trzaskowskiego).

Poza tym jest jeszcze „aplikacja Mateckiego" (zaaprobowana przez PKW aplikacja używana przez członków Ruchu Kontroli Wyborów do sprawdzania, czy dana osoba nie oddawała już głosu w innej komisji, z którą zresztą poseł Dariusz Matecki nie miał nic wspólnego i wobec której zgłaszano zastrzeżenia – z uwagi na RODO, a nie jakikolwiek jej wpływ na liczenie głosów), wytworzono też legendę o „masowym unieważnianiu głosów" (choć głosów nieważnych było w skali kraju 180 tys., mniej więcej tyle, co zwykle) no i jak zwykle sięgnięto po ekspertów, na czele z „zawsze wiernym" partii prof. Markiem Safjanem, który nie zawahał się kompletnie ośmieszyć, głosząc poglądy diametralnie sprzeczne z tymi, które wygłaszał kilka miesięcy wcześniej, gdy był jeszcze pewien wygranej Trzaskowskiego. Komizm tej opowieści narasta zresztą lawinowo i po tym, jak Roman Giertych w programie Moniki Olejnik „z całą odpowiedzialnością" oskarżył o „nielegalne przejęcie tysięcy komisji wyborczych" marginalną organizację „Braci Kamratów" patostreamera Witolda Olszańskiego, trzeba doprawdy ogromnej gotowości „zawieszenia niewiary", by traktować „dowody" Giertycha poważnie.

Wszystkie te dowody („których jest zbyt wiele, by przejść nad nimi do porządku dziennego" – to też klasyczny argument konspiracjonizmu) służą sformułowaniu żądania, by, nawet jeśli Sąd Najwyższy nie da się „zaspamować" kserówkami Giertycha i Wawrykiewicza i uzna w wymaganym terminie ważność wyboru Karola Nawrockiego – czyli okaże się na ten moment sądem „nieistniejącym w świetle prawa europejskiego" – marszałek Sejmu nie zwoływał Zgromadzenia Narodowego w celu złożenia ślubowania przez prezydenta elekta, tylko samowolnie uznał urząd prezydenta za „opróżniony" i sam przejął jego funkcje.

Gdy w sferach rządzących artykułowane jest takie oczekiwanie, cała farsa, uruchomiona przez Giertycha – a właściwie, o czym warto przypomnieć, anonimowego internautę o nicku KoronaWuhan, który nazajutrz rankiem przepraszał za swoją „analizę statystyczną" i wyjaśniał, że „zrobił ją po pijaku" i do głowy mu nie przyszło, iż wywoła nią taką burzę – powoli przestaje być śmieszna. Rodzi się pytanie: A może to na serio? Może PO nie tylko odreagowuje przegraną? Może Giertych nie tylko oddaje sfrustrowanej sekcie Tuska tę samą przysługę, co swego czasu Jerzy Urban sekcie Wojciecha Jaruzelskiego, jak o tym pisałem tydzień temu, ale – może na serio planuje zamach stanu? Bo przecież odmowa uznania wyboru Karola Nawrockiego nie byłaby niczym innym.

INACZEJ NIŻ W RUMUNII

Może mniej skłonni bylibyśmy sobie to pytanie zadawać, gdyby nie wydarzenia w Rumunii, na które zresztą, jako na wzór do działania, otwarcie powołują się ludzie Tuska (m.in. senator Waldy Dzikowski). Ale tam jednak mieliśmy do czynienia z czymś zupełnie innym – w Bukareszcie decyzji o unieważnieniu wyborów nie podjęło jakieś samozwańcze gremium czy uzurpujący sobie nieprzysługujące mu kompetencje minister albo nawet premier, posiłkując się domowej roboty „analizami", opiniami „ekspertów" i spiskowymi oskarżeniami. Podjął ją sąd konstytucyjny – zapewne stronniczy, bo z politycznych nominacji, ale działający legalnie i na podstawie obowiązującego prawa, na wniosek służb specjalnych, które postawiły konkretny zarzut. Zresztą ten sam, który w Polsce postawiono i udowodniono Rafałowi Trzaskowskiemu – nielegalne finansowanie kampanii internetowej z zagranicy.

Kluczowy dla powodzenia postulowanego coup d'état marszałek Szymon Hołownia zresztą już się od niego odciął – poza wszystkim od 20 lat więzienia do dożywocia, bo tyle grozi za udział w zamachu stanu, to jednak mało atrakcyjna perspektywa. W ogóle akcja Giertycha skutecznie podzieliła koalicję, bo politycy Trzeciej Drogi i Lewicy mniej lub bardziej stanowczo, ale jednoznacznie się od podważania wyniku wyborów zdystansowali. Nie widać, na jakich siłach miałby się oprzeć Tusk, coraz bardziej niepopularny nawet we własnym politycznym zapleczu, gdyby chciał się zdecydować na „wariant siłowy". Czy policja i wojsko dałyby się użyć, poza prawem, przeciwko społeczeństwu? I czy otoczenie międzynarodowe zaakceptowałoby takie działania w Polsce (przedstawiciele administracji Donalda Trumpa już bardzo wyraźnie zapowiedzieli: nie ma mowy)?

Wizja jakiejś „Wojskowej Rady Ocalenia Praworządności Jak Ja Ją Rozumiem", z generałami Jarosławem Stróżykiem i Piotrem Pytlem na czele, nie wydaje się jednak realna, chyba że w kabarecie. Na zadane w tytule pytanie „Czy to na serio?", mimo uporczywego eskalowania opowieści o „zamienionych wynikach", odpowiedź nadal brzmi: raczej nie, to na użytek wewnętrzny PO. Tusk chce mieć „swój zamach smoleński", bo wierzy (wbrew faktom), że to właśnie narracja o zamachu i „miesięcznice smoleńskie" pozwoliły PiS przetrwać klęski wyborcze lat 2007–2014, i sam się szykuje teraz na podobne przetrwanie, w totalnej negacji wszystkiego. Nie chodzi mu o wyprowadzenie wojska na ulice, ale o wyprowadzenie swojej partii ze Zgromadzenia Narodowego w chwili ślubowania „nielegalnego neoprezydenta" i potem podważanie na każdym kroku jego „moralnego prawa" do sprawowania „ukradzionego" urzędu. Rację mają wszyscy, którzy mówią, że to zachowanie krańcowo nieodpowiedzialne i szkodliwe dla państwa – ale ile znaczy dla Tuska interes państwa i narodu polskiego, wiemy nie od dziś, a w sytuacji, w której się znalazł, chyba nie potrafi wymyślić nic innego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Z Grzegorzem Braunem, prezesem Konfederacji Korony Polskiej, posłem do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polacy nie będą płacić za politykę Netanjahu

RYSZARD GROMADZKI: Na naszych oczach realizuje się scenariusz, przed którym konsekwentnie pan przestrzegał. Wbrew zapewnieniom rządu Tuska do Polski przenikają tysiące wypychanych z Niemiec migrantów z Afryki, Azji i innych części świata. Straż Graniczna ani policja nie reagują. Czy Polaków czeka los obywateli drugiej kategorii we własnym kraju?

GRZEGORZ BRAUN: Rząd Tuska realizuje plan, który został przyjęty i zaakceptowany przez rząd Morawieckiego. Aktualna władza podąża tą koleiną, którą wyznaczyła władza poprzednia. Kapitulując wobec Unii Europejskiej na całej linii we wszystkich kwestiach. Skoro został zaakceptowany Zielony Ład, czyli zaoranie rolnictwa i górnictwa, skoro została zaakceptowana bezalternatywna polityka podżegaczy wojennych na kierunku ukraińskim, kosztem Polski, Polaków, Wojska Polskiego, no to nie dziwota, że i pakt migracyjny został zaakceptowany. To ministrowie poprzedniego rządu otwierali przecież pierwsze centra integracji cudzoziemców, przeciwko którym, zwłaszcza na użytek kampanii prezydenckiej, tak buńczucznie protestowali.

Prezydent elekt Karol Nawrocki zapowiedział w trakcie kampanii, że jednostronnie wypowie pakt migracyjny. A sam PiS w czasie kampanii stawiał się w roli niezłomnych obrońców „naszych polskich granic" jak w harcerskiej piosence sprzed lat...

Lepiej późno niż wcale, ale i uczucie zagrożenia jest dziś coraz bardziej powszechne. Mogę w każdej z tych spraw powtórzyć bez cienia niskiej satysfakcji: „A nie mówiłem?". Sprzeciwialiśmy się ukrainizacji, islamizacji, judaizacji Polski. Dzisiaj dochodzi do tego właśnie wątek żydowski. Zwróćmy uwagę, że nowa odsłona wojny na Bliskim Wschodzie, eskalacja, w przypadku której nie sposób przewidzieć, do czego jeszcze doprowadzi, może łatwo przerodzić się w exodus ofiar wojny z Bliskiego Wschodu do jakichś terenów nowego, bezpiecznego osiedlenia.

To przecież kolejne „wojny prewencyjne" prowadzone czy inspirowane przez Izrael kreowały nowe fale migracji via Bliski Wschód i Afryka Północna do Europy i nie tylko.

Tak jest. Tylko że teraz nie wiemy, czy przypadkiem nie zostanie skierowany

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

już do realizacji scenariusz operacji „Most 2". Operacji analogicznej, co starsi z nas pamiętają, do tej z przełomu lat 80. i 90. poprzedniego wieku. Był to jeden z bardziej istotnych wątków scenariusza transformacji ustrojowej przepoczwarzenia PRL w post-PRL. Ten scenariusz był następstwem umowy Wschód-Zachód, Moskwa-Waszyngton dotyczącej, zresztą z wykorzystaniem logistyki służb PRL-owskich i post-PRL-owskich, transferu Żydów z państw postsowieckich do pewnego państwa położonego na Bliskim Wschodzie. Otóż dzisiaj należy się liczyć z odwróceniem tego scenariusza. Być może takim prognostykiem, niczego nieprzesądzającym, była groteskowa przemowa „pornorabina" Szmula Boteacha na konferencji transatlantyckich konserwatystów w Jasionce w ostatnich dniach kampanii prezydenckiej. Zwróćmy uwagę, że ów ekscentryczny rabin z Nowego Jorku, który najwyraźniej został skierowany na „odcinek polski", wspomniał, niejako proroczo, bo jeszcze przed bombardowaniami Teheranu, że Polska jest tak przyjazna Żydom i tak solidarna z Izraelem, że my razem – taki scenariusz nakreślił, używając liczby mnogiej – to znaczy Żydzi z Polakami, będziemy się skutecznie bronić przed islamizacją.

Jeśli mówi pan o operacji „Most 2", to rzuca to istotny rys na projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego... Tak gigantyczny transfer ludzi potrzebuje przecież odpowiedniej infrastruktury...

Myślę, że nie trzeba tu rozwijać żadnego scenariusza science political fiction, tylko po prostu jedno z drugim i trzecim się rymuje. Dlatego skorzystam z okazji i podyktuję niejako do protokołu mój sprzeciw wobec budowania takiej propagandowej akcji solidarności Polaków z Żydami oraz mój sprzeciw wobec jakiejkolwiek zorganizowanej inwazji Żydów z Bliskiego Wschodu i diaspory na Polskę. Wzywam wszystkich rodaków, by otworzyli oczy na to zagrożenie, a Żydom najuprzejmiej rekomenduję, żeby problemy, których sami sobie napytali, rozwiązywali we własnym zakresie tam, gdzie być może te problemy ich przerastają, ale to nie jest powód, żebyśmy my, Polacy, płacili koszty obłędnej, także ludobójczej i katastrofalnej dla własnego narodu, polityki takich rzeźników jak Netanjahu i jego współpracownicy.

Już słyszę histeryczne głosy pana licznych wrogów, że Braun znowu babrze się w chorych teoriach spiskowych, powodowanych obsesyjnym antysemityzmem.

Powoduje mną, można użyć nawet słowa „obsesyjny", propolonizm, zwyczajnym językiem nazywany patriotyzmem. Mój patriotyzm jest niepodzielny. Notabene chciałbym z tego wyciągać także praktyczne wnioski prawnoustrojowe. Aktualna sytuacja powinna nas motywować do bardzo pilnego wykluczenia podwójnego obywatelstwa. W ostatnich tygodniach parlament Ukrainy, można powiedzieć, rozwiązał ręce, uwolnił swoich obywateli od dylematu, w który wielu z nich popadło, przenosząc się do Polski. Otóż parlament ukraiński pozwala Ukraińcom sięgać po polskie obywatelstwo, co nie będzie aktem nielojalności wobec upadłego państwa ukraińskiego.

Jak wiadomo, kolejne polskie rządy na przestrzeni kilkunastu ostatnich lat ochoczo udzielały polskiego obywatelstwa obywatelom Izraela.

Ta praktyka jest stanowczo zbyt łatwa. Musimy pilnie przeprowadzić ustawę lub ustawy, które zagwarantują, że służbę państwu polskiemu – czy to mundurową, czy to cywilną – będą mogli pełnić posiadacze jednego, wyłącznie polskiego paszportu. Jest inaczej. Dzisiaj w rządzie mamy nosicieli paszportów obcych państw. Przypomnę: jeden z wiceministrów spraw zagranicznych, Bartoszewski Junior, jest lojalnym poddanym Korony Brytyjskiej. Moim zdaniem to czyni go trwale niezdolnym do polskiej służby państwowej. Obawiam się, że nie jest to jedyny taki przypadek. Nie wiemy, do czego doprowadzi eskalacja wojny na Bliskim Wschodzie. Nikt, nawet sam Donald Trump, nie ma bladego pojęcia, jak daleko sięgnie dynamika zdarzeń, którą uruchomił atak Izraela na Iran.

USA są zakładnikiem Izraela w jego wojnie z Iranem? Ameryka działa znów w interesie Izraela, ale już nie w interesie Amerykanów. Wielu wyborców Trumpa ma prawo czuć się zdradzonymi. Donald Trump obiecywał erę pokoju, a być może wpłącze USA w kolejną wojnę w interesie Izraela.

Do tego Żydzi przekonali amerykańską administrację przecież już kilkanaście lat temu. Przypomnę, że wojna z Iranem szykowana była na rok 2012. To jest twardy fakt, a nie żadna pogłoska, miejska legenda czy teoria spiskowa. Ta wojna była już przygotowana, zresztą wspominałem chyba kiedyś o tym na tych łamach. Nie doszło do tego wówczas z różnych przyczyn, ale chyba najbardziej istotne było to, że Rosjanie włożyli kij w szprychy i zatrzymali reakcję domina w postaci „arabskich wiosen", nie dopuszczając do zaprowadzenia tzw. demokracji w Syrii. Bez tego uderzenie na Iran połączonymi siłami Izraela i Stanów Zjednoczonych najwyraźniej nie było możliwe. Ten warunek został jednak spełniony. Jak wiadomo, pod koniec zeszłego roku ta, w bardzo grubym cudzysłowie, demokracja w Syrii została zaprowadzona, w związku z czym

eprasa.pl 7bcb357858

trwają tam polowania na chrześcijan i różne tragiczne rzeczy się dzieją, no ale syryjska przestrzeń powietrzna jest otwarta dla izraelskich samolotów. Dlaczego retoryka wikłania imperium amerykańskiego w wojnę z Iranem jest zasadna? Ano dlatego, że jest to oczywiście wojna per procura z Chinami. Iran stanowi dla Chin rezerwuar paliw, ropy naftowej, bez której bilans energetyczny imperium chińskiego się nie domyka. Pisał o tym już przed laty publicysta w naszym pokoleniu dobrze znany, Jerzy Targalski.

Skoro taka jest stawka, to trudno zakładać, że Chiny zrezygnują z newralgicznych zasobów Iranu bez walki. Czy wobec tego wojna Izraela z Iranem może zamienić się w czołowe zderzenie imperiów amerykańskiego z chińskim?

Chiny uczestniczą w wielkiej grze mocarstw, sięgając po status adekwatny do swojego rozmiaru i potęgi już od końca ubiegłego stulecia. Wypowiedź prezydenta Xi z ostatnich dni jest naprawdę znamienna. Takich słów nie słyszałem nigdy wcześniej. Xi powiedział, posługując się zresztą robiącą wrażenie retoryką, że „świat idzie naprzód i pójdzie naprzód ze Stanami Zjednoczonymi czy bez nich". Do tej pory takie słowa nie padały. Prezydent Xi w bardzo bezpośredni sposób diagnozuje sytuację. Oto imperium amerykańskie, na pewno podupadłe, a czy upadające, to się właśnie szybko okaże. To imperium wykonuje różne gwałtowne ruchy, zabiegając o utrzymanie swojej hegemonii już nie globalnej. Ale przynajmniej regionalnej. Te gwałtowne ruchy okazują się przeciwskuteczne, bo jeżeli Amerykanie zdecydowali się uderzyć na cele w Iranie, to w moim przekonaniu wyszli „na spalonym". Przewaga jest po stronie Chin, dlatego że cały czas rezerwują sobie rolę niezależnego arbitra wobec tego konfliktu. Nie rozwijając tego dalej, ponieważ na pewno jest to poza naszą sprawczością, a także poza zasięgiem pełnej, pogłębionej analizy, jak ta wojna będzie się dalej rozwijała, chciałbym wrócić do sprawy polskiej.

Właśnie. Jakie ryzyko dla Polski niesie wojenny pożar na Bliskim Wschodzie?

Są naprawdę wystarczająco mocne powody, byśmy się mocno trzymali i nie dopuszczali do robienia z nas żyrantów tej izraelsko-amerykańskiej agresji na Iran.

Przecież pan świetnie wie, że żadna polska władza, łącznie z prezydentem elektem, nie zdobędzie się na żadną niezależność wobec Izraela czy USA.

Wręcz przeciwnie. Padają bardzo jednoznaczne wypowiedzi. Czy to Sikorski, czy Morawiecki stają karnie w szeregu bezkrytycznych, lojalnych wasali Ameryki i Izraela. I to jest dla nas niebezpieczne, bo przewidując taką reakcję, niejako prewencyjnie, pozwoliłem sobie na krótki, dla niektórych bulwersujący komunikat: „Teheran-Warszawa – wspólna sprawa". Cieszę się, że mądrej głowie dość dwie słowie, ten mój komunikat odczytały miliony użytkowników platformy X. Oczywiście nie wszyscy bezkrytycznie, ale warto zauważyć, że ten zjednoczony front, którego liderami są Żydzi w ich państwie i diasporze, a głównym taranem jest wciąż potęga militarna imperium amerykańskiego, ten front bardzo się skurczył. I my ustami naszych tak niegodnych przedstawicieli, jak wymienieni wcześniej, bynajmniej nie wpisujemy się obecnie w chór większości. Dla mnie akurat to może ma mniejsze znaczenie, ale wiem, że dla wielu uczestników sceny politycznej jest to czasem decydujące, po której stronie jest większość. Otóż podkreślam, że dzisiaj wcale nie jest tak, iż świat sterroryzowany przez Żydów i Amerykanów bezkrytycznie odczytuje tę wojnę.

Opinia w Polsce też zmienia nastawienie do Ameryki i Izraela? Dostrzega pan takie symptomy?

Widzimy, że ten konflikt wzmacnia koalicję BRICS. A w Polsce, chwała Bogu, ten szantaż moralny z jednej strony, a z drugiej to groteskowe branie Polaków pod włos, na hasło solidarności z Izraelem, w wykonaniu rabina Szmula Boteacha, też nie jest tak skuteczne, jak bywało. Żydowski lobbysta Lejb Fogelman w jednej z telewizji warszawskich próbował nadać ton, przekonując, że stanie ramię w ramię z Izraelem należy do polskiej racji stanu. Na szczęście i ta postać jest w takim stopniu groteskowa, że skuteczność tego rodzaju apeli jest już mocno ograniczona. Zwrócę uwagę na jeszcze jeden element, mianowicie sprawę broni niekonwencjonalnej. To, że po raz kolejny doszliśmy do fazy niedwuznacznego grożenia użyciem bomby atomowej, daje poważnie do myślenia.

„Opcja Samsona", czyli izraelska doktryna użycia broni jądrowej. Narzędzie szantażu czy narzędzie militarne gotowe do użycia?

Przypomnijmy kontekst. Świat jest szantażowany traktatem o nierozprzestrzenianiu, czyli nonproliferacji, broni jądrowej, ale wiadomo, że są równi i równiejsi. Do ekskluzywnego klubu posiadaczy broni jądrowej wszedł Izrael, który tego traktatu po prostu nie uznaje. Dyskusja między ekspertami dotyczy nie tego, czy Izrael ma bombę atomową, czy jej nie ma, tylko jaką liczbą głowic nuklearnych dysponuje. Czy jest ich 100 czy więcej?

Najnowsza generacja rakiet międzykontynentalnych Jerycho-3, którymi dysponuje Izrael, jest w stanie przenieść ładunek jądrowy praktycznie w dowolne miejsce na świecie.

No właśnie. Zauważmy wypowiedź ministra spraw zagranicznych Ukrainy z ostatnich dni. Wyraził on w niej przekonanie, że Ukraina mogłaby na powrót stać się dysponentem broni jądrowej. Przypomnijmy, że na przełomie lat 80. i 90. XX w. to był jeden z warunków pokojowego zwinięcia imperium sowieckiego, a później uznania niepodległości Ukrainy. Proszę zobaczyć, że Ukraińcy przejawiają w tej sprawie brak jakichkolwiek kompleksów, który dla nas, Polaków, powinien być przerażający. Jeżeli zauważymy, że Ukraina jest w sposób zupełnie niezawoalowany traktowana przez Berlin i Unię Europejską, która realizuje niemiecką rację stanu, jako partner istotny, podczas kiedy Polska uważana jest za przeszkodę w drodze do pomyślnej realizacji koncepcji Mitteleuropy z Kijowem jako głównym partnerem dla Berlina.

Co musi zrobić Polska, żeby nie została wchłonięta przez niemiecką Mitteleuropę?

Chwała Bogu, wszystko możemy, panie redaktorze, pod warunkiem że będziemy chcieli chcieć. Po prostu trzeba odzyskać niepodległość. Tak długo, jak naród polski o tysiącletnich tradycjach państwowości będzie dzisiaj zakładnikiem jawnych zdrajców, którzy sterują naszym państwem, tego nie dokonamy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

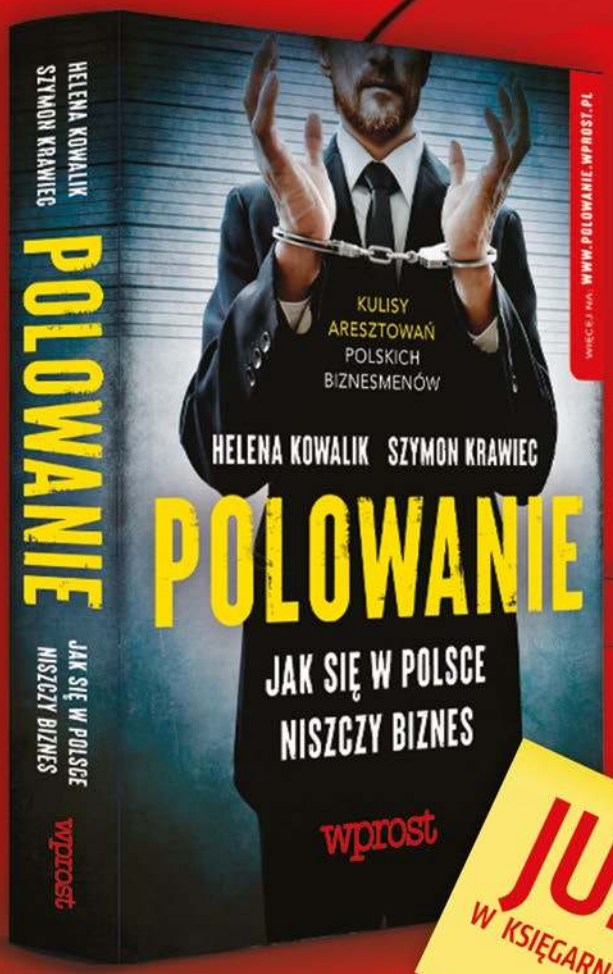

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 7bcb357858

We wsi Konotopie (woj. kujawsko-pomorskie) powstaje wysoki na 55 metrów pomnik Matki Boskiej (na zdjęciu wizualizacja pomnika)

FOT. WIRTUALNY TORUŃ

Pomniki w skali makro

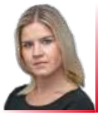

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Miejsca pielgrzymek i impuls do rozwoju okolicy. W Polsce powstają kolejne pomniki o charakterze religijnym. Najnowszy będzie imponujących rozmiarów

Będzie wyższy od pomnika Chrystusa Króla w Świebodzinie oraz najbardziej rozpoznawalnej tego typu budowli, czyli pomnika Jezusa Chrystusa w Rio De Janeiro. We wsi Konotopie (kujawsko-pomorskie) powstaje wysoki na 55 metrów pomnik Matki Boskiej. W odległości 35 km od Torunia, obok drogi krajowej nr 10 prowadzącej do Warszawy, ruszyła budowa statuy. Inicjatorem i fundatorem jest Roman Karkosik, jeden z najbogatszych Polaków, który mieszka w pobliskim Kikole. W roku 2024 Karkosik i jego żona kolejny raz znaleźli się w rankingu 100 najbogatszych Polaków, przygotowanym przez „Wprost". Siedemdziesięciotrzylatek zajął 46. miejsce, a majątek małżonków wyceniono na 1,7 mld zł. Karkosik pierwsze kroki w biznesie stawiał w latach 70., gdy otworzył bar w Czernikowie. W 1989 r. rozpoczął produkcję przewodów i kabli. Firma działa nadal. W 1991 r. wszedł na rynek tworzyw sztucznych, produkując butelki typu PET do napojów. Od 1993 r. razem z żoną inwestują na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie. Powszechnie znany jest jako właściciel spółek Alchemia, Boryszew i Impexmetal.

PRACA WRE

Statua ma być widoczna z odległości kilkudziesięciu kilometrów, ale pracownicy budowy przekonują, że przy dobrej pogodzie figurę będzie można zobaczyć nawet z Torunia. „Oficjalnie nikt nie chce z nami rozmawiać. Pracownicy mają zakaz kontaktu z mediami. Nieoficjalnie słyszymy od robotników, że działają bardzo intensywnie, do późnych godzin wieczornych. Udało nam się ustalić, że inwestor sporadycznie przyjeżdża na miejsce, doglądać budowy" – opisuje portal o2.pl. Pomnik Maryi ma być wyrazem wdzięczności fundatora. Wniosek o wydanie „warunków zabudowy na budowę miejsca widokowego z pomnikiem Matki Boskiej wraz z budynkiem socjalno-technicznym i uzbrojeniem terenu" trafił do urzędu miasta i gminy Kikół w 2023 r. – Pozwolenie na budowę zostało wydane w październiku 2024 r. – potwierdza burmistrz Kikoła Renata Gołębiewska. TVN24 informuje, że Roman Karkosik długo szukał działki odpowiedniej dla pomnika. Chciał mieć gwarancję, że figura Maryi nie zostanie przysłonięta. – Nie pracujemy tylko w święta. Kiedyś trzeba odpocząć. Poza tym działamy cały czas. To nie tylko pomnik. Będą toalety, parking, miejsca do handlu itd. – mówi jeden z pracowników. Oddanie inwestycji zaplanowano na maj przyszłego roku. Obecnie zakończono pracę nad fundamentem i cokołem. Już teraz okolice są popularne wśród wierzących, bo nieopodal działa sanktuarium ze słynną figurą Matki Boskiej Bolesnej. Do świątyni pielgrzymują mieszkańcy okolicznych parafii i szerzej z diecezji płockiej. Istnieje więc duża szansa, że

eprasa.pl 7bcb357858

imponujących rozmiarów pomnik Maryi, być może wzbogacony o drogę krzyżową i innego rodzaju religijne elementy, podsyci zainteresowanie pielgrzymów.

Turystyka religijna wiąże się nieodłącznie z szansą dla lokalnego biznesu. W okolicy budowy działa kilka lokali gastronomicznych i obiektów noclegowych. Czy ich właściciele liczą na wzrost zysków? – My i tak mamy bardzo duże obłożenie. Fajnie, że taka atrakcja będzie, ale nie sądzę, aby ludzie specjalnie przyjeżdżali, spali i jedli w okolicy dla pomnika. To będzie szybki punkt na mapie zwiedzania np. Torunia – przekonuje pracownik pobliskiego hotelu. Właściciel działającej w pobliżu smażalni ryb uważa, że statua to „lokalna ciekawostka, atrakcja i miejsce chwilowego kultu religijnego". – Wydaje mi się jednak, że turyści będą przyjeżdżać tu przez dwa, może trzy lata. Później temat ucichnie – mówi w rozmowie z o2.pl. Przedsiębiorca nie zamierza podejmować szczególnych starań na czas inauguracji pomnika. – Nie szykujemy się specjalnie. Nie wyłożę pieniędzy na tymczasowe rozwiązania. Nie mam gwarancji, że to przyniesie sukces. Mamy i tak duże obłożenie, w weekendy parking jest zajęty. Nasz parking nie jest przystosowany do przyjęcia autokarów. Przyglądam się ze spokojem całej inwestycji. W razie dużego sukcesu plany zawsze można zmienić – wskazuje Michał Wiśniewski.

WIĘKSZY NIŻ W RIO

Być może stanie się tak jak w przypadku figury Chrystusa Króla w lubuskim Świebodzinie. „Jadąc S3, na pewno warto zjechać 5 km i zobaczyć z bliska największy na świecie pomnik Jezusa. Wstęp jest darmowy. Można również przejść drogą krzyżową, by obejrzeć ciekawie wykonane płaskorzeźby. Przy pomniku jest budka z lodami i fast foodami oraz sklepik z pamiątkami. Toaleta płatna 2 zł. Parking darmowy. Można wjechać pod sam pomnik, ale tam liczba miejsc jest mocno ograniczona. Na dole natomiast parking jest bardzo pojemny" – to jedna z opinii na Google (pomnik notuje jako atrakcja 4,5 gwiazdki na 5 przy 1,5 tys. opinii, co jest wynikiem bardzo dobrym). Zwiedzający i pielgrzymi chwalą infrastrukturę dla turystów. „Fajne miejsce na przerwę w podróży. Na miejscu toalety, lody, gofry, kawa"; „Figura robi ogromne wrażenie, dojazd łatwy i wygodny, dwa parkingi, dom pielgrzyma, gdzie można przenocować, jak ktoś bardzo chce, doskonałe miejsce na wycieczkę"; „Obok mały food truck z obłędnymi goframi z wiśniową frużeliną, które dopełniają wszystko"; „Idealny punkt widokowy na cały Świebodzin. Parking jest blisko i bezpłatnie. Toalety czyste, na miejscu można również zjeść pyszne lody i gofry oraz frytki" – czytamy w opiniach.

Roman Karkosik długo szukał działki odpowiedniej dla pomnika. Chciał mieć gwarancję, że figura Maryi nie zostanie przysłonięta

Jednak figura Chrystusa Króla to nie tylko „małe co nieco" u jej podnóża. Miejsce stało się symbolem, po który chętnie sięgają okoliczni przedsiębiorcy. Utrzymany w luksusowym, wiejskim stylu kompleks restauracyjno-hotelowy Ostoja Chobienice, który reklamuje się jako „miejsce z tradycjami" i „miejsce z duszą", wymienia pomnik jako jedną z głównych atrakcji dla swoich gości. I tak obok luksusowego spa (gdzie ceny masażu zaczynają się od 180 zł i oferuje się m.in. rytuał saunowy, a w ofercie limitowanej „Dubajskie przyjemności – wyjątkowy rytuał SPA, łączący: aksamitny peeling całego ciała oraz relaksacyjny masaż na ciepłej świecy o zapachu pistacji"), restauracji, warsztatów tworzenia świec sojowych, malowania przy winie i stajni to właśnie Chrystus Król polecany jest odwiedzającym.

„Jezus ze Świebodzina" jest dziś wielką atrakcją turystyczną. Idea wybudowania pomnika narodziła się po tym, jak w 2000 r. miasto i gmina Świebodzin zostały zawierzone opiece Chrystusa Króla. Pomysłodawcą budowy był ksiądz prałat Sylwester Zawadzki, proboszcz parafii Miłosierdzia Bożego w Świebodzinie. To on wybrał lokalizację, a w 2005 r. doszło do zakupu działki i rozpoczęła się budowa. Obiekt otwarto w uroczystość Chrystusa Króla Wszechświata – 21 listopada 2010 r.

440-tonowy posąg liczy 36 metrów wysokości i jest wyższy od słynnej figury Chrystusa z Rio de Janeiro, co od początku stanowiło powód do dumy – zarówno dla budowniczych, jak i okolicznych mieszkańców. „Wysokość całkowita – 48 m (kopiec – 12 m, płyta – 1 m, postać – 33 m, korona – 2 m); rozpiętość ramion – 26 m; ciężar całkowity – ok. 260 t (postać z konstrukcją wewnętrzną); – grubość powłoki w segmentach dolnych – ok. 20 cm; grubość laminatu w obszarze torsu i ramion – ok. 6 mm; korona została wykonana z blachy aluminiowej pokrytej warstwą ochronną w procesie galwanizacji; zewnętrznie złocona złotem płatkowym" – podano na oficjalnej stronie sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Świebodzinie.

Wokół pomnika kilkukrotnie wybuchały kontrowersje. Dyskusję wzbudził sam projekt, który nie wszystkim przypadł do gustu, a lokalne portale chętnie publikował galerie memów związanych z Chrystusem Królem, np. pod tytułem „Beka ze Świebodzina". Ogólnokrajowe zainteresowanie wzbudziła sprawa anten umieszczonych na „głowie" pomnika. Jak informował „Fakt", anteny należały do firmy dostarczającej Internet, a z inicjatywą ich instalacji miał wyjść sam proboszcz – chciał mieć internet do zabezpieczenia monitoringu na terenie parafii. W 2018 r. kuria diecezji zielonogórsko-gorzowskiej nakazała usunąć urządzenia.

„JESTEŚMY KOCHANI"

Świebodzin stał się inspiracją dla Jasła, gdzie w 2020 r. stanęła figura Chrystusa Króla. Pomnik jest jednak wyraźnie mniejszy – sama postać ma 3,5 metra, a cokół liczy 8 metrów. Pomnik stanął na wzgórzu nad miejską winnicą. Miasto bezpłatnie przekazało działkę stowarzyszeniu, które postawiło pomnik. Prezesem stowarzyszenia jest Edward Kozioł, starszy Cechu Rzemiosł Różnych w Jaśle. Pieniądze na pomnik pochodzą ze zbiórek od mieszkańców.

– Patrząc na Niego, będziemy uświadamiali sobie, że jesteśmy kochani. Ta miłość jest po to, byśmy przezwyciężali to, co jest w nas słabe, grzeszne, byśmy potrafili cieszyć dobrem i pięknem, które jest w nas, a także w każdym drugim człowieku – mówił podczas odsłonięcia pomnika biskup rzeszowski Jan Wątroba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Polak w Kosmosie

Radosław Wojtas

Po kilku zmianach terminu 25 czerwca wystartowała misja Ax-4 na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS), w której bierze udział Polak – Sławosz Uznański-Wiśniewski. W ramach 14-dniowej pierwszej polskiej misji technologiczno-naukowej (IGNIS) na ISS polski astronauta przeprowadzi 13 eksperymentów naukowych oraz zrealizuje program edukacyjny dla dzieci i młodzieży. Koszt wysłania Polaka w Kosmos liczony jest w setkach milionów złotych. Czy państwo dobrze inwestuje te pieniądze?

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. GIORGIO VIERA/AFP/EAST NEWS

Ryzyko jest wpisane w podbój Kosmosu i można je mniej lub bardziej precyzyjnie obliczyć. Prawdopodobieństwo utraty załogi w pierwszym locie wahadłowca Columbia w 1981 r. szacowano na od 1:500 do 1:5000. Kiedy w maju 2020 r. na pokład Dragona 2 – pierwszego statku kosmicznego opracowanego przez SpaceX Elona Muska, który wyniósł ludzi w przestrzeń kosmiczną – wsiedli Robert Behnken i Douglas Hurley, prawdopodobieństwo ich śmierci NASA szacowała na 1:276.

Czy to oznacza, że latanie w Kosmos w drugiej dekadzie XXI w. na pokładzie dragonów jest bardziej niebezpieczne niż loty w wahadłowcach w latach 80. XX w.? Oczywiście, że nie. Oceny ryzyka z początku programu wahadłowców były obarczone dużą niepewnością, technologia była nowa, nieprzetestowana w warunkach rzeczywistych. Późniejsze analizy, zwłaszcza po katastrofach Challengera (1986) i Columbii (2003), wykazały, że rzeczywiste ryzyko śmierci było w 1981 r. znacznie wyższe – wynosiło aż 1:12.

Bezpieczeństwo załogi jest absolutnym priorytetem, dlatego odwoływanie startów nie jest niczym nadzwyczajnym. Axiom Mission 4 (Ax-4) przekładano kilkukrotnie. Pierwotnie start czteroosobowej załogi na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) zaplanowano na 29 maja, jednak wtedy na drodze stanęły problemy techniczne. – Kapsuła nie przeszła rutynowego testu przed startem. Podczas niego sprawdza się m.in. wytrzymałość izolacji urządzeń. Jeśli przewody nie przejdą tej kontroli, to musimy je wymienić na nowe i ponownie przetestować. Kosztowało nas to kilka dni. Następnie napotkaliśmy również problem ze spadochronami. Te, które planowaliśmy zainstalować w kapsule, nie przeszły kontroli tuż przed montażem. Wykryliśmy ślady wilgoci w workach, w które były zapakowane, musieliśmy więc wymienić cały zestaw – tłumaczyła Sarah Walker z firmy SpaceX.

Kolejnych kilka terminów – czy to przez problemy techniczne, czy to przez nieodpowiednie warunki pogodowe – także trzeba było przesunąć. Kłopoty piętrzyły się na Ziemi, pojawiły się też w Kosmosie. Powodem zwłoki była także nieszczelność modułu serwisowego Zwiezda na ISS. To jeden z najstarszych modułów stacji, który sprawia problemy od dawna.

Ostatecznie silniki rakiety Falcon 9 Block 5, ustawionej w Kennedy Space Centre na Florydzie, uruchomiono 25 czerwca i o godz. 2.31 czasu lokalnego (8.31 czasu polskiego) astronauci misji Ax-4 na pokładzie Crew Dragon Grace, który jest piątym i najnowszym statkiem Crew Dragon, wystartowali w kierunku Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Dotarli do niej 26 czerwca po południu. Miękkie przechwycenie miało miejsce o godz. 12.31, a właz kapsuły otwarto o godz. 14.14 czasu polskiego. Załogę oficjalnie powitano na ISS o godz. 14.25.

Sławosz Uznański-Wiśniewski – oprócz niego w misji Ax-4 uczestniczą: Amerykanka Peggy Annette Whitson (dowódca misji, rekordzistka wśród astronautów USA pod względem łącznego czasu spędzonego w Kosmosie), Shubhanshu Shukla (pilot doświadczalny Indyjskich Sił Powietrznych) i Węgier Tibor Kapu – to drugi po Mirosławie Hermaszewskim Polak w Kosmosie. Zresztą ukłon w stronę późniejszego członka Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, którego w 1978 r. na orbitę wyniósł sowiecki międzynarodowy program Interkosmos, wykonano także podczas trwającej właśnie misji z udziałem polskiego astronauty. Uznański-Wiśniewski zabrał na orbitę oryginalną naszywkę z misji Sojuz 30, którą nosił na skafandrze Hermaszewski.

DROGA DO GWIAZD

Sławosz Uznański urodził się 12 kwietnia 1984 r. w Łodzi. Gdyby PRL, nie daj Boże, wciąż trwał, to Uznański mógłby przyjmować w dniu urodzin także życzenia z okazji zapomnianego już dziś w Polsce Dnia Kosmonautyki, ustanowionego z okazji rocznicy pierwszego lotu człowieka, Jurija Gagarina, w Kosmos z 12 kwietnia 1961 r.

Uznański mówi, że w gwiazdy spoglądał od dziecka, ale pewności, że chciałby do nich dotrzeć, nabrał nieco później. Sławosz ukończył VIII Liceum Ogólnokształcące im. Adama Asnyka w Łodzi oraz – w roku 2008, z wyróżnieniem – Politechnikę Łódzką. W tym samym roku otrzymał tytuł magistra inżyniera na Uniwersytecie Nantes (Francja) i tytuł inżyniera na Politechnice w Nantes. W 2011 r. obronił – także

eprasa.pl 7bcb357858

z wyróżnieniem – doktorat na francuskim Uniwersytecie Aix-Marseille. Pisał o konstrukcjach odpornych na promieniowanie kosmiczne.

– Od początku wiedziałem, że jeśli tylko pojawi się rekrutacja na astronautów, to zrobię wszystko, żeby wziąć w niej udział. Tak naprawdę ta myśl towarzyszyła mi od momentu, gdy kończyłem studia i rozpoczynałem pisać doktorat – mówił w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej". – Śledziłem rekrutację na astronautów ESA, Europejskiej Agencji Kosmicznej, w 2008 r. Wówczas Polska jeszcze do ESA nie należała, nie mogliśmy więc brać w niej udziału. Wtedy jako doktorant pracujący przy budowie komponentów dla przemysłu kosmicznego opublikowałem swój pierwszy artykuł naukowy. Przedstawiałem go na konferencji w Brugii w Belgii, która była poświęcona m.in. wpływowi promieniowania kosmicznego na sprzęt elektroniczny. Miałem okazję rozmawiać z inżynierami NASA, którzy pracowali przy projektach kosmicznych. Uświadomiłem sobie, że skoro chodzę po górach, żegluję, prowadzę aktywny tryb życia, a jednocześnie jestem inżynierem i naukowcem zajmującym się kosmicznymi technologiami, to byłbym dobrym kandydatem na astronautę. Miałem taki profil, którego ESA szukała – dodawał.

Droga do gwiazd prowadziła m.in. przez Europejską Organizację Badań Jądrowych (CERN) w Genewie w Szwajcarii, gdzie Uznański pracował m.in. jako główny inżynier dowodzący LHC odpowiedzialny za całodobową pracę największego akceleratora w CERN i zapewnienie jego optymalnej pracy. W 2021 r. wziął udział w rekrutacji Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) do Europejskiego Korpusu Astronautów. W trwających półtora roku eliminacjach uczestniczyło ponad 22 tys. kandydatów, w tym 549 z Polski. Przechodzili różnorodne testy, m.in. inteligencji i sprawności obliczeniowej, umiejętności rozwiązywania złożonych, nietypowych problemów pod presją czasu, odporności psychicznej i zachowania zimnej krwi w warunkach stresu. ESA wyłoniła 17 astronautów, w tym 11 rezerwowych. Uznański znalazł się właśnie w grupie rezerwistów.

Załoga misji Ax-4 na Międzynarodową Stację Kosmiczną podczas startu. Pierwszy od prawej to Sławosz Uznański-Wiśniewski FOT. EUROPEAN SPACE AGENCY ESA/YOUTUBE

MILIONY W KOSMOS

Nie byłoby dziś drugiego Polaka w Kosmosie, gdyby nie decyzja polityczna, która została podjęta jeszcze przez rząd

Krótkie przemówienie polskiego astronauty po starcie: Drogie Polki i Polacy, dziś robimy ogromny krok w stronę przyszłości technologicznej Polski. Polski opartej na nauce, wiedzy i wizji. Niech ta misja będzie początkiem epoki, w której nasza odwaga i nieustępliwość kształtują nowoczesną Polskę. Dla nas i przyszłych pokoleń. Kosmos zawsze jednoczył ludzi. Zabieram dziś z Ziemi cząstkę każdego z was. Waszej siły, waszej nadziei, waszego zaufania. W Kosmosie nie jestem sam. Reprezentuję nas wszystkich. Z całego serca dziękuję wam za zaufanie. Kosmos dla wszystkich. Space for everyone.

Eksperymenty naukowe realizowane podczas misji IGNIS

Immune Multiomics Wojskowa Akademia Techniczna
Eksperyment badający wpływ lotu kosmicznego na ludzki układ odpornościowy.

Yeast TardigradeGene Uniwersytet Szczeciński (koordynator), Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytet Śląski w Katowicach
Eksperyment bada, czy komórki drożdży wzmocnione genem niezwykle odpornych niesporczaków, mogą przetrwać trudne warunki w przestrzeni kosmicznej.

Human Gut Microbiota Wojskowa Akademia Techniczna
Eksperyment bada zmiany w mikrobiocie jelit podczas krótkookresowej misji kosmicznej.

Scalable Radiation Monitor Sigma Labs
Eksperyment mierzy poziomy promieniowania w Kosmosie i monitoruje, jak promieniowanie wpływa na układy scalone.

LeopardISS LeopardISS – KP Labs
LeopardISS to zaawansowana platforma przetwarzania danych, zainstalowana na ISS. Umożliwia testowanie i walidację algorytmów sztucznej inteligencji w warunkach rzeczywistego lotu kosmicznego.

AstroMentalHealth Uniwersytet Śląski (we współpracy z Uniwersytetem Zielonogórskim, Uniwersytetem Wrocławskim, SWPS z Wrocławia i LunAres Research Station)
Eksperyment bada zdrowie psychiczne i zachowania astronautów podczas misji kosmicznych, koncentrując się na ich stanie emocjonalnym, wydajności pracy i interakcjach.

Space Volcanic Algae Space Volcanic Algae – Extremo Technologies
Eksperyment biotechnologiczny, który bada ekstremofiliczne algi w warunkach przestrzeni kosmicznej. Celem jest sprawdzenie, jak dobrze adaptują się i funkcjonują

eprasa.pl 7bcb357858

Zjednoczonej Prawicy. I gdyby nie setki milionów złotych z kieszeni polskich podatników. Ax-4 to misja komercyjna, prywatny lot obsługiwany przez amerykańską firmę Axiom Space we współpracy ze SpaceX i NASA. Polska Agencja Kosmiczna poinformowała, że koszt udziału naszego astronauty w tej misji wyniesie 65 mln euro, czyli ok. 278 mln zł. To znaczna, ale tylko część wydatków Polski w projekty kosmiczne. Ministerstwo Rozwoju i Technologii przygotowało plan na lata 2023–2025, w ramach którego na różne projekty kosmiczne przeznaczonych zostanie łącznie 360 mln euro, czyli ok. 1,54 mld zł.

Czy oprócz promocji i chwilowej obecności nazwiska Polaka we wszystkich największych światowych agencjach i mediach nasz kraj coś realnie na tym locie zyska? Entuzjastów nie brakuje. Na przykład Grzegorz Brona, były prezes Polskiej Agencji Kosmicznej, twierdzi, że wydane pieniądze zwrócą się po wielekroć. – Zarówno w naszej gospodarce, bo pan Sławosz ma przeprowadzić wiele eksperymentów, które przysłużą się rozwojowi firm, rozwojowi nauki, ale przede wszystkim zwróci się w postaci młodych ludzi – mówił w Polsat News. Wspominając o młodych ludziach, nawiązał do „efektu Apollo", czyli zwiększania popularności kierunków ścisłych po lądowaniu człowieka na Księżycu.

Można jednak mieć wątpliwości, czy państwo polskie odpowiednio wykorzystuje tę szansę. Po pierwsze, tygodnie przekładania misji i oczekiwania na start zostały zupełnie zmarnowane. Komunikacja była dramatyczna. Dziennikarz naukowy dr Tomasz Rożek opublikował na YouTube film, w którym mówi, że Polska Agencja Kosmiczna dostała zakaz współpracy z nim. A przecież można było wykorzystać to, że Uznański pozostaje w gotowości na kwarantannie z załogą misji. Można było robić łączenia, relacje, rozmowy, pokazywać codzienność przyszłych astronautów. Tymczasem więcej było w przestrzeni publicznej żartów o Polaku, który najwięcej razy nie poleciał w Kosmos, niż sensownie prowadzonej komunikacji.

Po drugie, mądre głowy z ministerstw Rozwoju i Edukacji Narodowej nie przewidziały, że misja może się opóźnić i wypaść w wakacje, a zatem opieranie oferty dla szkół na transmisjach on-line tuż przed wakacjami, robienie przerwy do września i powrót z kolejnymi działaniami (ich jakość to osobny temat) po wakacjach mogą nie być optymalnym rozwiązaniem. Zainteresowania misją przed jej rozpoczęciem także w kontekście edukacyjnym państwo polskie nie wykorzystało praktycznie wcale. „Stało się tak, ponieważ jedno ministerstwo uważało, że program zrobi drugie. Drugie – że to pierwsze" – pisze WP. Doktor Tomasz Rożek konkluduje: – Misja kosmiczna Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego odbywa się bez jakiegokolwiek szerszego przygotowania edukacyjnego dzieci i młodzieży. Nie zrobił tego poprzedni rząd, nie zrobił też obecny. Mam obawy, że z lotu Polaka w Kosmos zostaną przede wszystkim zdjęcia polityków w mediach społecznościowych. A szkoda.

Po trzecie, polska misja ma swoją stronę internetową, ale kont w social mediach już nie. Strona odsyła do profili Ministerstwa Rozwoju i Technologii (podwieszonym tweetem na X ministerstwa jest zdjęcie premiera oglądającego start), Polskiej Agencji Kosmicznej, Europejskiej Agencji Kosmicznej i Uznańskiego. Trudno w jednym miejscu znaleźć wszystkie najważniejsze informacje, relacje, łączenia, nie mówiąc o śledzeniu na żywo pozycji Crew Dragon względem Ziemi i ISS. Może przydałby się rzecznik?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W bagażu polskiego astronauty

• Polska flaga • Oryginalna naszywka z misji gen. Mirosława Hermaszewskiego • „De revolutionibus" Mikołaja Kopernika (udostępniony przez Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku diagram wiernie skopiowany z wiekopomnego dzieła, prezentujący heliocentryczny model świata) • Pamiątki związane z Marią Skłodowską-Curie (faksymile pierwszej strony rozprawy doktorskiej oraz pocztówka „cegiełka", z której dochód miał zasilić budowę Instytutu Radowego w Warszawie) • Sól z Wieliczki (bryłka soli kamiennej o wymiarach ok. 5 x 5 cm) • Bursztyn znad bałtyckiej plaży • Mazurek Fryderyka Chopina (rękopis „Mazurka As-dur" Fryderyka Chopina) • Twórczość Wisławy Szymborskiej (wiersze „Radość pisania" i „Sto pociech") • Krajka (fragment tkaniny w formie bransoletki o tradycyjnych wzorach ludowych) • Polskie litery (litery ze znakami diakrytycznymi – ą, ć, ę, ł, ń, ó, ś, ź, ż) • Plakat IGNIS autorstwa Andrzeja Pągowskiego • Polskie smaki (pierogi z kapustą i grzybami, zupa pomidorowa z makaronem, polskie leczo z kaszą gryczaną, pieczone jabłka z kruszonką)

w mikrograwitacji i promieniowaniu kosmicznym.

Stability of Drugs Stability of Drugs – Centrum Materiałów Polimerowych i Węglowych PAN
Eksperyment bada, czy powszechnie stosowane leki mogą zachować skuteczność dłużej w warunkach kosmicznych, jeśli zostaną przechowywane w specjalnej folii polimerowej.

EEG Neurofeedback Akademia Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku
Poprzez monitorowanie fal mózgowych za pomocą elektroencefalografii (EEG) uczestnicy otrzymują informację zwrotną, która pozwala im wzmocnić wzorce aktywności mózgowej sprzyjające koncentracji, spokojowi i efektywności.

PhotonGrav PhotonGrav – Cortivision
PhotonGrav testuje możliwość komunikacji w mikrograwitacji bez użycia mięśni, z wykorzystaniem interfejsu mózg–komputer (BCI) opartego na spektroskopii w podczerwieni (fNIRS).

MXene in LEO Akademia Górniczo-Hutnicza (AGH)
MXene in LEO to demonstracja technologiczna testująca zaawansowany nanomateriał – MXene – w unikalnym środowisku Kosmosu. Eksperyment bada, jak właściwości fizyczne MXene wytrzymują warunki kosmiczne, a w drugiej testuje podobną do smartwatcha „opaskę" na nadgarstek.

Astro Performance (Mollis Textus) Mollis Textus – Smarter Diagnostics
Eksperyment bada, jak lot kosmiczny wpływa na tkanki miękkie w nogach astronautów – w szczególności na mięśnie i ścięgna – gdy ciało nie podlega codziennemu obciążeniu związanemu z grawitacją.

Wireless Acoustics Wireless Acoustics – Svantek. Eksperyment ma na celu opracowanie bezprzewodowego systemu do ciągłego monitorowania hałasu na ISS.

eprasa.pl 7bcb357858

Dramat w polskim kinie

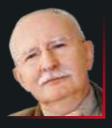

Remigiusz Włast-Matuszak

Przez całe lata polski widz kinowy będzie oglądał (z małymi wyjątkami) „smętne gnioty" – produkt finalny „Europejskiego modelu wspierania kultury filmowej"

Kamila Dorbach, dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

Mija właśnie 20. rocznica powołania przez Sejm RP Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Mamy też nową/starą szefową PISF (a w praktyce szefową całej „naszej" kinematografii). Została nią, głosami ministerialnej Komisji (osiem za, siedem przeciw), mgr Kamila Dorbach, która od kwietnia 2024 r. była zastępcą dyrektora PISF, kierując instytutem samodzielnie lub za plecami dyrektor Karoliny Rozwód.

Włodzimierz Lenin już na początku XX w. stwierdził, że „kinematografia jest najważniejszą ze sztuk", a czas potwierdził słuszność leninowskiej tezy. Film w III Rzeszy był podstawą nazistowskiej propagandy – „Żyd Süss" (20 mln widzów), „Heimkehr" („Powrót do ojczyzny") opowiadający, jak to Polacy w 1939 r. mordowali niemieckich cywilów, czy „Kolberg", superprodukcja w kolorze z lutego 1945 r.!

Sowieckie wytwórnie Mosfilm, Lenfilm i pokrewne w 80 proc. produkowały „propagit". W III RP mogliśmy na ekranach podziwiać takie poprawne politycznie agitki jak np. „Kler", „Ida", „Wesele 2" czy „Zielona granica".

LENIN WIECZNIE ŻYWY

Druga sprawdzona w praktyce teza Lenina to: „I kucharka może rządzić państwem". Przypomnijmy sobie Ewę Kopacz, premier z PO (która w sejmowym exposé w razie wojny zamykała się z dziećmi w domu!), a nie szukając daleko – właśnie dyrektor Kamilę Dorbach.

W 2019 r. Kamila Dorbach została zatrudniona przez dyrektora Radosława Śmigulskiego w Dziale Produkcji, gdzie przez pięć lat ustalała zgodność czołówek filmowych ze stanem zapisanym w umowach producenckich. Przyjmijmy, że rocznie musiała zweryfikować ok. 40 czołówek filmów fabularnych i 40 dokumentalnych. Zakładając, że uzgadnianie czołówki zajmuje aż cztery godziny, przy ok. 250 dniach roboczych w roku, daje to ok. dwóch dni pracy tygodniowo po cztery godziny. Nic dziwnego, że pani Dorbach szukała płatnych „chałtur na mieście", a dyrektor Śmigulski ogłosił na komunikatorze X, iż w 2023 r. zwolnił panią Dorbach dyscyplinarnie, bo przyłapał ją na wychodzeniu z pracy na spacer z pieskiem!

Po zwolnieniu dyrektora Śmigulskiego w kwietniu 2024 r. przez ministra Bartłomieja Sienkiewicza pani Dorbach, pracująca od stycznia 2024 r. w MKiDN, przeszła ze stanowiska wicedyrektor departamentu u wiceministra Wyrobca do PISF jako zastępca dyrektora i p.o. szefowa instytutu. Lenin wiecznie żywy – pani od czołówek filmowych została szefową polskiej kinematografii na pięcioletnią kadencję.

Na oficjalnej stronie MKiDN zamieszczono ufryzowany życiorys pani Dorbach. Czytamy, że posiada przygotowanie teoretyczne w dziedzinie m.in. „europejskiego modelu wspierania kultury filmowej". Jest absolwentką SGH w Warszawie i ma też „wieloletnie doświadczenie zawodowe m.in. w MKiDM [cztery miesiące pracy! – przyp. R.W.M.], a także w innych instytucjach kultury" [w PISF! – przyp. R.W.M.].

eprasa.pl 7bcb357858

„EUROPEJSKI MODEL WSPIERANIA KULTURY FILMU" NADCHODZI!

29 listopada 2024 r. Rada Programowa PISF uznała, że odwołanie Karoliny Rozwód z funkcji dyrektora PISF jest wątpliwe, i zażądała od MKiDN i minister Wróblewskiej pisemnych wyjaśnień oraz uzasadnienia. 2 grudnia 2024 r. Zarząd Gildii Reżyserów Filmowych zażądał od MKiDN konkretnych wyjaśnień w sprawie odwołania dyrektor Rozwód. List podpisali m.in. Agnieszka Holland, dr Łukasz Ronduda, Agnieszka Smoczyńska, Jan P. Matuszyński, Andrzej Jakimowski i inni prominentni twórcy filmowi „tego kraju".

Po ponad dwóch tygodniach, 17 grudnia, minister Wróblewska wezwała do siebie wybranych przedstawicieli środowiska i w towarzystwie swoich urzędników tak postraszyła filmowców, że położyli uszy po sobie, podwinęli ogonki i zamilkli w sprawie odwołania dyrektor Rozwód raz na zawsze. Natomiast po Nowym Roku 2025 ustawili się karnie w kolejce po dotacje (wielomilionowe) do zastępcy dyrektora PISF Kamili Dorbach oraz zaczęli wydeptywać ścieżkę do gabinetu wszechmogącego dyrektora departamentu filmu Macieja Dydy.

PIENIĄDZE NIE DO ODZYSKANIA

Nawet jeśli Koalicja Obywatelska 13 grudnia 2023 r. rozpadnie się za kilka tygodni czy miesięcy (właśnie wyzionęła ducha Trzecia Droga), a PSL i Konfederacja wraz z PiS utworzą nowy rząd i obejmą MKiDN, to i tak ok. 240 mln zł rozdane w sesjach PISF w latach 2024 i 2025 oraz po ok. 220 mln zł „zachęt" dla koprodukcji polsko-zagranicznych są nie do odzyskania. Umowy podpisano, raty przyznanych funduszy przelano i nie ma możliwości cofnięcia tych decyzji. Przez całe lata 2026–2028 polski widz kinowy będzie oglądał (z małymi wyjątkami) „smętne gnioty" – produkt finalny „europejskiego modelu wspierania kultury filmowej".

Przy każdej okazji pytam znajomych i nowo poznane osoby o polskie filmy. Co ostatnio oglądali i co im się podobało? Po chwili konsternacji odpowiadają, że raczej nie chodzą do kina na polskie filmy, a szczególnie unikają filmów nagrodzonych w Gdyni Lwami i w Warszawie Orłami.

Nie będę gołosłowny – oto faktyczne dane z sesji przyznających dotacje na filmy fabularne przez ekspertów PISF. (Tylko w roku 2021 dofinansowano ok. 30 filmów, w tym filmy po prostu złe w formie, treści i przekazie, choć właściwie brakuje tam jakiegokolwiek przekazu).

Sesja 1/2021: „Słoń", reż. Kamil Krawczycki, dotacja 595 tys. zł – film niskobudżetowy, opowiadający o tym, jak to polscy chłopi znęcają się nad psami i gejami.

Sesja 2/2021: „Good Boy", reż. Jan Komasa (krewniak Agnieszki Holland wygłaszający na Campusie Polska lewackie tyrady), 4 mln zł – film w angielskiej wersji dialogowej, dzieje się w Londynie, gdzie psychol siłą reedukuje młodocianych przestępców.

Sesja 1/2022: „The Palace", reż. Roman Polański, 3 mln zł – kompletnie nieudana komedyjka z wersją dialogową wielojęzyczną.

Sesja 2/2022: „Wrooklyn Zoo", reż. Krzysztof Skonieczny, 3 mln zł – film radośnie poprawny politycznie. „Próba łuku", reż. Łukasz Barczyk, 1 mln 481 tys. zł – jedyny film, którego nie przyjąłem w ciągu siedmiu lat bycia kolaudantem w PISF. Łukasz Barczyk to autor superprodukcji pt. „Hiszpanka" z 2014 r., koszt łączny 24 mln 663 tys. zł, co w przeliczeniu na ceny/koszty z 2025 r. daje ok. 45 mln zł. Przeciętny film fabularny kosztował wówczas 3–4 mln zł. Krytycy film obśmiali, publiczność zignorowała. W 2017 r. Barczyk zabłysnął filmem pt. „Soyer", który mimo fanatycznej reklamy „Gazety Wyborczej" padł, mając zalewie 86 widzów (osiemdziesięciu sześciu!). „Próba łuku" nie mogła znaleźć dystrybutora. W końcu 6 czerwca br. film wszedł na trzy ekrany kinowe i 16 czerwca zszedł, osiągając wynik 1150 widzów w Warszawie i okolicy. Zanudzam czytelników tym Barczykiem, ponieważ dyrektor Dorbach właśnie na Sesji 1/2025 przyznała mu 3,5 mln zł dotacji (co stanowi rekord Polski/PISF w wysokości dofinansowywania filmu i wynosi aż 61 proc. całego kosztu realizacji). Dzieło będzie nosić tytuł: „Pasażer". Podróż z Barczykiem może okazać się traumatyczna, szczególnie dla dyrektor Dorbach.

Następne dzieło z sesji 2/2022 r. to „Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego. Czytałem scenariusz i oceniłem go wysoce negatywnie. Mimo to film dostał 1 mln zł dotacji. W filmie „Kler" z 2018 r. Smarzowski dopuścił się jawnego bluźnierstwa wobec Trójcy Świętej – Oka Opatrzności. W „Domu dobrym" dalej kontynuuje swoje fobie antykatolickie. Źrenica Oka Opatrzności to klapa do szamba w domu („dobrym"), w którym to szambie żona utopiła zwłoki zamordowanego męża tyrana, z psem na dokładkę. Nawet wierząca część Episkopatu Polski nie zdobyła się w 2018 r. na protest. Może tym razem Episkopat potępi bluźnierstwo? (Premiera: 7 listopada 2025 r.). Następne „arcydzieło" z tejże sesji to „Kobieta z…." Małgośki Szumowskiej. Film kosztował 20 mln, PISF dał 4 mln dotacji. Na łamach „Do Rzeczy" (nr 15/2024) opisałem treść „dzieł".

Sesja 1/2023: „Hot Spot", reż. Agnieszka Smoczyńska, 4 mln zł. Czytałem uważnie scenariusz – miał to być zjadliwy paszkwil wymierzony w Jarosława Kaczyńskiego, ale ponieważ władzę sprawuje teraz Donald Tusk, widz niezmierzenie będzie odbierał film jako zjadliwą krytykę wobec PO i Tuska. W tejże sesji Agnieszka Holland dostała 2 mln zł dotacji na film „Franc" (premiera: 24 października 2025 r.). Czytałem scenariusz – będzie to katastrofa artystyczna i finansowa – 35 retrospekcji w układzie kolażowym, szybka reklamówka. Mało tego. Pani Holland rozpoczyna realizację superprodukcji o pisarzu Jerzym Kosińskim. Akcja będzie się działa w seksklubach Nowego Jorku, zakończy się śmiercią kontrowersyjnego literata w trakcie orgazmu, w wannie z foliową torbą na głowie.

POWRÓT TWÓRCÓW LGBT

Rok 2024. Sesje 1, 2 i 3 to wielki powrót twórców LGBT, szczególnie tych znanych z pasji i braku talentu: dr Łukasz Ronduda, „Powiedz mi, co czujesz", 3,5 mln zł dotacji. „La Manche", reż. Damian Kocur, 3 mln zł dotacji. „Wyjeżdżamy", reż. Kamil Krawczycki, 4 mln zł dotacji.

Tegoroczna Sesja 1/2025: „Dwie dusze", dr Łukasz Ronduda, 5,5 mln zł, itp., itd. Pełne omówienie wszystkich filmów i scenariuszy jest niemożliwe z braku miejsca i cierpliwości czytelników. „Europejski model wspierania kultury filmowej" nadchodzi podstępnie jak trucizna księżnej Brunhildy podana Słowianom połabskim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Tytułową postać serialu „Aniela" gra Małgorzata Kożuchowska (w środku) FOT.MATERIAŁY PRASOWE

Patoelita, i kwita

Piotr Gociek

Serial „Aniela" napisany przez Pawła Demirskiego to najczarniejszy w dziejach III RP obraz jej patologii

Za długi, ale warty obejrzenia. Nierówny, ale dobrze zagrany. Nieudany, bo fabułę ma pretekstową, a warstwa wizualna nie przystaje do opowieści – ale wściekle zabawny, bo właśnie ze wściekłością i z bezlitosnym czarnym humorem opisuje Paweł Demirski warszawskie elity. Właściwie: łże-elity, patoelity oraz tych, którzy do miana elity pretendują.

Tak, to ten sam Demirski od wspólnych przedstawień z Moniką Strzępką, lewicowy buntownik, kiedyś młody i gniewny, dziś jedynie gniewny, a nawet gniewny coraz bardziej. Gdyby ktoś związany z prawą stroną napisał taki scenariusz, dostałby nie tylko dożywotni zakaz wstępu do wszystkich mediów III RP, lecz także jeszcze bilet lotniczy na Madagaskar i powstałaby o nim seria obelżywych demaskatorskich i oczywiście zupełnie nieprawdziwych tekstów w „Gazecie Wyborczej". Demirski (autor scenariusza, bo reżyserowali Jakub Piątek i Kuba Czekaj) wali na odlew, szydzi okrutnie, a my śmiejemy się wraz z nim. „Aniela", nowy serial Netflixa, okazała się wielkim hitem serwisu. Mimo wszystkich wad, mimo pretekstowej fabuły, mimo niepotrzebnego nadużywania grepsu z niszczeniem czwartej ściany i zwracaniem się wprost do widza. Dlaczego okazała się hitem? Bo Demirskiemu udała się rzecz niesłychanie rzadka – uchwycił ducha czasów.

ŻYCIE NA FOLWARKU

Prawda jest bowiem taka, że Polacy mają dość. I to coraz bardziej dość, niezależnie od tego, po której stronie politycznego sporu stoją. A Demirski doskonale pokazuje, czego dokładnie mają dość: życia na folwarku, którym zarządza wąska grupka osobników o wątpliwych kwalifikacjach (także moralnych), pozostawiająca innym kulturę zapier.olu i pasożytującą na wszystkich z równie dewastującym skutkiem, jak niegdyś partyjne elity PRL. Kpił niegdyś Jan Pietrzak w kabarecie Pod Egidą, że w odróżnieniu od władców PRL pasożyty przynajmniej dbają o organizm, na którym pasożytują. Samozwańczy właściciele III RP właśnie dobijają organizm, na którym pasożytują. I o tym jest „Aniela". Oraz o gniewie.

Główna bohaterka – znakomita rola Małgorzaty Kożuchowskiej – rozpieszczona żona nadzwyczaj bogatego męża trafia z nieba do piekła, to znaczy z willi w Konstancinie do praskiej kawalerki (charakterystyczny blok na Przyczółku Grochowskim rozpoznają wszyscy, którzy tamtędy przejeżdżają). Mąż Anieli (Jacek Poniedziałek) znalazł sobie nową kobietę – a właściwie odkurzył starą, czyli dawną sympatię z liceum. Zatrzymał majątek i córkę, żonę wyrzucając po prostu na ulicę. Nikt za Anielą się nie ujmie, bo próbowała męża zadźgać, więc i tak cudem nie siedzi w więzieniu. Mieszkanie i pracę znalazła dzięki starej znajomej, nauczycielce w zespole szkół gastronomicznych. Uczyć ma praskie dzieci języka polskiego, ale to fikcja, bo w rzeczywistości dyrektorka szkoły (Gabriela Muskała) szykuje grubszy przekręt – chce

REŻ. JAKUB PIĄTEK, KUBA CZEKAJ „ANIELA" POLSKA 2025 N

eprasa.pl 7bcb357858

sprzedać grunt szkolny deweloperom. Żeby przekręt się udał, założyła fundację. I to właśnie pozyskiwaniem sojuszników – znaczy fundatorów – przekrętu zająć się ma Aniela, jako osoba, która doskonale zna wszystkich bogatych i wpływowych ludzi w Warszawie.

Owa Warszawa jest u Demirskiego miejscem wyjątkowo ponurym. Bogaci są debilami, prawnicy – skorumpowanymi zwyrolami, policjanci są na telefon, deweloperzy rządzą miastem, elita artystyczna to gromada pretensjonalnych idiotów. Śmiejemy się głośno, ale czasem jest to śmiech ponury. Bo ten karykaturalny obraz stolicy nie odbiega za bardzo od tego, jak warszawkę postrzegamy. A postrzegamy ją tak nie bez powodów. Kiedy historycy będą kiedyś pisali prawdziwą historię Warszawy czasów rządów PO, to miejsca na półce będzie szukać trzeba bliżej opowieści o Chicago ery Ala Capone niż książek o cudzie gospodarczym Irlandii.

Demirski tymczasem jedzie bez litości – oto w centrum wydarzeń stawia m.in. prawnika Mareckiego, którego syn jest popularnym raperem. Aluzja nawet nie jest specjalnie zawoalowana – grany przez Cezarego Pazurę (znakomicie zresztą) prawnik to serialowy odpowiednik prawdziwego Marcina Matczaka. A jego serialowy syn, raper Banan, to odpowiednik prawdziwego rapera Maty (tego od „Patointeligencji") – nawet wygląda podobnie. Wyobrażam sobie, jak ta ekipa musi zgrzytać zębami, oglądając „Anielę". Zresztą nie tylko ona.

Czy życie na warszawskiej Pradze jest lepsze niż w willach patoelity? Zależy gdzie. Aniela zakumpluje się z trzema młodymi raperkami oraz wpadnie w oko lokalnemu dilerowi ksywa Armani, który uznaje ją za „mamuśkę, ale jeszcze spożywczą". Oczywiście wiele humoru w serialu to pochodna podstawowego sitcomowego w istocie pomysłu: kompletnie nieznająca prawdziwego życia paniusia musi radzić sobie z pizzą z mikrofalówki oraz rozmaitymi innymi wyzwaniami codzienności. Ale najciekawiej jest tam, gdzie Demirski bierze się do komedii charakterów. Postać dyrektorki szkoły śniącej o wielkiej inwestycji (i pieniądzach) to kapitalna kpina z golasów pretendujących do bycia elitą. Jej bełkot o wegetariańskich wrapach, słomkach ratujących rekiny i orangutany oraz sen, by „mieszkańcy Pragi włożyli wreszcie do ust to, co inni już do ust włożyli", jest równie zabawny jak bredzenie męża Anieli o „męskich kręgach", czakrach i kryształach.

Kto szukał będzie w tej opowieści prostego przeciwstawienia „dobry lud – złe elity (bogacze)", ten się zawiedzie. Właściwie poza trzema młodocianymi raperkami wszyscy są tu mniej lub bardziej mało sympatyczni. Publiczna szkoła jest piekłem pokazywanym w jeszcze bardziej ponurych barwach niż w rozmaitych amerykańskich „Młodych gniewnych" czy „Prosto z Compton". Tubylcza ludność Pragi to też patologia, tylko innego rodzaju, jak nie pijaki, to ćpuny, a w każdym razie miłośnicy kreszowych dresów. Natomiast w jednym – wedle Demirskiego – patoelity przewyższają: otóż są autentyczne w swojej bidokowatości, natomiast lewa strona Wisły jest krainą nadętej sztuczności. Ciapowaty, tchórzliwy raper Banan tylko udaje prawdziwego rapera, mecenasi kultury udają, że cokolwiek z niej rozumieją, prawnicy zaś udają, że interesuje ich jakieś prawo. Nie, wszystkich interesuje tylko kasa, każdy tylko kombinuje, jak by innych okraść i poniżyć. Aż się chce, oglądając diagnozę Demirskiego, wrócić do słynnego cytatu z „Gry w klasy" Julia Cortázara, żeby „na oścież otworzyć okna i wszystko wyrzucić na ulicę, a przede wszystkim samo okno i nas wraz z nim".

NADMIAR PSUJE

Skoro jest tak dobrze, to czemu jest niezbyt dobrze? Nie mogę zakwalifikować „Anieli" do grona seriali w pełni udanych, bo kilka rzeczy zabawę psuje. Przede wszystkim nadmiar. Nadmiar koloru, efektownych ujęć, neonowe, wręcz koreańskie przeładowanie świata na ekranie miało zapewne pomóc zamienić opowieść we współczesną bajkę z morałem, tymczasem nie skleja się to z opowiadaną historią. Nadmiar grepsów i one-linerów paradoksalnie też okazuje się wadą, nie zaletą. Tak jakby Demirski przez długie lata pracowicie spisywał wszelkie gagi i żarty, którymi chciałby dołożyć znienawidzonej warsiafce, a potem uparł się, by wszystkie do scenariusza wpakować. W efekcie oglądanie „Anieli" przez 15 minut jest czystą przyjemnością, a przez cały 40-minutowy odcinek już męczy. Trzeba zrobić sobie przerwę i dopiero za jakiś czas zaserwować następny kawałek.

Okradani, poniżani i okłamywani Polacy mają, k...., dość. Tylko co dalej?

No i wspomniana na początku pretekstowość fabuły. Aniela szukająca pomsty na mężu i młode prażanki chcące odegrać się na raperze, który fałszywie oskarżył je przed policją – nie wystarcza tego na pełne osiem odcinków. Gdyby rzecz ściąć do sześciu, a może nawet i czterech to byłoby zgrabniej. Ale i tak zbyt wiele rzeczy dzieje się na ekranie dla grepsu, dla szydery, a nie po to, by fabułę pchnąć do przodu. Natomiast ładunek autentycznego gniewu wobec polskich patoelit niesie „Anielę" na szczyty popularności w Netflixie, i wcale mnie to nie dziwi. Kiedy bijąca z ekranu emocja jest autentyczna, zapomina się o niedoskonałościach. A Demirski trafił celnie: tak, okradani, poniżani i okłamywani Polacy mają, k...., dość. Tylko co dalej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W serialu „Aniela" występuje m.in. Filip Pławiak FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7bcb357858

Sylwia Skrzypczak-Piękoś w roli Elizy w filmie „Pani od polskiego" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z reżyserem Radosławem Piwowarskim
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Dedykacja dla kobiet

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: „Pani od polskiego" to tytuł filmu fabularnego w pańskiej reżyserii, który jakiś czas temu trafił na ekrany kin. Obraz jest wyrazem hołdu dla polskich kobiet z czasów drugiej wojny światowej?

RADOSŁAW PIWOWARSKI: Tak jest w istocie. Tej tematyki rodzima kinematografia jakoś unikała, względnie ją marginalizowała. Zapomniano o damskim poświęceniu, harcie ducha, uporze i sile przetrwania. A także zapobiegliwości, determinacji, odwadze, pomysłowości i wielu innych zacnych cechach pań, które wydatnie przyczyniły się do ocalenia naszej substancji narodowej. Dlatego „Panią od polskiego" dedykuję generacji niewiast, którym wojenny kataklizm odebrał młodość. Zachowując godność, humor i zdrowy stosunek do szaleństw rzeczywistości, częstokroć stawały się opoką dla swoich mężczyzn.

Zarazem usiłuje pan uzupełnić zaległość historyczną?

Ten cel również mi przyświecał. Proszę zwrócić uwagę, że bohaterami filmów wojennych – skądinąd powstających w licznych konwencjach – niemal zawsze bywali mężczyźni. Zekranizowano epizody z kampanii wrześniowej, przedstawiono rozmaite wymiary konspiracji, ukazano rzeczywistość obozową, zrekonstruowano dzielne boje naszych lotników czy też marynarzy, a już w III Rzeczypospolitej oko kamery skoncentrowało się na powstaniu warszawskim oraz bitwie o Monte Cassino. Niemniej brakowało opowieści traktującej o robotach przymusowych, głównej metodzie pozyskiwania taniej siły roboczej – i to zarówno dla przemysłu, jak i rolnictwa! – w hitlerowskich Niemczech, a jednocześnie formie eksterminacji ludności obszarów podbitych przez III Rzeszę.

Ależ tu jest pan w błędzie! Przed ponad półwieczem dotknął tego zagadnienia Jan Rybkowski w dramacie „Kiedy miłość była zbrodnią" – z Ireną Karel i Arkadiuszem Bazakiem w rolach wiodących – który doczekał się zaszczytnego miana „półkownika".

To był chyba wyjątek. Wprawdzie także opowiadał o miłości w okrutnym czasie i miejscu, lecz nie wyłącznie z polskiej perspektywy.

Pański film wydaje się jednak równie uniwersalny.

Starałem się stworzyć ponadczasową przypowieść. O bezradności jednostki wobec obrotów koła historii, walce z bezwzględnym losem, niezgodzie na zło oraz życiowej wytrwałości.

Epilog zdaje się nastrajać widza nutą optymizmu...

Romantyczna tragedia ze światłem nadziei w finale. Tak – w telegraficznym skrócie – zdefiniowałbym przesłanie swej najnowszej pracy.

Radosław Piwowarski przymierzał się do niej jeszcze w dobie PRL?

Owszem. W połowie lat 80. Janusz Gazda, ówczesny szef Poltelu – zmarły przed kilkoma tygodniami – podsunął mi powieść Emilii Kunawicz „Szara gęś", przedstawiającą romans zabużan – robotników przymusowych – w scenerii nazistowskich Niemiec. Szybko pochłonąłem książkę, dostrzegając w niej bardzo interesujący materiał filmowy, spotkałem się nawet z jej autorką. Rolę główną zamierzałem powierzyć Krystynie Jandzie. Niestety, pomysł, ale nie adaptacja tej prozy – co podkreślam – nie został wtedy urzeczywistniony ze względów finansowych.

Za to nie stracił na aktualności...

Jestem podobnego zdania. Dowodem jest choćby ciągła debata w kwestii niewypłacenia Polsce przez Niemcy

Brakowało opowieści traktującej o robotach przymusowych, głównej metodzie pozyskiwania taniej siły roboczej – i to zarówno dla przemysłu, jak i rolnictwa! – w hitlerowskich Niemczech, a jednocześnie formie eksterminacji ludności obszarów podbitych przez III Rzeszę

eprasa.pl 7bcb357858

reparacji wojennych. Przecież poszkodowani w tej skomplikowanej sprawie są również robotnicy przymusowi.

Choćby tacy jak bohaterowie filmu.

Jego akcja rozgrywa się na przestrzeni niemal dwóch dekad. Zaczynamy u schyłku międzywojnia na Wileńszczyźnie, a kończymy w drugiej połowie lat 50. na Dolnym Śląsku. Jednakże narracja w znacznej mierze dotyczy czasów drugiej wojny światowej na terytorium Niemiec, konkretnie Hesji oraz Nadrenii Północnej-Westfalii…

… i ma nieco skandalizujący podtekst.

Temperamentna, przedsiębiorcza, stanowcza i rezolutna wiejska nauczycielka imieniem Eliza rodzi nieślubne dziecko swemu dorosłemu uczniowi, który niebawem trafia na roboty w Niemczech. Napiętnowana przez mieszkańców wsi podąża – razem z niemowlęciem – szlakiem umiłowanego. Dzięki operatywności i uśmiechowi fortuny udaje jej się go odszukać. Z pozoru wydają się być silnie zróżnicowani. Ona pewna siebie, konsekwentna, twardo stąpająca po ziemi, on – lekkoduch, marzyciel, skłonny do nieustającej improwizacji. Harują na roli, bywają szykanowani, nierzadko doskwiera im głód.

Ponadto cały czas muszą mieć baczenie na syna, którego chętnie by im odebrano w ramach Lebensbornu.

Uprzejmie proszę nie streszczać fabuły obrazu. Pozostawmy publiczność z pytaniem, czy uczucie łączące Elizę i Stacha przetrwa okres pogardy.

Zdjęcia realizowano jedynie w Polsce?

Tak, m.in. w Parku Etnograficznym w Tokarni, na dworcu kolejowym w Strzegomiu oraz na terenie Muzeum Kolejnictwa w Jaworzynie Śląskiej. Przy kamerze pracował Arkadiusz Tomiak, wybitny operator filmowy, niestety przedwcześnie zmarły w tragicznym wypadku samochodowym.

Rolę tytułową powierzył pan kinowej debiutantce.

Talent Sylwii Skrzypczak-Piękoś mieli okazję poznać tylko telewidzowie, ponieważ występowała w wielu serialach. Jestem pewien, że jej niebagatelne umiejętności i wdzięk przekonają także kinomanów. Partnerują jej aktorzy polscy oraz niemieccy.

Pod pańskim okiem na dużym ekranie raczkowały Katarzyna Figura i Anna Przybylska. Ma pan szczęśliwą rękę do aktorek.

Może rezonuje moje wychowanie w otoczeniu kobiet? Zresztą przeważnie mocno doświadczonych nieustannymi zmaganiami z okropnościami otaczającego nas świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Radosław Piwowarski
– absolwentPWSFTviT w Łodzi, reżyser filmów, m.in.: „Yesterday", „Kochankowie mojej mamy", „Pociąg do Hollywood", „Marcowe migdały", „Kolejność uczuć", „Autoportret z kochanką", „Ciemna strona Wenus", oraz seriali: „Jan Serce", „Złotopolscy", „Na dobre i na złe", „Szpilki na Giewoncie".

REKLAMA

ZAMÓW NA WWW.ESPRIT.COM.PL LUB POD NUMEREM TELEFONU: 12 262 35 51

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Ten zły człowiek

★★★★☆☆

REŻ. DANNY BOYLE
„28 LAT PÓŹNIEJ" („28 YEARS LATER")
WIELKA BRYTANIA 2025

wyst. Alfie Williams, Jodie Comer, Ralph Fiennes

„28 lat później" to opowieść, która domyka trylogię rozpoczętą niskobudżetowym thrillerem postapo „28 dni później" i zarazem otwiera nową, bo twórcy pracują już nad dwoma kolejnymi filmami. (Siłą napędową projektu jest Alex Garland, zaprzyjaźniony i ulubiony scenarzysta Boyle'a). Niemal trzy dekady po epidemii wirusa, który zamieniał ludzi w bezrozumne, krwiożercze bestie, Wielka Brytania jest pod ścisłą kwarantanną. Nieliczni zdrowi ocaleńcy żyją w małych komunach. Ci, których odmienił wirus, w większości wyginęli, ale ci, którzy przetrwali, ewoluują. Jedni się zdegenerowali, inni zyskują niezwykłą siłę i szybkość.

Garland i Boyle pozostają wierni przesłaniu, które było oczywiste w pierwszym filmie: to ludzie są największymi potworami na planecie. Zainfekowanym krwiożerczym istotom można współczuć, bo odmienił je wirus. Człowiek zaś może wybierać między dobrem a złem – i wybiera zło. Ta nihilistyczna przypowieść doprawiona jest odrobiną empatii i miłości, kiedy na scenę wkracza doktor Kelson (Ralph Fiennes), który budując wielką świątynię z ludzkich kości, naucza, że wszystko jest lekcją by memento mori, a także memento amori. Śmierć pisana nam wszystkim, kości chorych i zdrowych bieleją w słońcu tak samo. Bardziej wybrzmiewają jednak tony mroczne. Maleńka społeczność, z której wywodzą się dwaj główni bohaterowie filmu (ojciec i syn), to karykatura dawnej – znaczy sprzed epidemii – Anglii. Społeczność zapijaczona, okrutna, pełna kłamstw, patriarchalna. Jeszcze bardziej szyderczy jest obraz gangu dresiarzy, który ujrzymy w finale zapowiadającym nieunikniony ciąg dalszy.

Ale są i celne pytania, np.: Czy cierpimy za winy popełnione czy bez powodu? Warto zwrócić uwagę na słowa „ojcze, czemuś mnie opuścił?" w prologu filmu. Głębokie rozczarowanie zdradą ojca jest głównym motorem napędowym działań małoletniego bohatera (genialna rola Alfiego Williamsa). Ojcowską figurą okazuje się doktor Kelson. Oszałamiający wizualnie, świetnie opowiedziany i głęboko imersyjny film Boyle'a to jedno z najciekawszych kinowych doświadczeń roku. Jednocześnie trudno zgadzać się z wieloma tezami stawianymi przez duet Boyle/Garland. Na pełną ocenę poczekam do końca nowej trylogii. ©℗

GRA TYGODNIA: „THE ALTERS"

Żeby zagubiony i osamotniony gdzieś w przestrzeni kosmicznej Jan Dolski mógł przetrwać, musi tworzyć alternatywne wersje samego siebie. Nie są to proste klony, raczej Janowie z alternatywnych rzeczywistości. Zabawa konwencją i świeżość idą w parze z humorem oraz poważnymi etyczno-filozoficznymi przemyśleniami, kiedy to spoglądamy za siebie i widzimy, jak mogłoby się potoczyć nasze życie, gdybyśmy w tym czy innym jego momencie zachowali się inaczej. Gra może nieco zbyt prosta, ale orzeźwiająca i dająca do myślenia. Warto! ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *survival z elementami strategicznymi*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *11 bit studios*

eprasa.pl 7bcb357858

Powrót do przeszłości

arte

Ferenc Herczeg, kto go dziś jeszcze pamięta? Konserwatywny dramaturg, niedoszły laureat Nagrody Nobla, jego utwory wydawano również w Polsce i ekranizowano w Hollywood, czasem bez wiedzy i zgody autora. W roku 1894, wyprzedzając Herberta George'a Wellsa, popełnił powieść o podróży w czasie. Nowoczesny koncept, ożeniony z wątkiem awanturniczo-romansowym, nie zainteresował Amerykanów. Był dla nich za bardzo patriotyczny. Główny bohater, zdeklasowany hrabia i bon vivant, wracając w stanie wskazującym z balu kostiumowego, daje się namówić do udziału w naukowym eksperymencie. Wehikuł czasu przenosi go 200 lat wstecz. Trafiwszy do pałacu pradziadka, Tibor nie traci rezonu. Pije za zdrowie cesarzowej Marii Teresy, lecz gardzi ulegającymi cudzoziemskim wpływom magnatami. Dziwaka, który zna przyszłość i mówi to, co myśli, słucha uważnie jedynie piękna Rosina – śpiewaczka z Wenecji…

„Syriusz" miał premierę w 1942 r., na festiwalu w Wenecji, ale nagrody zgarnęły filmy bardziej „zaangażowane". Skądinąd wiadomo, że w czasach, gdy ważą się losy państw i narodów, ludzie najchętniej oglądają naiwne, eskapistyczne produkcje. Przygody łowcy posagów w krainie rokoka z pewnością podobały się Węgrom, choć oprócz tytułowego wehikułu i popisów baletu nie było w nich nic modernistycznego. Mam nadzieję, że Arte pójdzie za ciosem i że polskie napisy wreszcie zaczną nadążać za rozwojem akcji.

Jak potoczyły się losy ekipy, która zrealizowała „Syriusza"? Karády, dyżurna femme fatale węgierskiego kina, w prawdziwym życiu romansowała z szefem tajnych służb. Oskarżona o szpiegostwo na rzecz aliantów była torturowana przez wysługujących się Niemcom strzałokrzyżowców. Komuniści też jej nie kochali, więc wyemigrowała i otworzyła salon kapeluszniczy w Nowym Jorku. Nazwiskiem (a właściwie pseudonimem) aktorki nazwano asteroidę. Szilassy nadal występował, na scenach argentyńskich. Hamza wyreżyserował po wojnie dwa filmy: jeden we Włoszech, a drugi w Brazylii. Herczeg został w kraju. Był już bardzo stary, więc dano mu spokój, ale jego książki usunięto z bibliotek. Przeżył Stalina o rok. ©℗

Wiesław Chełminiak

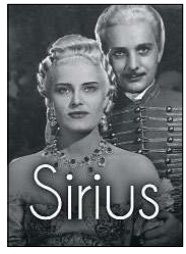

★★★☆☆☆

REŻ. DEZSŐ ÁKOS HAMZA
„SYRIUSZ" („SZIRIUSZ")
WĘGRY 1942

wyst. Elemér Baló, Katalin Karády, László Szilassy

KREW NA ŚCIÓŁCE

KINO

Umarł piekarz z podupadłej wioski. Na pogrzeb pofatygowała się garstka ludzi, lecz dojechał były pracownik. Jérémie, zachęcany przez wdowę, nie spieszy się z powrotem do miasta. Życie u stóp Pirenejów ma zresztą swoje uroki: można się wałęsać, popijać pastis, zbierać grzyby i gawędzić z miejscowym proboszczem. Księżulo ma nader oryginalne poglądy. Twierdzi np., że wyrzuty sumienia najlepiej przeczekać. Idyllę zakłóca jednak syn nieboszczyka Vincent, typ agresywny i zły na cały świat. We Francji „Mizerykordię" okrzyknięto sensacją sezonu. Dziwne, bo przypomina bombę zegarową tykającą tak wolno, że w końcu przestaje się wierzyć, iż kiedykolwiek wybuchnie. Guiraudie uprawia zgrzebny realizm, ale ciągnie go do Bunuela i mrożących krew w żyłach powieści, w których morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. ALAIN GUIRAUDIE
„MIZERYKORDIA" („MISÉRICORDIE")
FRANCJA 2024

wyst. Felix Kysyl, Catherine Frot, Serge Richard

DO ZOBACZENIA

Chopina życie romantyczne

RADOSŁAW WOJTAS

Głównymi bohaterami wystawy są Fryderyk Chopin, George Sand, Pauline Viardot i Eugeniusz Delacroix, czyli artyści, którzy przez kilka lat mieszkali blisko siebie w paryskiej dzielnicy Nowe Ateny (Nouvelle Athènes). Przyjaźnili się i inspirowali nawzajem.

Część pierwsza wystawy – „Pracownia Ary'ego Scheffera w Paryżu" – przybliża atmosferę miejsca, które było sercem tej grupy przyjaciół. Część druga poświęcona jest romantycznym tematom odnajdywanym w sztuce całej Europy, a trzecia skupia się na relacji Sand i Chopina.

Ciekawa jest również część ekspozycji zatytułowana „Pamiątki". Można tam zobaczyć ówczesne, a dziś osobliwe sposoby na podtrzymywanie pamięci o bliskich osobach, takie jak odlewy dłoni i stóp czy biżuteria wykonana z włosów. I tak na jednej wystawie można zobaczyć rękopis „Ballady f-moll" op. 52 Chopina oraz jego i George Sand pukle włosów. ©℗

FOT. MUZEUM FRYDERYKA CHOPINA W WARSZAWIE

GDZIE?
Muzeum Fryderyka Chopina w Warszawie
KIEDY?
do 31 października

eprasa.pl 7bcb357858

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nigdy w dzień

Szkice Krystyny Prendowskiej składające się na „Oko pamięci" są historią rodzinną i osobistym pamiętnikiem, pogłębioną refleksją z przeczytanych książek i obejrzanych filmów, przedstawionym z rozmachem wizerunkiem Nowego Jorku, Paryża, a i innych miejsc ważnych dla tej interesującej kobiety, anglistki i akademickiej wykładowczyni, o której Czesław Miłosz powiedzieć miał, że „posiada unikalną, zagadkową niemal zdolność wiązania ze sobą pozornie bardzo odległych od siebie idei".

A skoro o Miłoszu, to Prendowska poznała go w połowie lat 60. zeszłego wieku na Uniwersytecie Kalifornijskim, gdzie przez rok pracowała na wydziale polonistyki, właśnie pod jego okiem. Była częstym gościem w jego domu, zaprzyjaźniając się i z poetą, i z jego pierwszą żoną, Janką. Tolerowała ona – jak czytamy – „dynamiczną naturę swego męża, który potrafił być tak zdecydowanie lojalny wobec wybrańców, jak wyniosły, wręcz wrogi w stosunku do komunistycznych dziennikarzy zza żelaznej kurtyny, którzy otrzymywali mandat na odwiedzenie osławionej slawistyki w Berkeley. Lata później byłam świadkiem gościnnego wykładu Miłosza na uniwersytecie w Yale. Gdy w długiej procesji po zakończeniu wykładu podszedł do niego Daniel Passent, Miłosz powiedział głośno i dobitnie: »A panu to ja ręki nie podam«".

Zajmująco opowiada Krystyna Prendowska o ich wspólnych spotkaniach m.in. z poetami, węgierskim uchodźcą, Andrasem Sandorem, czy mieszkającym nieopodal Kennethem Rexrothem. Podjęci przez tego ostatniego burbonem w dużych ilościach, wracając do domu, pomylili kierunki,

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

posuwając się słynnym mostem Golden Gate w odwrotną stronę. Za komentarz wystarczy zdanie: „»Nigdy w dzień« – mawiał Czesław, który jak my wszyscy wtedy pił za dużo, ale nie nałogowo". Z wyjściem z nałogu miała za to problemy sama autorka „Oka pamięci", o czym mówi otwarcie, przyznając się także do tego, że po odwyku nie udało się jej zmieścić w siedmiu procentach tych jego uczestników, którzy nigdy już potem nie wzięli alkoholu do ust.

Nie tylko z racji prześladowań, które dotknęły jej ojca, Mieczysława Prendowskiego – więźnia w latach 50., torturowanego w niekończącym się śledztwie – do komuny ma autorka „Oka pamięci" stosunek jednoznaczny. Skreśla ją i tyle, bo to – jak mówił jej ojciec – beznadzieja. A o polskiej polityce po odzyskaniu niepodległości nie rozpisuje się, eseje jej zresztą mają zgoła inny, kulturalny charakter, a ich bohaterami są np. Philip Roth czy Andy Warhol. Tyle że książka ma też swojego antybohatera, a jest nim akurat polityk – Donald Trump.

Obecny prezydent Stanów Zjednoczonych to jej zdaniem „pławiący się we własnym narcyzmie nieuk", „odbity w zwierciadle wizerunek obłąkanych przywódców – Mussoliniego oraz Kadafiego", „nietykalny oszust, wybrany przez ufających mu zapomnianych, wykluczonych przez elity zmagającej się ze samą sobą demokracji".

Czytając książkę Prendowskiej, odniosłem wrażenie, że nawet Władimir Putin, ten – jak powiada – „żądny władzy nad światem kontynuator herezji komunistycznej oraz deliryczny nihilista", nie wzbudza w niej tyle nienawiści, co prezydent jej drugiej ojczyzny: „Człowiek bez właściwości, psychopata cedzący wyświechtane frazesy wyświechtanymi ustami kłamcy. Grubianin i profan w rozpuście epatujący swoim bogactwem. A jego wyborcy są otumanieni przez świat rozboju oraz amerykańskiego terroru sukcesu, niedoinformowani, pozbawieni wyobraźni: są to plemienni z natury obywatele kultury przemysłu oraz bezludnych przestrzeni, gdzie jedyną książką w domu jest nieczytana Biblia, a religie mutują w niebezpieczne sekty".

Na szczęście mamy Europę i starą, dobrą Francję. A tam, jak Prendowska donosi radośnie w swoich zapiskach, „Emmanuel Macron, młody nieznany szerzej kandydat o dużym potencjale intelektualnym stoczył zwycięski bój z ultraprawicową Marine Le Pen, pewną siebie kobietą z lodowatymi płomykami w oczach i manierami przekupki".

No i wystarczy. Tego rodzaju przemyślenia nadają się może do wygłaszania na imieninach u cioci, i to pod warunkiem, że goście z wyrozumiałością podejdą do majaczeń zacietrzewionej starszej pani. Skądinąd obawiam się, że kontynuację „Oka pamięci" napisaną teraz, po powtórnej elekcji Donalda Trumpa i po wyborach prezydenckich w Polsce, wręcz rozsadziłyby polityczne emocje w niej nagromadzone. Ale taka książka z pewnością zostałaby uhonorowana Nagrodą Nike. ©℗

★★★★★★

KRYSTYNA PRENDOWSKA „OKO PAMIĘCI" WARSZAWA 2025

eprasa.pl 7bcb357858

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Utopiści bez złudzeń

Przedziwna książka, która formą pasuje do nowych czasów oraz w dużym stopniu do głównego tematu rozmowy. „Jerzego i Andrzeja Żuławskich ekspedycja w kierunku prawdy" to montaż krytycznych wypowiedzi. (Nabyć ją można jedynie na stronie wydawcy, czyli Esef.com.pl). Głównym przedmiotem analizy jest film „Na Srebrnym Globie", dostajemy zapis dwóch długich dialogów: dyskutuje dwóch filozofów zakochanych w kinie, perspektywa jest więc niecodzienna i arcyciekawa. Ważny jest też otwierający książkę dłuższy tekst przypominający dzieło i poglądy Jerzego Żuławskiego oraz unikatowość jego powieściowej trylogii. Najwyższa była pora, byśmy sobie o geniuszu i profetyzmie tego twórcy przypomnieli. Tak jak osobno Jacek Sobota analizuje dzieło dziadka, czyli pisarza, tak i w osobnym eseju Jakub Walicki bierze się za bary z syndromem wykorzenienia w twórczości wnuka, czyli reżysera Andrzeja Żuławskiego.

Najważniejsze dla tytułowej ekspedycji w kierunku prawdy jest to, że pozostaje ona nieukończona. Kręcenie „Na Srebrnym Globie" przerwał komunistyczny aparatczyk od kultury, zmontowana po latach wersja to cień pierwotnych zamysłów Andrzeja Żuławskiego. Z kolei Jerzy Żuławski, którego proza (ale nie tylko ona) zainspirowała wnuka, co prawda ukończył swoją trylogię powieściową, ale nie dożył niepodległości. Nie mógł więc zobaczyć na własne oczy, jak upada mit nowego początku (przy czym i tak degeneracja II RP była niczym wobec krwawej kompromitacji utopii, którą okazało się powstanie państwa bolszewików). A przecież marzenie o nowym początku i rozważania na temat nieuniknionego upadku stoją w centrum trylogii „Na Srebrnym Globie". „Dlaczego człowiek rodzi się wolny, a mimo tego żyje jak niewolnik?" – autorzy przytaczają słowa Wilhelma Reicha, który w „Mordercach Chrystusa" zgrabnie streścił pytanie zajmujące filozofów i religijnych proroków od tysięcy lat.

★★★★☆☆
JACEK SOBOTA, JAKUB WALICKI „JERZEGO I ANDRZEJA ŻUŁAWSKICH EKSPEDYCJA W KIERUNKU PRAWDY"
STALKER BOOKS 2025

Książka Soboty i Walickiego też pozostaje dziełem otwartym (i bardzo intrygującym), bo nie daje żadnych definitywnych odpowiedzi ani ostatecznych interpretacji. Dialog filozofa pisarza i filozofa kinomana układają się w kolaż, do którego współtworzenia zaproszony zostaje czytelnik. Tak być powinno, bo nic tak nie szkodzi rozmowom o sztuce jak nadmiar pewności. ©℗

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Co sezony historii mówią nam o tym, jak i kiedy zakończy się obecny kryzys, czyli próba wytłumaczenia świata poprzez teorię czteropokoleniowych cykli, które – zdaniem Howe'a i Williama Straussa – regulują rytm rozwoju społeczeństw.

NEIL HOWE „CZWARTY ZWROT JUŻ NADSZEDŁ" ZYSK I S-KA

Błyskotliwa i napisana z wielką sympatią dla „fali przypływu Chrystusa" opowieść o znaczeniu, skali i bezprecedensowym sukcesie najważniejszej zmiany w dziejach: powstaniu cywilizacji chrześcijańskiej i jej owocach.

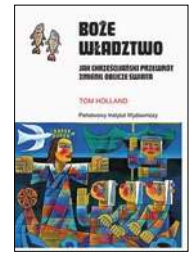

TOM HOLLAND „BOŻE WŁADZTWO" PIW

„Przemytnicy z Chinatown i amerykański sen" – autor książki „Imperium bólu. Baronowie przemysłu farmaceutycznego" tym razem o dziejach chińskiej mafii. Opowieść, przy której bledną dzieje włoskich gangsterów.

PATRICK RADDEN KEEFE „GŁOWA WĘŻA" CZARNE

Rok 1949, Londyn, ale bardziej fantastyczny i magiczny niż ten w realu. Miłośnicy opowieści grozy, książka, która nie ma prawa istnieć, zmagania nadnaturalnych sił. Powieść szalona, prowokacyjna, ale świetnie napisana.

recenzuje Piotr Gociek

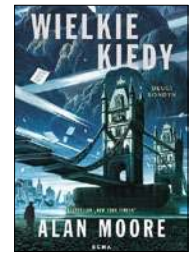

ALAN MOORE „WIELKIE KIEDY" WYDAWNICTWO ECHA

KOMIKS TYGODNIA:
WCIĄŻ WOLNY

Bardzo swobodna adaptacja graficzna klasycznej powieści Jamesa Fenimoore'a Coopera, bardziej impresja poetycko-malarska w formie kolażu: rysunki, cytaty, fragmenty wywiedzione z oryginalnego tekstu i dopisane przez scenarzystę. Efekt jest oszałamiający, lektura tego albumu to niezwykłe doświadczenie. Stylem przypomina komiksy naszego najoryginalniejszego rysownika, Jakuba Rebelki.

Piotr Gociek

CROMWELL, CATMALOU „OSTATNI MOHIKANIN" MANDIOCA 2025

eprasa.pl 7bcb357858

Klimat na zmiany

Łukasz Warzecha z Brukseli

Nowy budżet będzie bardzo ważny dla kształtowania się nastrojów Polaków wobec UE. Rosną nastroje sceptyczne. Jesteśmy w bardzo ciekawym momencie. Dotychczasowy, dogmatycznie przyjmowany kierunek polityki klimatycznej UE jest pod ostrzałem i jest szansa na przynajmniej częściową zmianę

Nie ma już Zielonego Ładu" – ogłaszał kilkakrotnie w czasie kampanii wyborczej dwugodzinny prezydent Rafał Trzaskowski. Płynące z Komisji Europejskiej informacje pokazują, że z Zielonym Ładem jest jak z butelką wina, które nie smakowało gościowi w komediowym serialu BBC „Hotel Zacisze" z Johnem Cleese'em w roli głównej. W jednym z odcinków grany przez niego Basil Fawlty odwraca się od niezadowolonego gościa, umieszcza na tej samej butelce wina inną naklejkę i – voilà, wino nagle zaczyna smakować. Teraz zatem Zielony Ład nazywa się Clean Industrial Deal – czysty ład przemysłowy, ale co do zasady i swoich składowych niemal się nie zmienił.

Jednocześnie w Parlamencie Europejskim narasta strach głównego nurtu przed skutkami wdrażania jego kolejnych elementów, a na to wszystko nakłada się oczekiwanie na projekt nowej długoletniej perspektywy finansowej, czyli unijnego budżetu na lata 2027–2034. Ma on zostać zaprezentowany do 16 lipca. Jaki zatem jest stan gry?

POLSKA PŁATNIKIEM NETTO?

Kluczową rolę w przygotowaniu projektu nowego budżetu wspólnoty odgrywa Polak, komisarz do spraw budżetu, Piotr Serafin, kiedyś szef gabinetu Donalda Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej, później przez krótki czas faktyczny kierownik polskiej misji przy UE (jego nominacji nie podpisał prezydent). Serafin ma opinię rzeczowego, choć jego polityczna afiliacja nie budzi wątpliwości.

Nowy budżet będzie bardzo ważny dla kształtowania się nastrojów Polaków wobec UE – jak być może nigdy dotychczas, dotąd bowiem nasze członkostwo widziane było niejako domyślnie jako jednoznacznie pozytywne. Teraz jednak rosną nastroje sceptyczne, a do tego dochodzą trzy czynniki.

Po pierwsze – oczekiwano, że może to być pierwsza długoletnia perspektywa finansowa, w której Polska stanie się formalnie płatnikiem netto. Po drugie – bo właśnie od 2027 r. miał wejść w życie niesamowicie kosztowny dla nas system ETS2. Po trzecie – bo w Polsce pierwszy rok nowego budżetu będzie rokiem wyborczym (zakładając, że Sejm dotrwa do końca kadencji). Połączenie tych trzech czynników mogłoby dać piorunujący efekt polityczny, radykalnie wzmacniając notowania ugrupowań suwerennościowych i obniżając poparcie dla członkostwa w UE. Wszak ETS2 oznaczałby najkonkretniejsze dotychczas uderzenie w kieszenie Polaków. Skokowo wzrosłyby ceny paliw na stacjach, co za tym idzie – skoczyłaby inflacja, bo przecież paliwa to transport wszystkich dóbr, a jednocześnie dodatkowym podatkiem zostałyby obłożone gaz czy olej opałowy.

Wiele wskazuje jednak na to, że formalnie rzecz biorąc, nasz kraj płatnikiem netto na razie nie zostanie, zapewne również właśnie z powodów politycznych. Nasza obecna składka roczna do budżetu UE wynosi ok. 6 mld euro, czyli ponad 25 mld zł. Zysk netto z uzyskiwanych funduszy unijnych z pewnością spadnie, ale pozostanie prawdopodobnie jakiś margines, aby rząd „demokratyczny" mógł wskazywać, że obronił nasz status jako beneficjenta. Inna sprawa, że gdyby podsumować inne nasze zobowiązania wobec Unii, mogłoby się okazać, że już teraz beneficjentem nie jesteśmy, a cóż dopiero po 2027 r. Ważne jednak, żeby najprostszy rachunek dawało się politycznie sprzedać.

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. ADOBE STOCK

Prawdopodobnie uda się również zażegnać inne zagrożenie. Pojawiły się bowiem pomysły – wspierane przez część państw członkowskich – żeby najważniejsze dla nas fundusze spójności zmienić w coś na kształt KPO. Oznaczałoby to podzielenie ich na transze, których dostępność byłaby uzależniona od spełnienia za każdym razem konkretnych warunków. Takiej zmianie jest jednak niechętny również komisarz Piotr Serafin i raczej do niej nie dojdzie.

SZUKANIE PIENIĘDZY

Jednak przed nowym unijnym budżetem stanie problem związany z KPO, a konkretnie z funduszem NextGeneration EU, który jest bazą dla Krajowego Planu Odbudowy. W Polsce KPO funkcjonuje w powszechnej świadomości w skrajnie zmitologizowanej postaci, jako kolejna sakiewka, którą szczodra Unia rozsupłała dla Polski, gdy wreszcie udało się pozbyć tego wstrętnego PiS. Trzeba zatem przypomnieć, jak jest naprawdę.

Fundusz NextGeneration EU w wysokości łącznie blisko 650 mld euro został stworzony oficjalnie, aby rozruszać europejską gospodarkę po COVID. W Polsce rząd Mateusza Morawieckiego potraktował dołączenie do tego projektu jako chwyt przede wszystkim propagandowy, epatując wyborców całkowitą sumą blisko 60 mld euro, czyli ponad 250 mld zł, które mieliśmy „otrzymać". Nie da się jednak tego słowa pisać bez cudzysłowu. Po pierwsze – pieniądze są znaczone i wcale nie są w większości przeznaczone na branże, które poniosły w czasie pandemii największe straty. Aż 51 proc. musi zostać przeznaczone na cele związane z polityką klimatyczną, a dalsze 21 proc. – na transformację cyfrową.

Po drugie – nie ma mowy o żadnym rozdawaniu pieniędzy czy jednorazowym ich zastrzyku. Polski KPO to 18 transz, każda z własnymi odrębnymi warunkami, z czego dziewięć (na sumę ponad 25 mld euro) to w teorii bezzwrotna dotacja, a reszta (ponad 34 mld euro) to kredyty. Prawda jednak jest taka, że cały fundusz NextGeneration EU to jedna wielka pożyczka, zaciągnięta wspólnie przez te państwa UE, które postanowiły w projekcie uczestniczyć. Paradoks polegał na tym, że choć Polska miała zablokowane fundusze z KPO w czasie rządów PiS, to nasz kraj musiał już partycypować w spłacaniu odsetek. Te zaś – jak można usłyszeć od europosłów zajmujących się kwestiami finansowymi – okazały się z powodu inflacji aż trzykrotnie wyższe, niż oczekiwano.

Od 2028 r. natomiast UE będzie musiała zacząć spłacać kapitał kredytu na NextGeneration EU, co oznacza konieczność wygospodarowania od 24 do nawet 30 mld euro rocznie (szacunki różnią się w zależności od tego, czy pytać w Komisji Europejskiej czy w Parlamencie Europejskim). Skąd te pieniądze wziąć? W KE można usłyszeć o kilku wariantach. Dwa mało prawdopodobne to zwiększenie składki oraz zmniejszenie wydatków w innych dziedzinach – np. na Wspólną Politykę Rolną. Na to nie będzie zgody krajów członkowskich. Kolejna możliwość to utworzenie nowych zasobów własnych Unii – co natychmiast zapala lampki alarmowe szczególnie wśród partii suwerennościowych, i słusznie.

Zasoby własne UE to pieniądze płynące bezpośrednio do budżetu Unii, czyli poprzez „podatki unijne". W tej chwili są dwa ich główne źródła: cła takie jak CBAM – zwany cłem węglowym (podatek nakładany na granicy UE od niektórych nieprzetworzonych produktów w zależności od emisji CO_2, które towarzyszyły ich wyprodukowaniu) – oraz część wpływów z recyklingu plastików. Zasoby własne budzą kontrowersje, bo przedstawiciele środowisk suwerennościowych trafnie zauważają, że ich tworzenie wzmacnia UE jako strukturę scentralizowaną, a więc sprzyja uzależnianiu państw narodowych od Brukseli.

Istniejące zasoby własne nie wystarczą jednak na spłatę NextGeneration EU, więc pojawiają się nowe pomysły. Jednym z nich jest potraktowanie części wpływów z ETS2 jako zasobu własnego – i byłaby to dla Polski fatalna perspektywa. Oznaczałoby to, że to, co dostaliśmy na kredyt – czyli KPO – skończy się za moment obciążeniami przewyższającymi jakąkolwiek korzyść. W Komisji można jednak usłyszeć, że to wariant niespecjalnie prawdopodobny. Jeden z wysokiej rangi urzędników, z którymi miałem okazję rozmawiać, stwierdził, że byłaby to polityczna bomba – obywatele nie tylko nagle dostaliby boleśnie po kieszeni, lecz także dowiedzieliby się, że te pieniądze płyną bezpośrednio do Brukseli. Pojawia się zatem inny, mniej bolesny pomysł: opodatkowanie przysyłanych do UE paczek, głównie z Chin. Dzisiaj z cła zwolnione są przesyłki o wartości do 150 euro. Gdyby tę granicę znieść, korzyść mogłaby być istotna – w samym 2024 r. do Unii dotarło 4,6 mld takich przesyłek.

Jest wreszcie możliwość, że Unia w ogóle nie zdecyduje się na spłacanie kredytu – termin jego spłaty to 2058 r. – ale w zamian będzie go rolować, czyli spłata nastąpi z kolejnego kredytu, wziętego na ten cel. Byłoby to postępowanie podobne do działania wielu państw z Polską włącznie. Z tym że UE państwem nie jest. Z okolic gabinetu komisarza Serafina można usłyszeć, że jest on raczej zwolennikiem spłacania długu niż rolowania go.

CO Z ZIELONYM ŁADEM?

Największe napięcie pomiędzy Komisją a Parlamentem pojawia się natomiast w sprawie dalszych losów Zielonego Ładu. Występując w PE na początku polskiej prezydencji w Radzie UE, premier Tusk zwrócił się do europosłów z apelem o realizm w sprawie wdrażania polityki klimatycznej, ostrzegając, że wysokie ceny energii „mogą zmieść niejeden rząd demokratyczny w Europie". Apelował także o przełożenie w czasie wejścia w życie systemu ETS2, czyli mechanizmu handlu emisjami w transporcie i budownictwie (chodzi o każdy rodzaj ogrzewania, także indywidualnego), który planowo powinien zostać wdrożony w 2027 r.

eprasa.pl 7bcb357858

Jego słowa współgrały z listem uczestników styczniowego zjazdu Europejskiej Partii Ludowej w Berlinie, w którym znalazł się apel o daleko idącą deregulację, opóźnienie albo poluzowanie zobowiązań wynikających z Zielonego Ładu, np. związanych z dyrektywą budynkową EPBD (koszt jej realizacji w Polsce do 2035 r. został oszacowany w raporcie „Polska fala renowacji" na pół biliona złotych) czy z zakazu rejestracji samochodów spalinowych, począwszy od 2035 r. To jest kurs, którym coraz wyraźniej podąża EPL, przy wielu okazjach zawiązując sojusze z prawicowymi grupami politycznymi: Patriotami dla Europy, Europejskimi Konserwatystami i Reformatorami oraz Europą Suwerennych Narodów.

W KE Zielonym Ładem zajmuje się dwoje komisarzy: Holender Wopke Hoekstra (klimat, neutralność klimatyczna i czysty rozwój) oraz Hiszpanka Teresa Ribera (czysta, sprawiedliwa i konkurencyjna transformacja). Przedstawiciele obojga komisarzy i urzędnicy z pracujących na ich rzecz dyrekcji (uwaga: dyrekcje w KE nie pokrywają się jeden do jednego z zakresem kompetencji komisarzy) wykazują się charakterystycznym dla nich ideologicznym zacięciem, które odróżnia ich od większości pozostałych pracowników gmachu Berlaymont. Jeśli zapytać o wątpliwości mnożące się wokół tak sztandarowych filarów polityki klimatycznej jak ETS2 czy dyrektywa budynkowa, odpowiedź brzmi, że być może będą jakieś niewielkie korekty, ale na pewno nie znacząca zmiana. Jednocześnie urzędnicy ci nie umieją podać jakichkolwiek konkretnych korzyści dla klimatu, które miałyby wyniknąć z wdrażania poszczególnych polityk, za to chętnie przywołują raport Maria Draghiego. Problem w tym, że ów głośny raport, zamówiony przez przewodniczącą KE u byłego prezesa Europejskiego Banku Centralnego pod koniec poprzedniej kadencji Komisji Europejskiej, jest wewnętrznie niespójny. Z jednej strony jasno wskazuje na bariery dla rozwoju europejskiej gospodarki, które wynikają z polityki klimatycznej; z drugiej stwierdza, że sposobem na uniknięcie stagnacji jest… szybsze wdrażanie tej polityki (choć z uwzględnieniem deregulacji).

Różnica w podejściu między europosłami a urzędnikami Komisji i jej członkami wynika z tego, że ci drudzy nie muszą się liczyć z wyborcami. Komisja Europejska, która jako jedyna ma w Unii prawo inicjatywy ustawodawczej – a więc tylko ona może zainicjować np. zmiany w rozporządzeniach czy dyrektywach – jednocześnie nie ma praktycznie żadnej legitymacji demokratycznej. Europosłowie natomiast, zwłaszcza ci z głównego nurtu, czyli z wciąż największej EPL, zaczynają widzieć, że jeśli nie zatamują klimatycznego szaleństwa, to poniosą konsekwencje we własnych krajach.

Parlament zamierza więc walczyć o przynajmniej znaczące odroczenie wejścia w życie ETS2. Wariantem maksimum natomiast jest całkowita rezygnacja z tego systemu. Od jednego z europosłów Koalicji Obywatelskiej usłyszałem, że przedstawiciele PE mieli bardzo burzliwe spotkanie z przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen, która z polityki klimatycznej uczyniła przecież swój główny wehikuł polityczny. Podczas spotkania miała kilkakrotnie stwierdzić, że jest postawą deputowanych „bardzo rozczarowana". „No ale co z tego?" – skomentował mój rozmówca. Inny polski europoseł EPL stwierdził, że Parlament musi na Komisję radykalnie naciskać, bo bez tego nie będzie efektów.

Można oczywiście diagnozować, że to koniunkturalizm, ale motywacje mają drugorzędne znaczenie. Ważniejsze jest, że rośnie presja ze strony znaczącej części europosłów na demontaż przynajmniej części polityki klimatycznej UE. Dotyczy to nie tylko ETS2, lecz także zakazu rejestracji nowych aut spalinowych od 2035 r. W tej chwili PE czeka na nowe propozycje Komisji w tej sprawie.

MOCNY ARGUMENT

Polska tymczasem dostała do ręki mocny argument w sprawie tych polityk UE, które wpływają na nasz miks energetyczny. 10 czerwca Trybunał Konstytucyjny wydał wyrok w sprawie zgodności z konstytucją systemu ETS. Pięciu sędziów, którzy zdecydowali większością głosów, odwołało się do art. 192 Traktatu o funkcjonowaniu UE. Mówi on, że w sprawach „wpływających znacząco" „na wybór państwa członkowskiego między różnymi źródłami energii i ogólną strukturę jego zaopatrzenia w energię" decyzje powinny zapadać wyłącznie w Radzie UE na zasadzie jednomyślności – zatem z prawem weta. Jest to tzw. specjalna procedura. Tymczasem w sprawie ETS decyzje podejmowano w ramach procedury zwykłej: współdecydowały Parlament i Rada, a w tej ostatniej decydowano większością kwalifikowaną (55 proc. państw łącznie z 65 proc. ludności). Takie postępowanie stało się przedmiotem skargi Polski do TSUE, który skargę odrzucił i orzekł, że procedura umożliwiająca użycie weta wchodzi w grę jedynie wówczas, kiedy „pierwszym zamierzonym rezultatem" jest wpływ na miks energetyczny. To oczywista uzurpacja, wprost sprzeczna z brzmieniem wspomnianego art. 192 TFUE, który przecież wyraźnie mówi o znaczącym wpływie, a nie o tym, że dana regulacja musi wprost odnosić się do miksu energetycznego. Nie jest to wyjątek w działaniach TSUE.

W przyszłości orzeczenie TK może być bardzo mocnym argumentem przeciwko akceptacji dużej części polityk unijnych

Wyrok TK nie będzie miał bezpośredniego i natychmiastowego wpływu na nasze rachunki za prąd czy ciepło – w których zakup uprawnień do emisji stanowi coraz większą część. Trzeba też pamiętać, że rząd uchwałą – bezprawnie – zdecydował o niedrukowaniu wyroków Trybunału Konstytucyjnego. Nie zmienia to faktu, że w przyszłości orzeczenie może być bardzo mocnym argumentem przeciwko akceptacji dużej części polityk unijnych, mających wpływ na nasz miks energetyczny, a głosowanych większością kwalifikowaną, bez możliwości weta.

Jesteśmy zatem w bardzo ciekawym momencie. Dotychczasowy, dogmatycznie przyjmowany kierunek jest pod ostrzałem i jest szansa na przynajmniej częściową zmianę. Lepiej byłoby oczywiście, gdyby całość polityki klimatycznej UE została wyrzucona do kosza, ale polityka to, jak wiadomo, sztuka osiągania celów możliwych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Czy mamy się już bać Niemiec?

Filip Memches

W czarnym scenariuszu Polska znajdzie się poza parasolem NATO, które i tak zacznie się rozpadać. W Niemczech zaś do głosu dojdą siły polityczne układające się z Rosją. Ale nie oznacza to przecież, że Bundeswehra w takim wariancie najechałaby Polskę. Natomiast problemem byłoby przyzwolenie Niemiec na to, żeby neutralne państwo polskie trafiło do rosyjskiej strefy wpływów

Republika Federalna Niemiec się zbroi. W tym celu wprowadzono zmianę w konstytucji tego państwa. 18 marca 2025 r. Bundestag przyjął poprawkę, dzięki której wydatki na obronność powyżej 1 proc. PKB nie będą objęte „hamulcem zadłużenia". Nastąpił wzrost wydatków na obronę. Agencja zajmująca się wyposażeniem Bundeswehry w nowoczesne uzbrojenie ogłosiła, że priorytetem dla niej będzie szybka dostawa sprzętu niemieckiemu wojsku. Zapowiedziano też w związku z tym wdrożenie rozwiązań mających na celu usuwanie barier biurokratycznych na tym polu.

SPRZECZNOŚCI WEWNĘTRZNE

Geopolityczna rzeczywistość przyspieszyła i ma to przełożenie na decyzje, które podejmowane są w Berlinie. Europejscy członkowie NATO muszą się oswoić z tym, że USA nie stać już na bycie dobrym wujkiem, który dokłada do interesu, którym jest zwiększanie zdolności obronnych Starego Kontynentu w obliczu rosnącego zagrożenia ze strony Federacji Rosyjskiej. Niezależnie od tego, kto by zasiadał w Białym Domu, uwaga całej amerykańskiej klasy politycznej zwrócona jest od długiego czasu na Chińską Republikę Ludową. Tę geopolityczną reorientację zwiastowała już prezydentura Baracka Obamy, polityka, który w państwach głównego nurtu Unii Europejskiej – a więc również w Niemczech – był traktowany z olbrzymią atencją. W obecnych okolicznościach Amerykanom zależy zaś na tym, żeby zakończyć, a przynajmniej zamrozić wojnę rosyjsko-ukraińską. Mają bowiem na głowie globalną rywalizację z Chinami – na razie tylko ekonomiczną, lecz może ona przejść w stadium – choćby i ograniczonego – konfliktu zbrojnego. Do tego wszystkiego ostatnio doszła wojna izraelsko-irańska.

Taka sytuacja pobudziła niemieckich polityków do działań, które w przeszłości wydawały się mało prawdopodobne. Chodzi również o podejmowanie inicjatyw na rzecz – „autonomicznej" względem USA – wspólnej polityki obronnej z udziałem państw unijnych oraz Wielkiej Brytanii, choć na razie obiecujących efektów nie widać – również dlatego, że taki europejski blok jest na starcie targany rozmaitymi wewnętrznymi sprzecznościami – chodzi m.in. o to, że firmy zbrojeniowe z poszczególnych krajów między sobą konkurują.

Skoro RFN się zbroi, to – biorąc pod uwagę historyczne zaszłości w stosunkach polsko-niemieckich – Polakom nie wypada unikać pytań o to, czy owa sytuacja stanowi niebezpieczeństwo dla Polski. W przypadku dwóch sojuszników w ramach NATO takie rozważania mogą się wydać absurdalne. Ale bieg zdarzeń jest tak dynamiczny, że nie wiemy, co Europie szykuje historia. Przypomnijmy, że Rosja żąda od USA i innych mocarstw Zachodu faktycznej neutralności państw dawnego bloku wschodniego – a więc również Polski. Czarny scenariusz – dziś wydaje się on mało prawdopodobny, ale trzeba jednak brać pod uwagę różne rozstrzygnięcia – jest taki, że dla zawarcia pokoju rosyjsko-ukraińskiego żądania Kremla zostaną spełnione. Oznacza to, że Polska znajdzie się poza parasolem NATO, które i tak zacznie się rozpadać. W Niemczech zaś do głosu dojdą siły polityczne układające się z Rosją i bynajmniej niezważające na obawy, które mogą żywić w tej sprawie Polacy. Ale nie oznacza to przecież, że Bundeswehra w takim wariancie najechałaby Polskę. Problemem byłoby zgoła co innego: przyzwolenie Niemiec na to, żeby neutralne państwo polskie trafiło do rosyjskiej strefy wpływów.

Natomiast aktualne i realne jest zjawisko, które można byłoby określić mianem przesilenia kulturowego oraz mentalnego nad Szprewą i Renem. Bez tego czynnika – oddziałującego również na relacje polsko-niemieckie – rewizja wieloletniej, obrosłej rozmaitymi tabu polityki RFN nie byłaby możliwa. I tu trzeba przedstawić krótki rys historyczny.

Po drugiej wojnie światowej Niemcy chcieli z jednej strony zminimalizować, jak się da, konsekwencje zbrodni popełnionych przez III Rzeszę, a z drugiej nałożyli na siebie wory pokutne. Postanowili, że ich państwo będzie „moralnym mocarstwem", które świeci przykładem w kwestii rozliczeń z własną ponurą historią, a skoro tak, to jako wspólnocie politycznej wzorowo przeprowadzającej swój rachunek sumienia wolno im pouczać inne narody, jak mają one przestrzegać demokracji i praworządności.

Oczywiście inaczej to było w Niemczech Zachodnich, a inaczej w Niemieckiej Republice Demokratycznej. W NRD za fasadą oficjalnej „antyfaszystowskiej" ideologii państwowej nastąpiło zamrożenie pruskiego autorytaryzmu w lodówce realnego socjalizmu. Natomiast owa

eprasa.pl 7bcb357858

ambiwalencja, o której wyżej mowa – dotycząca stosunku do dziedzictwa III Rzeszy – dotyczyła głównie RFN, bo tam mogła się toczyć swobodna dyskusja. Państwo to zostało przeorane procesem „przezwyciężania przeszłości". Termin ten oznacza nie tylko podjęcie rozliczeń z nazizmem, lecz także z tym wszystkim, co doprowadziło do przejęcia przez Adolfa Hitlera władzy w Niemczech.

Czy Bundeswehra zachowa charakter wyłącznie obronny i pokojowy?
FOT. MARCO DOROW/BUNDESWEHR

MILITARNE SAMOOGRANICZENIE

Zaczęło się od denazyfikacji narzuconej przez aliantów zachodnich. Tyle że była ona powierzchowna. W efekcie w latach 50. w Niemczech Zachodnich wypierano poczucie winy, a wielu funkcjonariuszy III Rzeszy odnalazło się w administracji nowego państwa. Kolejna dekada przyniosła jednak bunt odwołującej się do lewicowych haseł młodzieży przeciw pokoleniu rodziców. Padły wobec nich oskarżenia o to, że zakłamywali oni nazistowską przeszłość. Do głosu doszli socjolodzy, psycholodzy, filozofowie z tzw. szkoły frankfurckiej (czołówkę tego środowiska stanowili Niemcy żydowskiego pochodzenia), którzy źródeł nazizmu upatrywali w autorytarnych wzorcach społecznych, cechujących – ich zdaniem – naród niemiecki jako wspólnotę polityczną. Oddziaływało to na życie publiczne RFN. Zostało ono naznaczone problemem odpowiedzialności za Holokaust – także pod wpływem aktywności podejmowanej przez diasporę żydowską oraz Izrael. Niemcy Zachodnie wzięły na siebie kultywowanie pamięci o tym, co III Rzesza zgotowała Żydom.

Skądinąd zdaniem Samuela Salzborna, politologa, pełnomocnika do spraw zwalczania antysemityzmu w rządzonym przez lewicę landzie Berlin, skala tego zjawiska jest wyolbrzymiana. Uważa on bowiem, że w RFN bolesnym przepracowywaniem winy za Holokaust zajęła się głównie niemająca posłuchu w społeczeństwie garstka intelektualistów, natomiast w wymiarze masowym odbywała się autowiktymizacja, czyli kreowanie się na naród poszkodowany w drugiej wojnie światowej (stąd podejmowanie w debacie publicznej tematu tzw. wypędzeń).

Warto też zwrócić uwagę na to, że Polacy traktowani są przez Niemców inaczej niż Żydzi. A przecież chodzi o naród szczególnie poszkodowany przez III Rzeszę. Najbardziej dobitnym świadectwem tego odmiennego traktowania jest spór o reparacje. Trudno sobie wyobrazić, żeby argumenty, które niemiecka klasa polityczna wytacza przeciw polskim żądaniom odszkodowań za straty poniesione przez Polaków w drugiej wojnie światowej, były wysuwane w negocjacjach z diasporą żydowską i Izraelem. Choć zarazem politycy niemieccy nie wahają się rytualnie powtarzać słów o odpowiedzialności narodu niemieckiego za zbrodnie popełnione w Polsce w latach 1939–1945.

Porządek międzynarodowy, który został zaprowadzony po drugiej wojnie światowej, miał stanowić gwarancję, że naród niemiecki już nigdy nie wywoła żadnej wojny. Początkowo Niemcy Zachodnie były państwem całkowicie zdemilitaryzowanym. Wraz z zimną wojną pojawiły się jednak nowe okoliczności. W roku 1955 została utworzona Bundeswehra. Wtedy też RFN wstąpiła do NATO. Niemniej okazała się ona państwem w jakimś stopniu pacyfistycznym. Cień brunatnej przeszłości stanowił istotny czynnik samoograniczający. Znalazło to odzwierciedlenie w konstytucji RFN. W poprawce z roku 1956 pojawił się zapis, że siły zbrojne Niemiec Zachodnich mają wyłącznie zadania obronne. To się nieco zmieniło w latach 90., czyli już po zjednoczeniu Niemiec. W roku 1994 niemiecki Federalny Trybunał Konstytucyjny orzekł, że Bundeswehra może uczestniczyć w operacjach międzynarodowych pod egidą ONZ, NATO, UE – pod warunkiem że uprzednio wyrazi na to zgodę Bundestag. W rezultacie żołnierze niemieccy brali udział w rozmaitych misjach stabilizacyjnych w różnych regionach świata.

Niemniej Niemcy pozostawały państwem ściśle strzegącym swojego militarnego samoograniczenia. Świadectwem tego może być afera, która wybuchła w roku 2010. Ówczesny prezydent Niemiec – Horst Köhler (wcześniej m.in. dyrektor Międzynarodowego Funduszu Walutowego) – oznajmił, że RFN powinna rozważyć użycie Bundeswehry na terenie Afganistanu w celu zabezpieczenia niemieckich interesów gospodarczych. Tym samym ten polityk Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej zasugerował podjęcie działań sprzecznych z konstytucją państwa niemieckiego, co wywołało nad Szprewą i Renem burzę. Ostatecznie Köhler podał się do dymisji. Ale być może swoją – w sumie niewinną – wypowiedzią wyraził coś, o czym niemiecka klasa polityczna myśli, ale głośno nie mówi.

I tak wracamy do kwestii przesilenia kulturowego oraz mentalnego w społeczeństwie niemieckim, które coraz bardziej daje o sobie znać po zjednoczeniu Niemiec. Chodzi o to, że nie udało się Niemców całkowicie zreedukować w duchu zachodniej liberalnej demokracji, zwłaszcza że przecież w NRD w ogóle nawet tego nie podejmowano. Tak więc tendencji nacjonalistycznych ze społeczeństwa niemieckiego nie wypleniono.

eprasa.pl 7bcb357858

Ale bynajmniej w tym przypadku nacjonalizmu nie należy utożsamiać z neonazizmem.

WIĘCEJ BISMARCKA, MNIEJ HABERMASA

Polacy są straszeni – nie bez powodu – Alternatywą dla Niemiec. To jednak partia nacjonalistyczna, a nie neonazistowska – i to mimo że z ust jej niektórych członków padały słowa relatywizujące winę Niemców za to, co robili w czasach III Rzeszy. Znamienne, że jeśli chodzi o konflikt na Bliskim Wschodzie, to AfD zajmuje proizraelskie stanowisko (choć – co należy podkreślić – nie bezwarunkowo). Dlatego że jej politycy upatrują w Izraelu sojusznika państw Zachodu, które obecnie zmagają się ze skutkami masowej imigracji z krajów muzułmańskich. A AfD podnosi kwestię islamizacji Niemiec spowodowanej „kulturą gościnności".

Jeśli chodzi o ocenę III Rzeszy, to za niemieckim nacjonalizmem kryje się nie tyle chęć wybielania nazistowskiej przeszłości, ile postawa, do której pasuje polskie powiedzenie: „Ciszej nad tą trumną". Oznacza ona, że Niemcy mają być ze swojej niemieckości dumni, a nie ciągle się tylko wstydzić 12 lat hitlerowskiej aberracji, co – rzecz jasna – gorszy Żydów oczekujących od nich nieustannego biczowania się za Holokaust.

Postawa ta daje o sobie znać nie od dziś. Można tu przywołać choćby skandal z roku 2003. Wówczas Martin Hohmann, deputowany do Bundestagu z ramienia CDU, wygłosił w Dniu Jedności Niemiec przemówienie, w którym poruszył temat zaangażowania Żydów w komunizm i nazwał ich „narodem sprawców". W efekcie polityk ten został wykluczony ze swojej partii i jej klubu parlamentarnego. Tymczasem przemówienie Hohmanna pochwalił gen. Reiner Günzel, dowódca elitarnej jednostki Kommando Spezialkräfte. W rezultacie na wniosek ministra obrony Petera Strucka musiał się ze swoim stanowiskiem pożegnać.

W roku 2006 Christian Hacke, niemiecki politolog i to jak najbardziej establishmentowy (kojarzony z chadecją), opublikował tekst, w którego tytule zawarł bon mot: „Więcej Bismarcka, mniej Habermasa". Warto rozszyfrować tę frazę. Otto von Bismarck – XIX-wieczny kanclerz Niemiec – jest uosobieniem bezwzględnej Realpolitik, która uczyniła z Prus potęgę europejską. Z kolei Jürgen Habermas to socjolog, przedstawiciel wspomnianej wyżej „szkoły frankfurckiej", którego poglądy da się wpisać w koncepcję państwa niemieckiego jako „mocarstwa moralnego". A zatem sformułowane przez Hackego hasło można interpretować następująco: Niemcy na arenie międzynarodowej powinny kierować się bardziej interesami narodowymi niż kosmopolitycznymi racjami moralnymi.

Ta opinia politologa jest symptomatyczna. Egoistyczna troska o niemieckie interesy narodowe nie stanowi domeny „skrajnej prawicy". Po prostu nacjonalizm niemiecki jest dostosowany do bieżących warunków i dlatego nie przybiera postaci, która odstraszałaby Polaków oraz inne narody.

Owszem, są w Niemczech kręgi „skrajnej prawicy", które szermują szowinistycznymi sloganami, lecz klasa polityczna te środowiska marginalizuje. W dodatku nie pozwala im urosnąć w siłę służba kontrwywiadowcza, którą jest Federalny Urząd Ochrony Konstytucji. Natomiast nacjonalizm niemiecki, który naprawdę się politycznie liczy, to ten ubrany w kostium „europejskości". Oznacza to, że aby troszczyć się o interesy narodowe, nie trzeba rezygnować z funkcji „mocarstwa moralnego". Sprawując ją, można pouczać „Irokezów Europy" (jak pogardliwie Polaków nazywał pozujący na oświeceniowego filozofa XVIII-wieczny król Prus Fryderyk II Wielki) o niezawisłości władzy sądowniczej, „prawach reprodukcyjnych i seksualnych", „globalnym ociepleniu", konieczności przyjmowania uchodźców spoza Starego Kontynentu. A jeśli Polacy pozostają niesforni, to zawsze można na nich wywrzeć finansowy nacisk za pośrednictwem instytucji unijnych. To się zaś jak najbardziej mieści w niemieckiej racji stanu.

Ale nagminnie zdarza się, że dbałość o niemieckie interesy narodowe jest wręcz ostentacyjna. Przykładem może być sytuacja z roku 2004, gdy do Unii wchodziły Polska oraz inne państwa dawnego bloku wschodniego. Ze względu na swoją sytuację gospodarczą otrzymały one wsparcie z unijnych funduszy strukturalnych. Tyle że beneficjentem tej pomocy okazały się też – bądź co bądź bogate – Niemcy. Miała ona zostać przeznaczona dla landów, które stanowiły niegdyś teren NRD. A przecież obszar byłych Niemiec Wschodnich już od roku 1990 – czyli od zjednoczenia obu państw niemieckich – mocno dofinansowywano ze środków zarówno RFN, jak i Unii.

Dziś Polacy chyba powinni być wyczuleni bardziej na forsowanie niemieckich interesów narodowych w kostiumie „europejskości" niż na ekscesy niemieckiej „skrajnej prawicy"

Choć współcześni Niemcy potępiają nazizm, to jednocześnie otaczają czcią takich polityków jak Bismarck, a więc wrogich Polsce. Niemniej różnią się oni od swoich przodków tym, że stanowią społeczeństwo kupców, a nie wojowników – w dodatku społeczeństwo wielokulturowe, co sprawia, że łatwo im odpierać zarzuty o kierowanie się nacjonalizmem. W tych okolicznościach UE jest dla niemieckich polityków od prawa do lewa poręcznym narzędziem forsowania interesów narodowych w kostiumie „europejskości". Dlatego dziś Polacy chyba powinni być bardziej wyczuleni na tę grę pozorów niż na ekscesy niemieckiej „skrajnej prawicy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Z Czesławem Ryszką, publicystą, autorem książki o ks. Blachnickim
rozmawia Paweł Chmielewski

Ksiądz Blachnicki jest męczennikiem

Ksiądz Blachnicki, który przetrwał niemiecki obóz koncentracyjny, celę śmierci i system stalinowski, został zamordowany poprzez podanie mu śmiertelnych substancji toksycznych

FOT. IPN

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Kim był ks. Franciszek Blachnicki, założyciel Ruchu Światło-Życie, w oczach władz PRL?

CZESŁAW RYSZKA: Od 1950 r. był uznawany za jednego z głównych wrogów Polski Ludowej. Dokumenty zgromadzone w IPN świadczą o tym, że za swoją działalność był ustawicznie szykanowany – więziony, nękany rewizjami, przesłuchaniami, karany grzywnami, na porządku dziennym była też kontrola jego kontaktów i korespondencji. Stale oplatała go sieć szpicli śledzących każdy jego krok. Zachowały się dokumenty świadczące także o różnych prowokacjach, szczuciu ludzi przeciwko niemu, szkalowaniu go w oczach biskupów oraz opinii publicznej.

Dlaczego?

Ksiądz Blachnicki przeorał duchowo i mentalnie pokolenia polskiej młodzieży. Utworzony przez niego ruch oazowy kształtował przestrzeń wolności, życia w prawdzie i bez lęku, dawał siłę moralną i duchową. Przez oazy przewinęło się w PRL ponad milion dziewcząt i chłopców. Angażowali się później w aktualne problemy społeczne, występowali przeciw politycznemu uciskowi, który od 1945 r. panował w Polsce. Jednym słowem, dzieło ks. Blachnickiego odmieniło polski Kościół, a także państwo, ponieważ liczni oazowicze zaangażowali się w Solidarność, niektórzy z nich po roku 1990 zostali ministrami, posłami i senatorami.

Jego życie to także historia osobistego nawrócenia. W młodości nie był przecież szczególnie wierzący.

To prawda. Wychował się w duchu chrześcijańskiego humanizmu. Nie był nigdy ateistą, ale właśnie humanistą. Bóg pokazał mu, jak niewiele te poglądy miały wspólnego z rzeczywistością.

W jaki sposób?

W niemieckim więzieniu. W momencie wybuchu wojny jako młody podchorąży wziął czynny udział w kampanii wrześniowej, a po jej upadku przeszedł do pracy konspiracyjnej. W marcu 1940 r. został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Przebywał w obozie 14 miesięcy, z tego dziewięć w karnej kompanii, w bloku 13, ponadto miesiąc w bunkrze, w którym zginął później o. Maksymilian Kolbe. W 1941 r. wywieziony do Zabrza, później do Katowic, został skazany na śmierć przez ścięcie. To właśnie czekając na wyrok, otrzymał cud zrozumienia najgłębszego wymiaru wiary religijnej.

Jak to możliwe, że ocalał?

Moim zdaniem doszło do tego w cudowny sposób. Według prawa niemieckiego, jeśli kat nie wykonał kary przez 99 dni, to skazany miał prawo do zmiany wyroku. W katowickim więzieniu kat był regularnie co kilka tygodni i wykonywał wiele wyroków. Jednak akta ks. Blachnickiego ktoś stale odsuwał. Po czterech miesiącach oczekiwania na śmierć zmieniono mu wyrok na karę 10 lat więzienia. Cudowne ocalenie dopełniło jego wiarę. Rozumiał ją jako „wszczepienie" nowego, całkiem innego, nadprzyrodzonego życia.

Właśnie pod wpływem tych doświadczeń postanowił zostać księdzem?

Tak, chciał oddać się Chrystusowi na służbę jako kapłan. Okazało się jednak, że pomimo tylu przeżytych dramatów jego kapłaństwo nie będzie wcale usłane różami.

To znaczy?

Po pierwszych latach kapłaństwa, które przypadły na czas po roku 1950, nie akceptując wygnania z Katowic prawowitych biskupów, nie podporządkował się narzuconym przez komunistów wikariuszom kapitulnym. Nie zgodził się na przeprowadzenie synodu w diecezji. Za to został wygnany. Opatrzność nie pozostawiła go samemu sobie. Trafił do Niepokalanowa.

Czyli z o. Maksymilianem Kolbem związał go nie tylko pobyt w nazistowskim bunkrze.

Zdecydowanie. W Niepokalanowie odkrył nauczanie o. Maksymiliana, a siebie samego zawierzył Maryi. To Jej darem była Krucjata Trzeźwości po roku 1956, potem nazwana Krucjatą Wstrzemięźliwości: 100 tys. Polaków ślubowało trzeźwość, krucjata działała w tysiącu parafiach w każdej diecezji. Wkrótce znowu przyszedł krach: komuniści zlikwidowali krucjatę, a jej twórca spędził kilka miesięcy w areszcie rzekomo za nielegalny druk ulotek oraz fałszywe informowanie Zachodu o prześladowaniu Kościoła. Po uwolnieniu znowu przeżył swego rodzaju zawieszenie w próżni, bo miejscowy biskup widział w jego działalności same

eprasa.pl 7bcb357858

kłopoty dla władzy kościelnej. Opuścił diecezję, aby poświęcić się nauce.

Czyli założenia ruchu oazowego bynajmniej nie planował?

To przyszło inaczej. Jako niemłody już, ponad 40-letni kapłan podjął studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Zafascynował się soborową odnową liturgiczną. Zaowocowało to powstaniem ruchu oazowego nazwanego później Ruchem Światło-Życie. Najpierw Oazy Dzieci Bożych w latach 50., potem młodzieżowe Oazy Niepokalanej i Oazy Nowego Życia w latach 60., a wreszcie Oazy Żywego Kościoła obejmujące przekrojem wszystkich ludzi. One stworzyły rzeczywisty ruch odnowy, który dosłownie wstrząsnął polskim Kościołem. Entuzjazm liturgiczny i pastoralny ks. Blachnickiego ogarnął wielu teologów, kapłanów i biskupów. Byłem tego świadkiem, bo jako student KUL mieszkałem w domu ks. Blachnickiego, wakacje spędzałem, pomagając w oazach, jakiś czas byłem nawet kierowcą o. Franciszka, przede wszystkim jednak otrzymałem formację duchową, której nigdzie indziej bym nie dostał.

Ostatnie lata życia spędził jednak poza Polską. Dlaczego?

Wypadki grudnia 1981 r. zastały ks. Blachnickiego w Rzymie. Nie mogąc wrócić do kraju, szukał nowych rozwiązań dla Ruchu Światło-Życie. Znalazł się w Carlsbergu w Niemczech, gdzie zorganizował zagraniczny ośrodek Ruchu Światło-Życie. To był dla niego trudny czas. Pozwoli pan, że zacytuję słowa z dziennika duchowego, które zapisał kilka miesięcy przed śmiercią: „Nacierpiałem się wiele przy tym, jak nigdy dotąd w życiu. Świadomie składam ofiarę. Pan dał mi łaskę cierpliwości. Miałem taką »umowę« z Niepokalaną: przyjmij moje życie w ofierze, aby tu powstało Twoje sanktuarium, miejsce, gdzie ludzie będą znajdowali wolność u Ciebie".

Komuniści interesowali się nadal jego działalnością?

Tak, w Carlsbergu działalność ks. Blachnickiego pilnie obserwowały tajne służby PRL. Przypomnę, że we wrześniu 1982 r. Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Warszawie oskarżyła go o spiskowanie przeciwko PRL. Wysłano list gończy oraz otoczono go jeszcze ściślejszym wianuszkiem agentów. W efekcie ten proroczy działacz i komentator polityczny, zapowiadający rychły upadek komunizmu, niezłomny wobec niezliczonych prób zniszczenia go fizycznie i duchowo, pełen pomysłów i sił, został 27 lutego 1987 r. zamordowany, otruty.

Dziś nie ma już wątpliwości co do faktu zabójstwa?

Najmniejszych. Ksiądz Blachnicki, który przetrwał niemiecki obóz koncentracyjny, celę śmierci, przetrwał system stalinowski, został zamordowany poprzez podanie mu śmiertelnych substancji toksycznych. To są ustalenia dokonane w wyniku czynności przeprowadzanych przez IPN od 2020 r. w Polsce, Austrii, Niemczech i na Węgrzech. Materiał dowodowy w dużym zakresie znajdował się poza granicami Polski, a wyjaśnienie wielu zagadnień wymagało wiedzy specjalistów z różnych dziedzin.

Za morderstwo nikt nie poniósł jednak odpowiedzialności. Dlaczego?

Bo wciąż do udowodnienia pozostaje sprawstwo. Obecnie prowadzone jest przez IPN drugie śledztwo, w którym bada się, kto dokonał zbrodni. Czy zrobili to małżonkowie Jolanta vel Lange i Andrzej Gontarczykowie o pseudonimach Panna i Yon, współpracująca z ks. Blachnickim od 1984 r. para agentów komunistycznego wywiadu cywilnego? A może inni agenci PRL lub Stasi?

Brak jakiejkolwiek kary można chyba uznać za kolejną poważną kompromitację systemu III Rzeczypospolitej?

Prowadzone od 2020 r. drugie śledztwo dotyka nie tylko kwestii wykonawców, lecz także zleceniodawców. To jest akt oskarżenia przeciwko transformacji państwa polskiego, którą zaordynował gen. Czesław Kiszczak. Dotyka transformacji służb specjalnych. Wielu funkcjonariuszy SB, którzy mieli pośredni bądź bezpośredni udział w sprawie operacji przeciw ks. Blachnickiemu, suchą nogą przeszło do nowych formacji w służbach specjalnych. Trzeba jednak przypomnieć, że niezłomny kapłan doczekał się też docenienia ze strony państwa polskiego. Świadomy zasług i wielkości ks. Franciszka Blachnickiego prezydent Andrzej Duda odznaczył go w 2023 r. Orderem Orła Białego.

CZESŁAW RYSZKA „TAJEMNICA ŻYCIA I ŚMIERCI KS. FRANCISZKA BLACHNICKIEGO" ESPRIT 2025

Czy liczy pan na beatyfikację ks. Blachnickiego?

Oczywiście. Gdyby nie wyjechał na Zachód przed stanem wojennym, niechybnie podzieliłby los ks. Jerzego Popiełuszki. Może wówczas jego proces beatyfikacyjny, który rozpoczął się publiczną sesją 9 grudnia 1995 r. w katedrze katowickiej, miałby inny przebieg. Skoro zginął za obronę wolności Polski i Kościoła, to w Polsce jest męczennikiem. Podkreślił to abp Damian Zimoń, ówczesny metropolita katowicki, który w liście pasterskim z okazji rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego nazwał ks. Franciszka Blachnickiego, za słowami Jana Pawła II, „gorliwym apostołem nawrócenia i wewnętrznej odnowy, dobrze rozumiejącym chwilę obecną".

Wspominał pan wcześniej o zaangażowaniu wielu oazowiczów w Solidarność, a później w regularną politykę. To przypadek czy raczej realizacja jednego z celów, które przyświecały ks. Blachnickiemu?

Ksiądz Blachnicki chciał, żebyśmy jako świeccy wierzący podejmowali działalność społeczną czy polityczną. Będąc wiele lat w parlamencie, poznałem dziesiątki posłów i senatorów, którzy albo nadal są aktywnymi członkami Ruchu Światło-Życie, albo przeszli przez ten ruch lub przez Krucjatę Wyzwolenia Człowieka. Formacja Ruchu Światło-Życie, jeśli jej się trzymamy, przynosi naprawdę piękne efekty w życiu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Czesław Ryszka – wieloletni parlamentarzysta w Sejmie i Senacie, redaktor w tygodnikach „Gość Niedzielny" oraz „Niedziela", publicysta miesięcznika WPIS, pisarz katolicki. Autor wydanej nakładem Esprit książki „Tajemnica życia i śmierci ks. Franciszka Blachnickiego".

eprasa.pl 7bcb357858

Długa wojna porucznika Onody

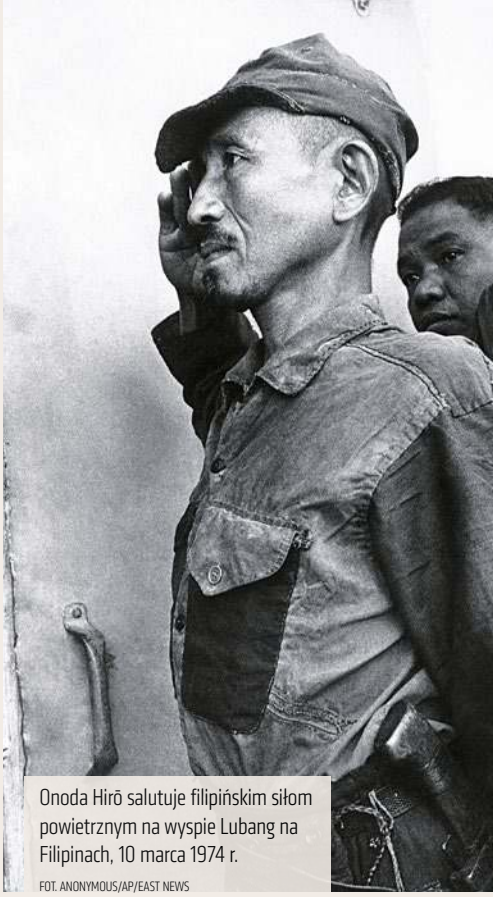

Onoda Hirō salutuje filipińskim siłom powietrznym na wyspie Lubang na Filipinach, 10 marca 1974 r.

FOT. ANONYMOUS/AP/EAST NEWS

Łukasz Czarnecki

Historia japońskiego porucznika – Onody Hirō – ma posmak kompletnego absurdu. I byłaby nawet śmieszna, gdyby nie pociągnęła za sobą ofiar śmiertelnych

Oficer armii cesarza Hirohito, zaszywszy się wiosną roku 1945 w górskiej dżungli filipińskiej wyspy Lubang, spędził tam… kolejne 29 lat, prowadząc niekończącą się partyzantkę w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi, która toczyła się wyłącznie w jego wyobraźni. Historia porucznika Onody jest tak niezwykła, że dla człowieka Zachodu wręcz niezrozumiała. Choć znany niemiecki reżyser Werner Herzog poświęcił jej powieść „Zmierzchanie świata". Tymczasem Japończycy uznali Onodę za wzór cnót, bo do końca pozostawał wierny rozkazom i gdy weteran powrócił w 1974 r. do ojczyzny, jedno ze stronnictw politycznych zaproponowało mu nawet start w wyborach parlamentarnych.

OSTATNI OFICER

Onoda Hirō, świeżo upieczony absolwent szkoły wywiadu w Nakano, zszedł na plażę Lubangu 1 stycznia 1945 r. Młodziutkiemu porucznikowi dowództwo nakazało zniszczenie lokalnego lotniska, tak aby nie mogło zostać wykorzystane przez Amerykanów po zajęciu przez nich wyspy. Wypełniwszy tę misję, miał sformować na bazie lokalnego garnizonu guerillę i na jej czele nękać nieprzyjaciela z dżungli, czekając na nadejście japońskiej kontrofensywy. Żołnierze odmówili jednak zniszczenia lotniska, a o przeistoczeniu się w partyzantów nie chcieli nawet słyszeć. Planowali polec, jak na samurajów przystało.

Dwa dni później usytuowany w górach wyspy punkt obserwacyjny podniósł alarm. Na horyzoncie pojawiła się ogromna amerykańska flota. Wróg zdążał w kierunku Luzonu, żołnierze z Lubangu chwilowo mieli spokój, ale zdawali sobie sprawę, że wkrótce i na nich przyjdzie pora.

Z końcem lutego spokój na Lubangu się skończył. Najpierw amerykańska flota powietrzna dokonała bombardowania wyspy, a następnie na plaży wylądowała piechota i ruszyła do natarcia. Japońscy fanatycy stawili zacięty opór. Onoda pomógł przygotować ładunki wybuchowe dla 22 chorych żołnierzy spoczywających w szpitalu polowym. Kiedy kilka dni później wrócił w to miejsce, zamiast lazaretu znajdował się tu wielki krater – gdy tylko żołnierze USA stanęli na progu namiotu, chorzy wysadzili się w powietrze.

Po trzech miesiącach na Lubangu przy życiu pozostało już tylko 36 Japończyków, z Onodą jako jedynym oficerem. Porucznik nakazał żołnierzom podzielić się na małe kilkuosobowe grupki, zaszyć się w dżungli i stamtąd nękać wroga. Sam, dobrawszy sobie trzech towarzyszy w osobach kaprala Shimady oraz szeregowców Kozuki i Akatsu, przepadł w górskich lasach.

LEŚNI CHŁOPCY

U progu swej partyzanckiej odysei Onoda stanął wobec problemu niemożności realizacji rozkazów, z którymi przybył na Filipiny. Dowództwo kazało mu prowadzić wojnę podjazdową, jednakże siły, którymi dysponował porucznik, były zbyt małe, by poważyć się na jakąś poważniejszą akcję. Hirō zdecydował się dokonać na własną rękę modyfikacji poruczeń przełożonych – skoro nie był w stanie zagrozić nieprzyjacielowi, to mógł dokonać dokładnego rekonesansu terenu, by dzięki jego znajomości dopomóc cesarskiej armii w lądowaniu na plażach Lubangu, w chwili gdy nadejdzie japońska kontrofensywa. W to zaś, że prędzej czy później ona nastąpi, Onoda nie wątpił ani przez chwilę, nawet mimo tego, że oczekiwać miał na nią… kolejne 29 lat.

Czterech partyzantów wędrowało lasami, schodząc z gór do obozowisk tubylców, gdy ci byli zajęci pracą na polach ryżowych. Przetrząsali prowizoryczne chaty, kradli to, co mogło okazać się przydatne, po czym znikali w dżungli

eprasa.pl 7bcb357858

jak duchy. Po trzech latach Akatsu nie wytrzymał psychicznie i odłączył się od towarzyszy. Wyszedł z lasu i oddał się w ręce filipińskich żołnierzy. Onoda i jego oddział znaleźli później skreśloną jego ręką notatkę, w której informował ich, że wojna się skończyła, a Filipińczycy dobrze go potraktowali. Trzech nieustraszonych leśnych chłopców uznało, że podstępni i okrutni Amerykanie pojmali ich kolegę, po czym torturami zmusili go do napisania tych słów.

Kolejną osobą, która się wykruszyła, był Shimada. Gdy w 1954 r. wraz ze swym dowódcą suszyli owoce, porucznik zauważył, że ktoś przekrada się przez gąszcz. Złapawszy karabin, wystrzelił w krzaki, chcąc zabić intruza, jednak chybił. Nieznajomy miał o wiele lepszego cela, bo sekundę później padł strzał i Shimada padł martwy na ziemię z dziurą między brwiami. Onoda rzucił się do ucieczki i dzięki temu ocalił życie.

Po śmierci kaprala partyzanckie komando składało się już tylko z głównego bohatera naszej opowieści i szeregowca Kozuki. Obaj mężczyźni dalej ukrywali się w dżungli, przenosząc się nieustannie z miejsca na miejsce. Koncentrowali się na tym, by przeżyć i doczekać nadejścia upragnionej kontrofensywy. Nieustannie im się zdawało, że lądowanie japońskich sił na Lubangu i wyparcie z nich Amerykanów (których notabene na wyspach już dawno nie było) jest tuż-tuż, byleby jeszcze chwilę wytrzymać. I tak mijał rok za rokiem, a z upływem czasu leśni chłopcy stawali się coraz lepsi w sztuce przetrwania.

Dżungla Filipin stanowiła niezwykle trudne środowisko. Nawet w najchłodniejszej porze roku było tu gorąco i parno, w porze deszczowej zaś nieustanne ulewy ograniczały widoczność do kilku metrów, uniemożliwiając partyzantom przemieszczanie się. W pierwszych latach guerilli mieli jeszcze namioty, lecz te z czasem zgniły. Przymuszeni koniecznością nauczyli się budować wytrzymałe szałasy, które zapewniały im schronienie w tych trudnych miesiącach. Przez resztę roku spali na świeżym powietrzu w pełni ubrani. Od wszechobecnej wilgoci ich ubrania gniły i się rozpadały, sporządzili więc igłę z zaostrzonego kawałka drutu, a nici wytwarzali z włókien roślinnych. Odzież prali od czasu do czasu w górskich rzekach – pewnego dnia zdarzyło się nieszczęście i bystry nurt porwał spodnie szeregowego. Gorzej wyglądała kwestia butów, chodzenie boso po leśnym poszyciu było bowiem kiepskim pomysłem. Kozuka dwukrotnie się o tym przekonał, wbijając sobie cierń w stopę na tyle głęboko, że spuchła mu od tego noga. Dlatego Japończycy zapuszczali się do filipińskich obozowisk i kradli obuwie chłopom; jeśli zaś nie mogli go znaleźć, to zabierali gumowe dętki i wyrabiali z nich sandały.

Aż do roku 1974 nieustannie się zastanawiał, czy dowództwo każe mu kontynuować guerillę czy też przerzuci go na nowy teatr działań wojennych

Onoda i jego podwładny żywili się tym, co dawała im dżungla, oraz łupami zagrabionymi wieśniakom. Ich podstawowe pożywienie stanowiły banany. Gotowali je w mleku kokosowym. Uzupełnienie diety stanowiło suszone mięso, w ciągu roku zabijali z reguły ok. trzech krów, po czym je oprawiali. Do polowania służyły im ich wierne karabiny z czasów wojny. W roku 1945, ruszając w góry, zabrali ze sobą zapasy amunicji, które poukrywali w tajemnych schowkach, zawsze nosząc przy sobie kilkadziesiąt nabojów służących do polowania lub odstraszania tubylców. Niestety, nie zawsze kończyło się na strzelaniu na postrach; w trakcie swej trwającej prawie 30 lat guerilii porucznik i jego towarzysze zabili łącznie 32 filipińskich chłopów.

Tymczasem lata mijały, a japońska inwazja nie nadchodziła. Leśni chłopcy wszędzie widzieli jednak oznaki rychłej kontrofensywy. Gdy usłyszeli pewnego dnia huk bomb zrzucanych przez filipińskie wojsko na pobliskim poligonie, uznali, że to cesarskie lotnictwo bombarduje wrażych Amerykanów. Chcąc ułatwić rodakom lądowanie na Lubangu, w porze suchej, gdy na polach zbierano słomę ryżową, schodzili z gór i palili na ryżowiskach wielkie ogniska, by dać sygnał japońskiej flocie. Po każdym takim błyskawicznym wypadzie znów zapadali w las ścigani gniewnymi okrzykami zaalarmowanych ogniem wieśniaków. 19 października 1972 r. okazali się nie dość szybcy. Szeregowy Kozuka zginął trafiony w pierś strzałem oddanym ze strzelby przez rozwścieczonego chłopa. Onoda został sam.

JAK PARTYZANCI NIE DALI SIĘ OSZUKAĆ...

Trwającą kilkadziesiąt lat beznadziejną guerillę łatwiej byłoby zrozumieć, gdyby nasz bohater i jego oddział byli całkowicie odcięci od informacji ze świata zewnętrznego i nie docierały do nich żadne wieści o zakończeniu wojny na Pacyfiku. Jednakże fakty są takie, że mimo iż Onoda ze swymi ludźmi kryli się w dżungli, to cała dziwaczna historia, której byli bohaterami, nie rozgrywała się w kompletnej głuszy. Choć Japończycy żyli poza cywilizacją, to ta ostatnia znajdowała się nie tak znów daleko od nich, a oni prowadzili swą partyzancką kampanię niejako pod jej bokiem. Co więcej, w przeciągu tych trzech dekad wielokrotnie podejmowane były próby nawiązania z nimi kontaktu, których leśni chłopcy byli świadomi!

Już w październiku roku 1945 nad górami Lubangu zrzucono z samolotu ulotki z napisaną po japońsku informacją o końcu wojny. Onoda i jego ludzie znaleźli niektóre z nich, jednak nie uwierzyli im, biorąc je za sztuczkę wroga. Z końcem tegoż roku na filipińską dżunglę spadł deszcz ulotek zawierających rozkaz japońskiego generała Yamashity Tomoyukiego wzywający partyzantów do złożenia broni. Słynny „Tygrys Malajów" powoływał się na wolę samego cesarza, ale nasz porucznik uznał, że imperator nigdy nie nakazałby kapitulacji, i całą akcję zinterpretował jako prowokację Amerykanów.

Na początku roku 1952 nad dżunglami Lubangu pojawił się samolot, z którego nawoływano leśnych chłopców przez megafon. Załoga ponownie zrzuciła nad dżunglą ulotki, a także listy od rodzin trzech (wówczas) partyzantów z załączonymi fotografiami. Onoda znalazł pismo od brata razem ze zdjęciem najbliższych. Zapoznawszy się z wiadomością, doszedł do wniosku, że została ona wybornie sfałszowana przez amerykański wywiad. Nie potrafił tylko dociec, skąd podstępny wróg zdobył rodzinne fotografie.

W marcu wzdłuż granicy dżungli krążył z megafonem japoński dziennikarz,

eprasa.pl 7bcb357858

wzywając porucznika do wyjścia z lasu i udzielenia mu wywiadu. Chcąc go przekonać, że to nie podstęp, zaintonował nawet japońską pieśń wojenną. Onoda ze swymi ludźmi obserwował rodaka z kryjówki i uznał go za zdrajcę na usługach Amerykanów. Partyzanci zapadli głębiej w las, a na otwarty teren wyszli dopiero po odejściu reportera. W miejscu, z którego ich nawoływał, znaleźli japońską gazetę. Przeczytali ją uważnie. Ich uwagę przykuł artykuł o japońskich naciskach na filipiński rząd, by ten zaprzestał organizacji karnych ekspedycji przeciw wciąż jeszcze ukrywającym się w górach niedobitkom cesarskiej armii. Tekst ten utwierdził Onodę w jego urojeniach. Skoro Filipińczycy prowadzili „karne misje", to wojna wciąż trwała! Podejrzenia porucznika wzbudził też program radiowy zawarty w piśmie, było w nim zbyt dużo rozrywki. To ostatnie posłużyło za dowód, że dziennik został sfałszowany przez wroga.

Potem było jeszcze zabawniej. Porucznik znalazł zrzuconą z samolotu japońską flagę z wypisanymi na niej imionami członków rodziny. Z jakichś powodów jednak niektóre z użytych japońskich znaków nakreślono z błędami. Medytując nad tym problemem, Onoda doszedł do wniosku, że flagę przesłali jego przełożeni, by przekazać mu, że kontrofensywa nadchodzi, a on sam ma przygotować się do ataku na lotnisko. Jednakże wiadomość była – rozumował partyzancki dowódca – zmyłką, sztab wiedział, że flagę przechwycą Amerykanie i dzięki temu przesuną swe wojska na Lubang, podczas gdy prawdziwe uderzenie cesarskiej armii nastąpi gdzie indziej. Przełożeni Onody, nie chcąc, by ich podwładny wpadł w pułapkę, do której zastawienia posłuży nieprzyjacielowi zdobyczna chorągiew, celowo zapisali imiona jego krewnych z błędami, aby go ostrzec. Proste i logiczne, czyż nie?

Porucznik niezachwianie trwał w swoim świecie, w którym wojna na Pacyfiku wciąż się toczyła. Nie przekonywały go kolejne zrzucane z samolotów ulotki, znajdowane gazety, a nawet pojawienie się na Lubangu własnego rodzeństwa. Gdy jeden z jego braci, stojąc na skraju dżungli, nawoływał go przez megafon, Onoda, obserwując mężczyznę z kryjówki, poczuł podziw dla przebiegłości amerykańskiego wywiadu – oto podstępni jankesi znaleźli

Onoda Hirō podczas konferencji prasowej w Manili, 20 maja 1996 r.
FOT. BULLIT MARQUEZ/AP/EAST NEWS

japońskiego jeńca podobnego z postury do brata Hirō i nauczyli go perfekcyjnie naśladować głos tegoż. Skąd nieprzyjaciel miałby wiedzieć, jak brzmi głos jego krewniaka, partyzant nie dociekał.

Z urojeń, w których tkwił samozwańczy wódz guerilli, nie wyleczyło go nawet zdobyte w połowie lat 60. radio! Razem z Kozuką słuchali audycji spragnieni nowin i wkładali wielki wysiłek intelektualny w dopasowanie treści wiadomości do ich wypaczonego obrazu świata. Uwierzyli w olimpiadę w Tokio w 1964 r., superszybkie pociągi i wzrost gospodarczy, ale doszli też do wniosku, że Japonia włada ogromnym imperium sięgającym Syberii, Chiny są japońskim protektoratem, a wojna z Amerykanami wciąż trwa. Co więcej, na koniec stwierdzili, że część wysłuchanych przez niech audycji została spreparowana przez amerykański wywiad celem siania propagandy wśród japońskich emigrantów!

ZŁOŻENIE BRONI

Po śmierci Kozuki Onoda dalej prowadził swoją partyzancką wojenkę. Tymczasem na Lubang raz za razem przybywały ekipy poszukiwawcze z Japonii przetrząsające dżunglę w jego poszukiwaniu. Porucznik zinterpretował tak usilne poszukiwanie jego osoby jako zasłonę dymną maskującą prawdziwy cel przypływających na Lubang grup – rekonesans przed nadchodzącą kontrofensywą. Dlatego unikał rodaków, nie chcąc odbierać im pretekstu do działania.

Absurdalna (i tragiczna) historia porucznika znalazła równie absurdalny koniec. Na liczącego sobie już ponad pięćdziesiątkę partyzanta przypadkiem natknął się w lutym 1974 r. japoński wieczny student – Suzuki Norio, który chcąc „odnaleźć siebie", wyjechał w podróż dookoła świata. Opuszczając ojczyznę, zapowiedział przyjaciołom, że w trakcie wojaży odnajdzie: por. Onodę, yeti i misia pandę. Co do dwóch dalszych pozycji na liście nie wiadomo, czy młodzieniec osiągnął swój cel, ale na wiecznego chłopca z lasu wpadł na plantacji bananów, na której rozłożył się biwakiem. Spędził całą noc, rozmawiając z partyzantem, zrobił mu zdjęcie i obiecał, że wróci z bezpośrednim przełożonym Onody – mjr. Taniguchim. Porucznik zadeklarował bowiem, że dopiero ustny i wydany osobiście rozkaz majora przekona go, że wojna się skończyła (czyż trzeba dodawać, że młodego Suzukę uważał za amerykańskiego szpiega?).

Wieczny student wrócił do Japonii i zgłosił sprawę władzom. Rozpoczęły się szeroko nagłośnione przez media poszukiwania majora. Taniguchiego w końcu znaleziono, wiódł spokojne życie księgarza i nawet przez myśl mu nie przeszło, że będzie musiał kiedyś znów zakładać mundur.

Dwa tygodnie po ich spotkaniu Onoda znalazł przytwierdzoną do drzewa torebkę, w której znajdowały się zdjęcie zrobione mu przez Suzukiego, list od młodzieńca oraz depesza od gen. Yamashity wyznaczająca datę i miejsce spotkania, w trakcie którego mjr Taniguchi miał ustnie przekazać porucznikowi nowe rozkazy. Partyzant ruszył więc w drogę, nocami nie mogąc spać z przejęcia. Nieustannie zastanawiał się, czy dowództwo każe mu kontynuować guerillę czy też przerzuci go na nowy teatr działań wojennych.

9 marca 1974 r. por. Onoda wyszedł z dżungli i wszedł do rozłożonego na jej skraju obozowiska, gdzie byli już Suzuki, Taniguchi, krewni podstarzałego chłopca z lasu i dziennikarze. Major odczytał rozkaz nakazujący w obliczu zakończenia działań wojennych złożyć broń i oddać się do dyspozycji najbliższego przełożonego. Onoda chwilę stał wyprężony jak struna, czekając na dalsze, tym razem prawdziwe rozkazy (bo początkowo uznał to, co mówił Taniguchi, za zmyłkę na potrzeby wrogich szpiegów), ale nie padło już ani słowo więcej. I wtedy dotarła do niego prawda. Porucznik Onoda Hirō wybuchnął płaczem. Jego długa wojna nareszcie się skończyła.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Przełamanie bariery strachu

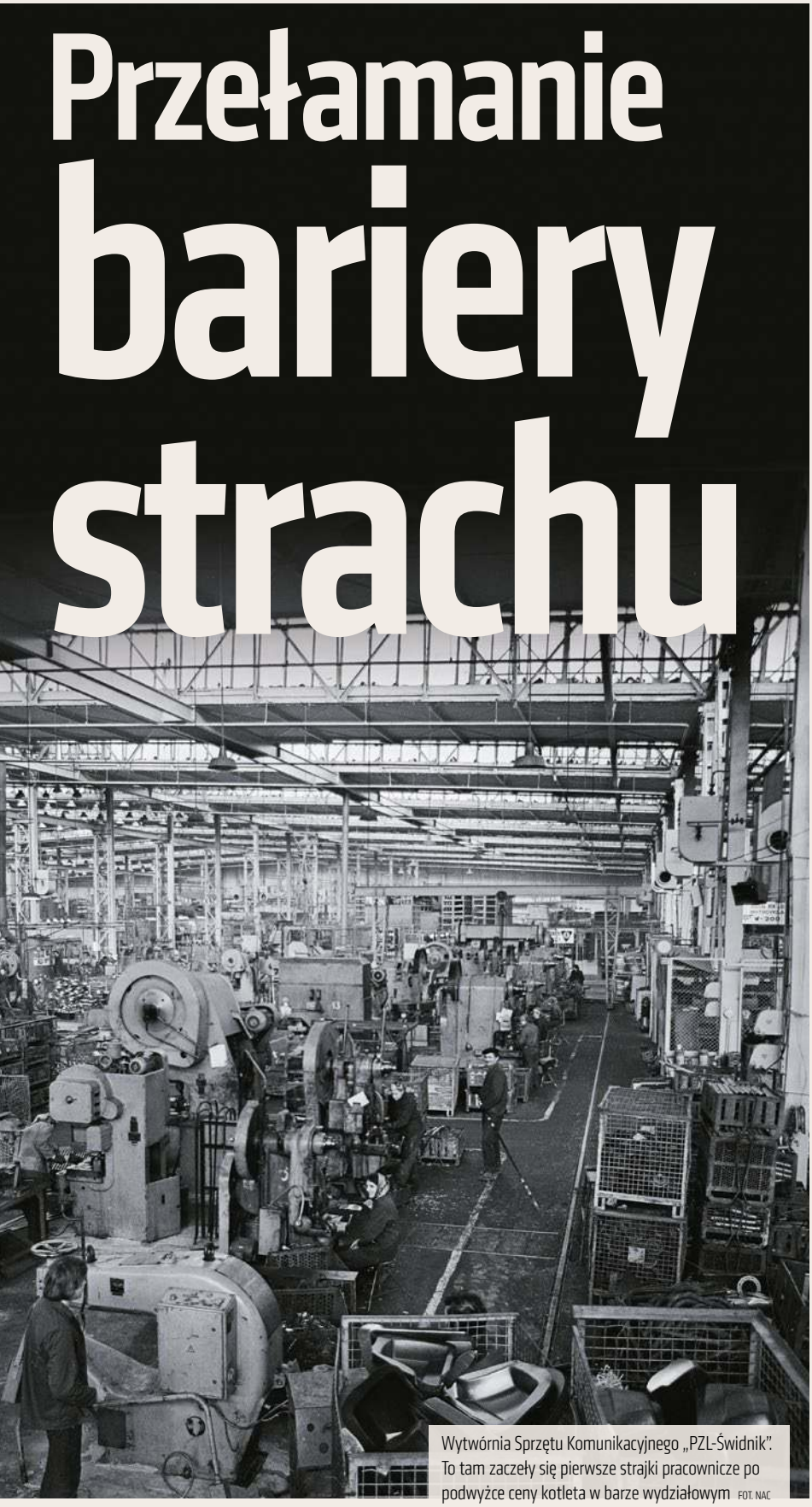

Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik". To tam zaczęły się pierwsze strajki pracownicze po podwyżce ceny kotleta w barze wydziałowym FOT. NAC

Grzegorz Majchrzak

Strajki sprzed 45 lat, z lipca 1980 r., nadal pozostają nieznane, a czasem wręcz kompletnie zapomniane

1 lipca 1980 r. władze PRL ogłosiły podwyżkę cen niektórych artykułów mięsnych i wędlin. Tego samego dnia doszło do – jak to określała PRL-owska propaganda – „przerw w pracy". Powszechnie przyjmuje się, że była to reakcja na tę podwyżkę. To prawda, ale jedynie częściowa. Jak wspominał Marek Biały, wówczas pracownik zakładów Stalchemak w Siedlcach: „Na formowaniu maszynowym podnieśli normy. Wiadomo, ludzie wtedy zastrajkowali, czyli przerwy w pracy wtedy były. W ciągu, na pierwszej zmianie. Druga zmiana rozpoczęła pracę, bo przywrócili normy". To inna, mniej znana przyczyna tych protestów.

Jak stwierdzano nawet w opracowaniu Wydziału Organizacyjnego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej: „W zasadzie w zakładach, w których przestoje wystąpiły w pierwszych dniach lipca [tak z kolei w dokumentach partyjnych określano strajki – przyp. G.M.], podstawową ich przyczyną było wprowadzenie zmiany systemu płac pracowników bezpośrednio produkcyjnych oraz weryfikacja norm". Tym bardziej że niższe w ich wyniku płace nałożyły się na podwyżki cen. Podwyżki te okazały się – o czym warto wspomnieć – szczególnie dolegliwe, gdyż objęły zakładowe bufety. I tak np. w Warszawskiej Fabryce Pomp, gdzie 14 lipca pracę przerwało ok. 650 pracowników pierwszej zmiany, w trakcie rozmów z przedstawicielami władz (m.in. Komitetu Warszawskiego PZPR) wzburzony robotnik „przyniósł kaszankę z bufetu, rzucił na stół prezydialny i powiedział: tym się karmi świat pracy! I to świństwo kosztuje 48 zł/kg, a kosztowało 23 zł". Niespełna tydzień wcześniej – 8 lipca – strajk w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik" rozpoczął się od kotleta mielonego... Jak wspominał jeden z jego uczestników: „O tym, który zaczął ten strajk, mówią, że był wybuchowy,

eprasa.pl 7bcb357858

nerwus i jak mu się krzywda działa, to nie patrzył, tylko wygarniał, co myśli. Tego dnia poszedł kupić kotlet do baru wydziałowego i okazało się, że podrożał z 10,20 na 18,10 złotych. Na dodatek dostał mały kotlet. Wziął, poszedł na halę i powiedział: zobaczcie, to tyle kosztuje. Rzucił kotlet i mówi, że nie będzie robił. Chłopaki! Nie robimy! Jeden, drugi, trzeci, znalazło się kilku. I tak się zaczęło".

WZMOŻONE DYSKUSJE

Wróćmy jednak do pierwszych protestów. Najczęściej w tym kontekście wskazuje się Lubelszczyznę, gdzie miały one największy zasięg, ale nie tam się one zaczęły. W materiałach MSW najczęściej wymieniana jest Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Mielec" gdzie 1 lipca na pierwszej zmianie „nie podjęło pracy" 270 pracowników. Kolejnym zakładem protestującym w tym dniu odnotowanym przy Rakowieckiej były Zakłady Metalurgiczne „Pomet" w Poznaniu, w których z kolei pracy odmówiło 220 osób. Problem w tym, że dane te są niepełne, w efekcie nie znamy pełnej skali lipcowych protestów. Wystarczy tylko wspomnieć, że w tym samym dniu co w Mielcu i Poznaniu stanęły również: wspomniany wcześniej Stelchamak, Zakłady Mechaniczne „Ursus" w Warszawie, Fabryka Obrabiarek Specjalizowanych „Ponar" w Tarnowie, Sanocka Fabryka Autobusów „Autosan", Oddział VII Przedsiębiorstwa „Transbud" w Tarnobrzegu (kierowcy pracujący na budowie Elektrowni Połaniec) czy Zarząd Portu Gdynia. Lipcowa fala strajkowa była jednak zdecydowanie skromniejsza od tej sierpniowej czy również – nieco zapomnianej – wrześniowej. Ogółem – według danych MSW – miało dojść do 177 „przerw w pracy", w których wzięło udział ponad 81 tys. pracowników tych zakładów. Z kolei według danych zebranych przez PZPR było to 210 zakładów i 95 tys. osób. Jak wynika z – przypomnijmy niepełnych – ustaleń Służby Bezpieczeństwa, wziął w nich udział co piąty zatrudniony w protestujących przedsiębiorstwach.

Jaki był początek tych strajków? Jak stwierdzano w jednym z opracowań partyjnych: „Rozpoczynały się one zazwyczaj wzmożonymi dyskusjami w grupach, brygadach, na stanowiskach pracy oraz spontanicznymi zebraniami pracowników niektórych wydziałów, a następnie niejednokrotnie rozprzestrzeniały się na resztę załogi". Z kolei Włodzimierz Gozdek (mistrz do spraw utrzymania ruchu w Żyrardowskich Zakładach Tkanin Technicznych) w rozmowie z Wiesławą Grocholą dla „Tygodnika Solidarność" przywołał sytuację, kiedy dowiedział się od elektryka, że maszyny stoją, i nakazał to sprawdzić. „Ale zaraz się okazało – wspominał – że to nie napięcie, tylko robotnice całkiem świadomie wyłączyły aparaty: chcą rozmawiać z dyrektorem, mają bolączki. Zaczęło się o 8.15 w czasie przerwy śniadaniowej, której zresztą normalnie nikt nie przestrzegał, bo akord popędza; jadło się, co kto miał, w pośpiechu, przy maszynie. Tym razem zażądały przerwy, zebrały się w kącie śniadaniowym, jadły, rozmawiały, a gdy kwadrans minął, powiedziały, że do pracy nie idą. O 9-tej stała już cała fabryka. Wygaszono żarówki, żeby miasto wiedziało". Jak zatem widać, protesty wybuchały spontanicznie. Nie były przez nikogo (np. działaczy opozycji, jak w sierpniu w Stoczni Gdańskiej) organizowane. To oczywiście rzutowało na ich przebieg – zarówno na liczbę zgłaszanych postulatów, jak i przebieg negocjacji prowadzonych z protestującymi. Były one z jednej strony dla władz trudniejsze, gdyż „załogi przerywające pracę z obaw przed represjami nie godziły się na propozycje dyrekcji dotyczące wyboru delegacji na rozmowy z kierownictwem zakładu pracy", a z drugiej – przynosiły gorsze, mniej korzystne – z punktu widzenia strajkujących – efekty. Mimo jednak wspomnianych obaw w kilku przypadkach protestujący wyłonili swoje przedstawicielstwa. Komitety strajkowe powstały w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik" oraz Fabryce „Spomasz" w Bełchatowie, z kolei w Zakładach Mechanicznych „Ursus" w Warszawie funkcjonowała Komisja Robotnicza (notabene jej pierwotną nazwę – Komitet Strajkowy – zmieniono pod naciskiem dyrekcji), a Komitet Robotniczy w Lokomotywowni w Lublinie. Tak na marginesie, wracając do porozumień, to – z wyjątkiem WSK „PZL-Świdnik" – były one zawierane ustnie. Władze dbały o to, aby nie spisywać ich na papierze i tym samym nie zachęcać innych do strajków. To jednak działało jedynie w ograniczonym zakresie, bo informacje o protestach (m.in. dzięki opozycjonistom, którzy – jak np. Wojciech Onyszkiewicz w Lublinie – zbierali informacje o nich, a także pracownikom strajkujących zakładów pracy) trafiały – oczywiście w ograniczonym zakresie – mimo trwającej blokady informacyjnej w kraju do Polaków. Z czasem wręcz upowszechniło się hasło „jak staniesz, to dostaniesz". I tak np. jedną z wielu przyczyn protestów w Żyrardowie, w którym stanęły praktycznie wszystkie największe zakłady pracy, była informacja czy też pogłoska, że pracownicy warszawskiego Ursusa (wśród których byli również licznie dojeżdżający do stolicy żyrardowianie) „wymogli" podwyżki płac o 10 proc., a także, że „aby ją otrzymać w innych zakładach, należy się jej domagać, gdyż koszty utrzymania rosną nieproporcjonalnie w stosunku do zarobków".

> **W lipcu 1980 r. rządzący nie zdecydowali się na otwarte represje wobec strajkujących**

Jakie były żądania strajkujących w lipcu? W MSW podsumowywano, że były przede wszystkim trzy grupy postulatów: podwyżki płac „z uwagi na wzrost kosztów utrzymania", poprawa zaopatrzenia rynku oraz kiosków zakładowych w „podstawowe artykuły żywnościowe", a także „usunięcie różnych niedostatków socjalnych w zakładach pracy oraz niedociągnięć w organizacji pracy". W dokumentach partyjnych ten katalog był nieco szerszy – dochodziły kwestie mieszkaniowe oraz ogólnie rozumiana „sprawiedliwość społeczna" (np. przeciwdziałanie „nadmiernemu bogaceniu się niektórych grup społeczno-zawodowych", domaganie się sprawiedliwego podziału nagród, premii czy mieszkań). Tu warto ponownie powrócić do Warszawskiej Fabryki Pomp, w której strajkujący domagali się 1 tys. zł dla wszystkich zatrudnionych w tym zakładzie „od sprzątaczki po dyrektora, bo żołądki wszyscy mają równe"... Protestujący – obok wspomnianych wcześniej żądań – wysuwali również wiele innych postulatów. Domagali się np. dodatku rodzinnego w takiej samej wysokości, jak w przypadku funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa

eprasa.pl 7bcb357858

(Warszawska Fabryka Pomp, Lubelszczyzna), pełnej informacji ze strony władz w kwestiach społeczno-ekonomicznych (warszawski Warel), zbadania gospodarki materiałowej przez fachowców z Najwyższej Izby Kontroli (ŻZTT) czy wolnych sobót (Lubelszczyzna czy ponownie Żyrardowskie Zakłady Tkanin Technicznych, w tym drugim przypadku – jak zaznaczali strajkujący – niezależne od wykonania planu). Nie pojawiał się co prawda jeszcze postulat utworzenia nowych, niezależnych związków zawodowych, ale upominano się o nowe wybory do działających w tym czasie organizacji związkowych (Lubelszczyzna). Protestujący domagali się również „przestrzegania konstytucyjnej zasady konsultacji ważnych decyzji dot. życia społeczno-gospodarczego w kraju", „przeanalizowania polityki opłacalności eksportu", szczególnie w przypadku artykułów spożywczych (w tym do Związku Sowieckiego). Często również żądali z jednej strony „wyciągnięcia wniosków w stosunku do odpowiedzialnych za występujące nieprawidłowości", zarówno na szczeblu zakładów pracy, jak i zjednoczeń czy resortów, a nawet „odpowiedzialnych za błędne decyzje i sytuację w kraju", a z drugiej niewyciągania konsekwencji wobec uczestników protestów. Tak na marginesie: liczba postulatów w poszczególnych zakładach była bardzo zróżnicowana – od kilku, kilkunastu do nawet czasami kilkuset.

PROTESTY PIERWSZEJ ZMIANY

Geografia lipcowych strajków się zmieniała. I tak np. w drugiej dekadzie lipca był to głównie Lublin i województwo lubelskie, gdzie fala „przerw w pracy" rozpoczęła się na przełomie pierwszej i drugiej dekady, a na przełomie drugiej i trzeciej protestowano głównie w kilkunastu zakładach Ostrowa Wielkopolskiego. Przy czym – co należy podkreślić – nie były to długie protesty. Często obejmowały tylko jedną – zazwyczaj najliczniejszą – pierwszą zmianę. Czasem nawet – jak po latach relacjonował Zbigniew Janas – kończyły się one jeszcze szybciej, nawet po kilkudziesięciu minutach. Wspominał on, że kiedy dowiedział się o proteście na jednym z wydziałów warszawskiego Ursusa, pobiegł tam, jednak zanim dotarł, „przerwa w pracy" dobiegła już końca. Były jednak oczywiście również strajki dłuższe. Według ustaleń funkcjonariuszy SB najdłużej miał trwać protest w WSK „PZL-Mielec" – pięć dni – oraz w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik", Wagonowni i Lokomotywowni w Lublinie oraz Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu w Warszawie – po cztery. O czym była już mowa, największy zasięg miały strajki na Lubelszczyźnie. Były one na tyle duże, że PRL-owskie władze zdecydowały się nawet na wysłanie tam delegacji rządowej. To właśnie w województwie lubelskim pracę przerwało najwięcej zakładów pracy – według danych partyjnych 136, a – jak policzył znakomity badacz Lubelskiego Lipca 1980 r. Marcin Dąbrowski – nawet ponad 150. Oprócz Lubelszczyzny ośrodkami strajkowymi, w których w tym czasie miało być najwięcej strajków, stały się województwa kaliskie (17) oraz warszawskie (11). Przy czym w stołecznych firmach uczestniczyło w nich zdecydowanie więcej robotników niż w innych regionach kraju. Otóż – jak wynika z niepełnych, ale jedynych danych MSW – było to ogółem 75,5 tys. osób, podczas gdy na Lubelszczyźnie, gdzie według Rakowieckiej rzekomo stanęło zaledwie 87 zakładów, gdzie pracowało jedynie" ponad 106 tys. zatrudnionych. Tak na marginesie: największy procentowo odsetek strajkujących odnotowano zupełnie gdzie indziej – w województwie wałbrzyskim, gdzie doszło co prawda tylko do jednego strajku, ale za to podjęła go cała załoga, a także w łomżyńskim (niespełna 53 proc.) oraz kaliskim i piotrkowskim (po 40 proc.). Dla porównania: w lubelskim miało to być „tylko" nieco ponad 32 proc.

Generalnie przebieg lipcowych protestów był spokojny, a w ich trakcie „nie zanotowano poważniejszych faktów naruszeń ładu i porządku, jak również dewastacji sprzętu, maszyn bądź urządzeń". W ocenie Służby Bezpieczeństwa jedynie dwukrotnie (w przypadku WSK „PZL-Świdnik" oraz Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Ostrowie Wielkopolskim) zaistniała „groźba wyjścia załogi na ulice miasta". Miały natomiast miejsce pojedyncze przypadki (m.in. w WSK „PZL-Mielec", ZNTK w Ostrowie Wielkopolskim, Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym w Lublinie czy Zakładach Elektrotechniki Motoryzacyjnej w Dusznikach-Zdroju) „wymuszania odmowy podjęcia pracy" poprzez „groźby słowne" czy też wyłączenie energii elektrycznej i unieruchomienie instalacji oraz zablokowanie bram wyjazdowych czy torów. Dużo jednak ważniejszy okazywał się argument, że „inni strajkowali i otrzymali podwyżki". Tym bardziej że informacje, a zdecydowanie częściej pogłoski na ten temat miały docierać do załóg „często w tendencyjnej i wyolbrzymionej formie". Inna sprawa, że niekiedy przyczyniała się do nich również postawa PRL-owskich władz (głównie kierownictw zakładów pracy), które obiecywały podwyżki tylko pracownikom strajkujących wydziałów, co powodowało, że pracę przerywali ich koledzy, którym takiej obietnicy nie złożono.

PO GROŹBACH – ROZMOWY

Co ciekawe, w lipcu 1980 r. rządzący nie zdecydowali się na otwarte represje wobec strajkujących. Owszem, naciskano na nich, próbowano ich straszyć. I tak np. w warszawskim Ursusie na niektórych protestujących wydziałach „mistrzowie i kierownicy biegali po halach, rozganiali grupujących się robotników, nawoływali do pracy, także imiennie […], tłumaczyli załogom, że robotnicy na Zachodzie mają jeszcze gorzej, i obiecywali podwyżki w nieokreślonej przyszłości »dla tych, którzy na to zasłużą«". Przy czym – jak opisywano na łamach wydawanego przez opozycję „Robotnika" – niektórzy z nich byli szczególnie aktywni: „Mistrz Kraśniewski z Zakładu Podwozi groził swym podwładnym interwencją prokuratora, a mistrz Piećwierz z Zakładu Montażu Silników zwolnieniami dyscyplinarnymi". Kiedy prośby i groźby nie wystarczały, podejmowano rozmowy, w których często oprócz kierownictwa danego zakładu pracy brali udział również przedstawiciele zakładowych i lokalnych (wojewódzkich) struktur PZPR, ministerstw czy zrzeszeń.

Nie ulega wątpliwości, że taki właśnie przebieg lipcowych strajków, kończonych rozmowami, a nie represjami, miał wpływ na przełamanie bariery strachu i przyczynił się tym samym do kolejnej fali protestów w sierpniu 1980 r. Paradoksalnie jednak te lipcowe strajki nadal pozostają nieznane, a czasem wręcz – jak np. w przypadku Żyrardowa – wręcz kompletnie zapomniane…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 7bcb357858

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Co jest w archiwach

Czy mamy stały dopływ nowych źródeł do badania historii Polskiego Państwa Podziemnego i ugrupowań konspiracyjnych, wojskowych i cywilnych? Tak, mamy. Niezależnie od nowych źródeł, dotychczas nieznanych (a są takie znajdowane), w zasobach archiwalnych ogólnodostępnych leżą stosy dokumentów niebadanych lub bardzo nieuważnie czytanych. Nie każdy bowiem, w tym historycy, potrafi je czytać ze zrozumieniem. Mamy zatem „teczki" z opisami ich zawartości. Opisy są merytoryczne i dokładne, ale czasem nie – i nie są to rzadkie przypadki. Ktoś kiedyś źle je zinterpretował, opisał i tak już zostało. Częste to są curiosa. Skąd to się brało? Otóż po wojnie archiwa dotyczące wojny i okupacji były solidnie penetrowane przez UB, pod kątem ewentualnych śledztw przeciwko „wrogom ludu". A ubek, wiadomo, na ogół pochodził z awansu społecznego i nie zawsze potrafił dobrze nawet czytać i pisać. Ich tfu-rczość z tego zakresu została archiwalnie usankcjonowana i ich opisy pozostały. Historyk dociekliwy i znający się na rzeczy poradzi z tym sobie na podstawie cech dokumentów i ich zawartości. Ale ilu takich jest w obecnej dobie?

Doświadczenia nabiera się w miarę zbierania i czytania dokumentów. Jeśli do tego jest szeroka wiedza o epoce i danych wydarzeniach, to można sobie poradzić ze złą klasyfikacją. Ale takich historyków jest coraz mniej. Mamy do tego ideologiczne pomijanie zapisów nieodpowiadających na współczesne polityczne i ideologiczne zapotrzebowanie, a nawet wprost fałszowanie, „bo tak trzeba". Na zjawisko fałszowania historii zwracali uwagę nasi poprzednicy. Na przykład wybitny humanista Miguel de Cervantes proponował, aby fałszerzy historii karać, tak jak fałszerzy pieniędzy – śmiercią! Karano okrutnie, wlewając im roztopiony ołów do gardła. Tak daleko nie idziemy. Ale może czasem fałszerze powinni zjeść publicznie swe niestrawne produkty?

Oto mały przykład, co można znaleźć w dokumentach. Meldunek wywiadu terenowego AK, Okręg Kielce – Radom, czerwiec 1944 r.: „[...] nienawiść SS kieruje się ostatnio wyłącznie przeciwko »nacjonalistom«. Rozwiązano w Gestapo specjalny referat antykomunistyczny. Przypuszczać należy, że akcja będzie skierowana przeciwko organizacjom narodowym". Kielecczyzna to teren szczególnego działania Narodowych Sił Zbrojnych, w tym późniejszej Brygady Świętokrzyskiej. Walka polityczna i ideologiczna była wówczas wyjątkowo brutalna, stosowano pomówienia i ciężkie oskarżenia wobec NSZ, w tym o jawną (!) zdradę i kolaborację, chcąc je przymusić do scalenia z AK. To byłoby rozdwojenie jaźni, scalać „zdrajców"? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nieufność po polsku

O losach pierwszej masowej organizacji podziemnej (Służby Zwycięstwu Polski) zadecydowała niechęć Naczelnego Wodza, Władysława Sikorskiego, do jej dowódcy, gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza (ps. Torwid). Sikorski uważał go za przedstawiciela znienawidzonej sanacji, a do tego był człowiekiem pamiętliwym i małostkowym. Poza tym ulegał wpływom grupy roszczeniowych frustratów zajmujących się głównie załatwianiem porachunków osobistych ze swoimi przeciwnikami. Większość z nich została odsunięta od stanowisk i urzędów po maju 1926 r. i teraz dyszała żądzą odwetu na znienawidzonych sanatorach.

O losach SZP zadecydowało zamiłowanie Tokarzewskiego do porządku i legalności. W październiku 1939 r. zredagował i wysłał pierwszy meldunek do Naczelnego Wodza. Nie mając informacji o zmianie na tym stanowisku, zaadresował go do Śmigłego-Rydza. Postąpił jak najbardziej słusznie – marszałek pomimo internowania w Rumunii wciąż był najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych. Zmiana nastąpiła dopiero miesiąc później, Sikorski objął to stanowisko 7 listopada 1939 r.

Śmigły też zachował się logicznie, gdyż raport odesłał Sikorskiemu. Wszystko zatem odbyło się zgodnie z procedurami, ale oznaczało poważne kłopoty dla „Torwida", gdyż nowy Naczelny Wódz postanowił go usunąć ze stanowiska.

Sprawa nie była jednak prosta, nie jest bowiem łatwo odwołać dowódcę konspiracji działającej o tysiące kilometrów od siedziby rządu. Zdecydowano się zatem na wybieg, by pod pozorem reorganizacji odsunąć Tokarzewskiego. Przy okazji zaplanowano skłócenie ze sobą „Torwida" i jego zastępcy płk. Stefana Roweckiego (ps. Rakoń – później Grot), oferując temu drugiemu awans funkcyjny.

Sikorski działał szybko, sześć dni po nominacji na Naczelnego Wodza powołano Związek Walki Zbrojnej, który miał zastąpić SZP. Na jego czele stanął gen. Kazimierz Sosnkowski mający z terenu Francji (!!!) dowodzić konspiracją. Kraj podzielono na sześć obszarów, wyznaczając ich dowódców. Najważniejszym okręgiem, warszawskim miał dowodzić Rowecki. Dla Tokarzewskiego przeznaczono Lwów. Był to dla niego wyrok śmierci, gdyż w latach 30. był tam dowódcą Okręgu Korpusu i jego twarz „znał każdy ulicznik". Jednak dla Sikorskiego i Sosnkowskiego nie stanowiło to problemu, gdyż podwładni mieli wykonywać rozkazy, a nie zajmować się osobistym bezpieczeństwem. W efekcie Torwid został aresztowany przez Sowietów, a dowodzenie ZWZ przez Sosnkowskiego okazało się fikcją. W tej sytuacji 30 czerwca 1940 r. Roweckiego mianowano komendantem głównym ZWZ i dowódcą Sił Zbrojnych w Kraju. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Sprawa toruńska i presja na RP

JACEK KOMUDA

Zawsze, kiedy jesteśmy na dziedzińcu toruńskiego ratusza, warto przypomnieć sobie dramatyczne wydarzenia, które rozegrały się tutaj 7 grudnia 1724 r., kiedy o świcie ścięto burmistrza Gotfryda Rösnera, a kilka godzin później Szymona Mohaupta, Krzysztofa Hertla, Beckera, Jerzego Wunscha i kilku innych mieszczan. Było to krwawe zwieńczenie tumultu religijnego, który rozegrał się 16 lipca tego roku, jednak prawdziwa awantura rozpętała się dopiero po egzekucji.

Zamieszki rozpoczęły się, kiedy z kościoła św. Jakuba leżącego przy Rynku Nowomiejskim wyruszyła uroczysta procesja, której przyglądali się protestanci. Jeden z uczestników – Stanisław Lisiecki, uczeń kolegium jezuickiego – zażądał od nich zdjęcia czapek i przyklęknięcia przed Najświętszym Sakramentem. Skończyło się to bójką, najpierw przy procesji, a po południu przed kościołem. W wyniku awantury wspomniany uczeń osadzony został w areszcie na polecenie burmistrza Rösnera. Następnego dnia studenci zażądali uwolnienia Lisieckiego, a kiedy to nie nastąpiło, porwali protestanta, Jana Nagórnego. Wieczorem 17 lipca rozwścieczony tłum protestantów zdemolował i splądrował kolegium jezuickie, którego budynek znajduje się na rogu ulic św. Jana i Łaziennej, koło katedry św. Jana Chrzciciela.

RYS. MART

Wypadki toruńskie rozeszły się szerokim echem po Rzeczypospolitej – pod naciskiem stronnictwa Lubomirskich i szlachty kujawskiej rozpętana została nagonka przeciwko protestanckim władzom

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Torunia za dopuszczenie do takich ekscesów. Ostatecznie sprawą zajął się sąd asesorski w Warszawie, a potem specjalna komisja. Wyroki były surowe – głowy mieli dać obaj burmistrzowie miasta i kilku uczestników zajść. Ostatecznie spośród patrycjatu kat podgolił tylko Gotfryda Rösnera; drugi burmistrz – Jakub Henryk Zerneke – uzyskał ułaskawienie i przeniósł się do Gdańska.

Wyroki wywołały bodaj pierwszy raz w historii Rzeczypospolitej otwartą wrogość i brutalne próby interwencji ze strony państw protestanckich. Przypominało to wiele dzisiejszych interwencji – głównie USA, Związku Republik Europejskich i Izraela – np. w sprawie ustawy o IPN. Atak wyszedł ze strony państw protestanckich, które najwyraźniej postanowiły „ukarać" Augusta II Mocnego za konwersję na katolicyzm, dzięki której mógł koronować się na króla Polski. „Króla nieustannie atakowali stali i nadzwyczajni posłowie państw protestanckich akredytowani przy saskim dworze. Oddzielne protesty składano na ręce prymasa Potockiego, któremu król radził, aby odpowiadał, że wyrok został wydany i wykonany w imieniu Rzeczypospolitej i tylko ona może na sejmie wypowiedzieć się w tej sprawie" – pisał o tym Jacek Staszewski. Żądano najpierw zawieszenia sądu, a potem – kiedy zapadł wyrok – złagodzenia sentencji. Po egzekucji posłowie Prus zapowiedzieli zbrojną interwencję, a do gróźb przyłączyły się Anglia, Dania, Szwecja, na koniec zaś Piotr I, który zapowiedział niedwuznacznie, że przyłączy się do ataku na Rzeczpospolitą. Nad krajem zawisła groźba zwołania prawdziwej krucjaty państw protestanckich i Rosji.

Król August II wytrzymał godnie te naciski, zasłaniając się prawami i przywilejami Rzeczypospolitej, oświadczając, że wyrok jest suwerenną decyzją narodu, a zmienić go może tylko sejm, któremu on sam nic nie jest w stanie narzucić. W lutym 1725 r. zdechł car Piotr I i fala ataków zaczęła opadać. Zdarzenia w Toruniu zostały jednak wykorzystane jako przykład polskiej nietolerancji i nawet dziś, czytając stare podręczniki szkolne, można mieć wrażenie, że Rzeczpospolita pozostała ostatnim, zapóźnionym i nietolerancyjnym ciemnogrodem, podczas gdy w protestujących krajach innowiercy cieszyli się błogim blaskiem wolności. Nic bardziej mylnego. Owszem, w Europie nie toczono już wojen religijnych, gdyż po prostu wszystkie państwa ustaliły dokładnie, jak przebiegają podziały religijne. Anglia, która zaciekle atakowała Augusta i Rzeczpospolitą, była sfanatyzowanym państwem protestanckim, w którym według Deklaracji praw z 1688 r. katolicy byli obywatelami drugiej kategorii, od 1699 r. zabroniono im wykonywania wolnych zawodów, a Irlandczyków sprzedawano do kolonii jak niewolników. W Prusach nie mogło się zdarzyć, że katolik zostałby burmistrzem miasta, jak Rösner w Toruniu, w katolickiej przecież oficjalnie Rzeczypospolitej. Można było się spodziewać, że wydarzenia takie jak zniszczenie protestanckiego kolegium nie skończyłyby się egzekucją kilku wichrzycieli, ale krwawą rzezią nielicznych katolików. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

W co gra „Baćka"

Maciej Pieczyński

Po pięciu latach na wolność wyszedł dawny lider, a obecnie mąż liderki białoruskiej opozycji. Wbrew pozorom Łukaszenka może sporo zyskać, okazując łaskę swojemu śmiertelnemu politycznemu wrogowi

O realiach życia za kratami Siarhiej Cichanouski otwarcie opowiadał podczas konferencji prasowej.

– Jestem prawosławny, a oni przez pięć lat nie dali mi podejść do spowiedzi. Nie miałem prawa kupić nawet szczotki do zębów, mydła. Nawet wkładu do długopisu, prostego wkładu! – mówił opozycjonista. Zapytany o pierwsze po latach spotkanie z dziećmi się rozpłakał. Tak bardzo się zmienił, że w pierwszej chwili nie rozpoznała go własna córka. Później, w wywiadzie do Associated Press, zdradził więcej szczegółów swojego pobytu w więzieniu. Strażnicy więzienni wygrażali mu: „Nigdy stąd nie wyjdziesz", „Umrzesz tutaj". Odmawiali mu pomocy medycznej i morzyli głodem. Twierdzi, że dostawał dwie łyżki kaszy dziennie. Był przetrzymywany w całkowitej izolacji. Jak sam przyznaje, prawie zapomniał, jak się mówi.

22 czerwca Cichanouskiego i 13 innych więźniów politycznych, zakutych w kajdanki, w workach na głowach, funkcjonariusze służb Łukaszenki załadowali do autobusu i wywieźli w nieznanym im kierunku. Jak się okazało, na Litwę. Czyli na wolność. Przypomnijmy, że Siarhiej Cichanouski był jednym z najgroźniejszych przeciwników politycznych Łukaszenki. Zanim wszedł do polityki, był przedsiębiorcą. Nagrywał reklamy i teledyski. W 2019 r. założył na YouTube kanał „Strana dla żyzni" [ros. Kraj dla życia], w którym ostro krytykował działania białoruskich władz. Był zarazem blogerem i aktywistą politycznym. Organizował pikiety dla niezależnych kandydatów do parlamentu, przeprowadzał wywiady z opozycjonistami, relacjonował protesty, potępiał samowolę urzędników. Z powodu swojej działalności był wielokrotnie zatrzymywany przez funkcjonariuszy OMON. Co ciekawe, Cichanouski jest człowiekiem głęboko wierzącym. Wiele razy pielgrzymował do prawosławnych miejsc świętych na Bia-

eprasa.pl 7bcb357858

Siarhiej i Swiatłana Cichanouscy podczas konferencji prasowej w Wilnie, 22 czerwca 2025 r. FOT. XVALDA KALNINA/EPA/PAP

łorusi i w Rosji. Aktywnie zajmował się działalnością charytatywną, finansował odbudowę świątyń, pomagał w budowie krypty św. Jana Kormiańskiego.

SPOŁECZNY BUNT

W 2020 r. postanowił rzucić wyzwanie Alaksandrowi Łukaszence. Ogłosił chęć startu w wyborach prezydenckich, ale nie został zarejestrowany, bo akurat siedział w areszcie po udziale w kolejnej akcji protestacyjnej i nie mógł własnoręcznie podpisać niezbędnego oświadczenia. Ostatecznie godzinę przed upływem terminu swoją kandydaturę zgłosiła jego żona, wcześniej nikomu nieznana nauczycielka angielskiego. Siarhiej zdążył jeszcze wyjść zza krat i wesprzeć Swiatłanę jako szef jej sztabu. Pod koniec maja trafił za kraty już na dobre, m.in. za organizowanie masowych zamieszek czy rozpowszechnianie materiałów podżegających do nienawiści wobec przedstawicieli władz i organów ścigania został skazany na 18 lat kolonii karnej.

Lekceważona przez Łukaszenkę Swiatłana Cichanouska nieoczekiwanie okazała się dla niego godnym rywalem (choć bardziej jako symbol sprzeciwu niż sprawny polityk). Jednak wielotygodniowych masowych protestów przeciwko fałszerstwom wyborczym nie byłoby, gdyby wcześniej gruntu pod społeczny bunt nie przygotował Cichanouski. Nieoficjalnym hymnem tej nieudanej „biało-czerwono-białej rewolucji" była rosyjskojęzyczna pieśń „Stieny ruchnut" [ros. „Mury runą"], nawiązująca zarówno do katalońskiej pieśni „L'estaca" Lluísa Llacha, jak i do jej polskiej wersji, znanej z repertuaru Jacka Kaczmarskiego. Powstała w Rosji w 2012 r. i zagrzewała do walki wrogów Putina. Osiem lat później z inicjatywy Cichanouskiego pieśń zaktualizowano o kontekst białoruski, dodając zwrotkę o tym, że mury stoją od 26 lat (tyle rządził wówczas Łukaszenka), ale jeśli popchnąć ramieniem, to „runą, runą, runą i karalucha zmieciemy". W takiej wersji pieśń śpiewano najpierw na wiecach Siarhieja, a następnie Swiatłany.

22 czerwca Cichanouskiego i 13 innych więźniów politycznych, zakutych w kajdanki, w workach na głowach, funkcjonariusze służb Łukaszenki załadowali do autobusu i wywieźli w nieznanym im kierunku. Jak się okazało, na Litwę

Łukaszenkę do karalucha porównała kiedyś Ludmiła Boriejko, starsza kobieta, uczestniczka jednego z wieców Cichanouskiego. Na antenie vloga opozycjonisty stwierdziła, że białoruski dyktator przypomina jej tytułowego bohatera z bajki Kornieja Czukowskiego pt. „Karaluszysko" – „wąsatego karalucha" budzącego strach. Bajka bywała interpretowana (raczej błędnie) jako satyra na Stalina. Dla białoruskiej opozycji skojarzenie z „Baćką" stało się oczywiste. Sympatycy Cichanouskiego (a potem Cichanouskiej) przychodzili na pikiety z laczkami, które stały się komicznym (choć dehumanizującym) symbolem walki z „wąsatym karaluchem".

A gdy Łukaszenka po sfałszowanych wyborach ogłosił swoje rzekomo miażdżące zwycięstwo, opozycja zaczęła pogardliwie nazywać go „Sasza 3 proc.", dając do zrozumienia, że właśnie taki w rzeczywistości uzyskał wynik. Oczywiście tego typu głosy były równie absurdalne, co oficjalne 80,1 proc., podane przez komisję wyborczą.

ZBLIŻENIE TRUMPA I ŁUKASZENKI

Tak czy inaczej, choć masowe demonstracje 2020 r. miały jednoznacznie pokojowy charakter, to jednak stosunek opozycji do dyktatora był bezkompromisowy. Cichanouski był nieprzejednanym wrogiem politycznym Łukaszenki. A jednak „Baćka" zdecydował się go po pięciu latach odsiadki wypuścić. Przede wszystkim jest to zasługa Amerykanów. O ułaskawieniu 14 opozycjonistów przez Łukaszenkę Mińsk poinformował po wizycie w Mińsku specjalnego wysłannika prezydenta USA do spraw Ukrainy Keitha Kellogga. Towarzyszyli mu jego zastępca John Cole oraz odpowiedzialny w Departamencie Stanu za problematykę białoruską Christopher Smith. Tematami rozmów, według komunikatu strony białoruskiej, były uregulowanie „konfliktu ukraińskiego", sankcje zachodnie wobec Białorusi, sytuacja na Bliskim Wschodzie oraz stosunku Mińska z Moskwą i Pekinem.

To część większego układu między Donaldem Trumpem a Łukaszenką. W styczniu tego roku z białoruskiego więzienia niespodziewanie została uwolniona obywatelka USA białoruskiego pochodzenia Anastazja Nufer. W lutym – po przyjeździe Christophera Smitha do Mińska – wypuszczono nieznanego z nazwiska Amerykanina oraz byłego pracownika białoruskiej redakcji Radia Swoboda, Andreja Kuznieczyka. Pod

eprasa.pl 7bcb357858

koniec kwietnia wolność uzyskał więzień polityczny Juraś Ziankowicz, legitymujący się podwójnym – amerykańskim oraz białoruskim – obywatelstwem. Do Mińska przyjechał po niego sam John Cole. Zbliżenie Trumpa i Łukaszenki trwa zatem już od kilku miesięcy.

Białoruski dyktator wielokrotnie chwalił publicznie amerykańskiego prezydenta. Otwarcie cieszył się z jego powrotu do Białego Domu. Widział w nim kogoś, z kim może porozmawiać „jak silny przywódca z silnym przywódcą". Jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało, nie tylko Trump był potrzebny Łukaszence, lecz także Łukaszenka Trumpowi. Na razie prezydentura tego ostatniego w wymiarze polityki zagranicznej jest pasmem porażek. Trump ewidentnie nie radzi sobie w swojej ulubionej roli rozjemcy – zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i na Ukrainie. Potrzebuje dyplomatycznego sukcesu. Obok dążeń pokojowych Trump stawia sobie również za cel wyciąganie obywateli USA z więzień za granicą. Łukaszenka w realizacji tego celu chętnie pomógł. A dodatkowo, w „bonusie", uwolnił znanych opozycjonistów.

Obaj przywódcy zyskują. Trump może się pochwalić sukcesem na rynku wewnętrznym, udowodnić, że skutecznie broni swoich rodaków, a zarazem wreszcie pokazać jakąś sprawczość w polityce zagranicznej. Doskonale zdaje sobie też sprawę ze znaczenia Białorusi w kontekście wojny na Ukrainie. Dobre kontakty z Łukaszenką mogą pomóc uratować resztki nadziei na upragniony sukces w postaci doprowadzenia do pokoju na Wschodzie. W końcu to w Mińsku podpisane zostały porozumienia po najostrzejszej fazie walk na Donbasie. Porozumienia dalece niedoskonałe. To jednak bez znaczenia – Trump potrzebuje, by dzięki niemu działa ucichły chociaż na chwilę. Choć Białoruś jest de iure państwem agresorem, to jednak utrzymuje z Ukrainą lepsze relacje niż Rosja i może potencjalnie pomóc w procesie pokojowym. Szczególnie że format stambulski się nie sprawdza – nad Bosforem Rosjanie imitują negocjacje, a poza wymianą jeńców realnych postępów nie widać.

Zakończenie wojny to marzenie Trumpa, a zakończenie wojny dzięki mediacji Łukaszenki to marzenie Łukaszenki, który w ten sposób mógłby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: przełamać izolację ze strony Zachodu i uzyskać lepszą pozycję w relacjach z Rosją. Krwawa rozprawa z protestami 2020 r., atak hybrydowy na Polskę w 2021 r. i współudział w inwazji na Ukrainę w 2022 r. – te wszystkie błędy Łukaszenki znacząco pogłębiły uzależnienie Białorusi od Rosji i presję sankcyjną ze strony UE i USA. „Baćka", chociaż mentalnie jest człowiekiem sowieckim, woli pozostać białoruskim dyktatorem niż gubernatorem jednego z rosyjskich obwodów. Łukaszenka nie chce być marionetką Putina. Jak zauważa niezależny białoruski politolog Alaksandr Kłaskouski, „Baćka" najwyraźniej tęskni za czasami, gdy balansował między Moskwą a Zachodem, udając mediatora. „I oto – Waszyngton wyciąga do niego rękę. Nic dziwnego, że autokrata chwyta tę okazję" – pisze Kłaskouski na portalu Vot Tak.

Jak wskazuje Kamil Kłysiński z Ośrodka Studiów Wschodnich, Mińsk przy okazji tradycyjnie próbuje rozgrywać różnice między państwami Zachodu. Już po wizycie Kelloga szef KGB Iwan Tertel udzielił wywiadu, w którym chwalił „dobrego Trumpa", gotowego do współpracy, ganił zaś „złą, niekonstruktywną UE". Celem Mińska wydaje się więc otwarcie na dialog jedynie z USA, względnie z Węgrami i ze Słowacją. Poza sprawami czysto wizerunkowymi, związanymi z przełamywaniem izolacji międzynarodowej, Łukaszenka liczy na zniesienie przez Waszyngton embarga na nawozy potasowe, które doprowadziło do spadku eksportu tego (strategicznego dla białoruskiej gospodarki) produktu o 40 do 60 proc. Węgry i Słowacja z kolei mogą pomóc Białorusi w złagodzeniu unijnych sankcji. Na Brukselę mogą również nacisnąć Amerykanie.

ŁUKASZENKA TRZYMA SIĘ MOCNO

Łukaszenka wypuścił więc na wolność swojego najzacieklejszego wroga, aby uzyskać konkretne korzyści w polityce zagranicznej. Przy czym z owych korzyści pewne są jedynie te wizerunkowe – bo nie wiadomo na razie, czy Amerykanie pomogą w zniesieniu sankcji unijnych ani czy sami zniosą swoje embargo. Po co więc dyktator tak wiele ryzykuje? Po pierwsze, nie ma zbyt wielkiego pola manewru. Cichanouski zapewne nie bez racji zauważył, że wystarczyłoby jedno słowo Trumpa, aby wszyscy więźniowie polityczni na Białorusi wyszli na wolność. Po drugie, łaska dyktatora może, paradoksalnie, pomóc mu w rozprawie z opozycją. Antyłukaszenkowska emigracja już wcześniej była podzielona i skłócona. A teraz dołącza do niej ambitny i energiczny działacz. Cichanouski zdążył już zapowiedzieć, że założy jednocześnie pięć kanałów na YouTube. Będzie kontynuować walkę z Łukaszenką. Zapewnił, że nie będzie kwestionować przywództwa swojej żony. „Liderem białoruskiej opozycji jest Swiatłana Cichanouska, moja żona" – stwierdził. I dodał: „Chyba że według was liderem staje się ten, kto pięć lat spędził w izolacji, a potem wyszedł. Jeśli tak, to mamy jeszcze 1,1 tys. takich liderów".

Alaksandr Łukaszenka wielokrotnie publicznie chwalił Donalda Trumpa. Otwarcie cieszył się z jego powrotu do Białego Domu

Jak będzie w rzeczywistości – nie wiadomo. Możliwe, że wypuszczając Cichanouskiego, Łukaszenka liczył na rozpętanie wojny domowej o władzę w szeregach swoich przeciwników. Nawet jeśli taki konflikt nie wybuchnie, nawet jeśli wczorajszy więzień polityczny skutecznie zjednoczy wokół siebie opozycję, to i tak, przebywając poza granicami kraju, pozostanie ona bez wpływu na sytuację na Białorusi. Przez pięć lat Cichanouska ani na krok nie przybliżyła się do obalenia Łukaszenki. Jej mąż zdaje się być o wiele lepszym materiałem na politycznego przywódcę, ale nawet on, otoczony nimbem męczennika, bez realnej siły militarnej, oparcia w społeczeństwie białoruskim i poparcia ze strony czy to USA, czy to Rosji (która na opozycjonistę przeciwko Łukaszence by nie postawiła), nie zagrozi dyktaturze. A przebywając za granicą, będzie jeszcze łatwiejszym celem propagandy Mińska jako „obcy agent". Tak czy inaczej, na Białorusi bez zmian – Łukaszenka trzyma się mocno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

Pasażerowie panoramicznych wagonów pociągów Bernina Express mogą po drodze podziwiać m.in. niezwykle malownicze Alpy

FOT. XINHUA/ABACA/PAP

Pociąg do Europy

Jacek Przybylski

Polscy podróżni mogą już wybrać się pociągiem do Chorwacji. Nowe połączenie z Warszawy do Rijeki może stanowić inspirację do poznania najpiękniejszych kolejowych szlaków Europy

W te wakacje PKP InterCity uruchomiło połączenie z Warszawy do Rijeki. Pociąg jeździ m.in. przez Włoszczowę, Zawiercie, Opoczno i Katowice. Granicę przekracza w okolicy Chałupek. Jedzie przez Czechy, Austrię (połączenie do Chorwacji jest bowiem wydłużonym wariantem międzynarodowego pociągu IC „Sobieski" z Warszawy do Wiednia) oraz Słowenię. Trasa liczy ok. 1240 km. Polski Adriatic Express powinien pokonać ją w 19 godzin i 58 minut. To czas planowy. Chorwackie trasy kolejowe są jednak często remontowane, co może niespodziewanie wydłużyć podróż.

Odjazd pierwszego pociągu w rozkładzie zaplanowano na 27 czerwca na godz. 14.05, a sprzedaż biletów ruszyła już 6 czerwca. Ceny biletów na pierwszy przejazd z Warszawy do Rijeki – kupowanych ze znacznym wyprzedzeniem – zaczynały się według przewoźnika od 193 zł. Gdy w zeszłą środę wieczorem próbowaliśmy kupić miejsce na najbliższy piątek (a więc zaledwie dwa dni wcześniej), najniższa cena biletu wynosiła 282,32 zł (opcja bezzwrotna). Ale już np. na 22 sierpnia można było kupić bilet normalny niemalże w reklamowanej cenie, czyli za 195,32 zł (opcja bezzwrotna). W tym przypadku dostępne były jeszcze kuszetki (od 391,07 zł).

Ekspres do Chorwacji może zabrać na pokład 172 pasażerów (można kupić miejsca siedzące lub sypialne). Teoretycznie przy zakupie biletu normalnego można wybrać, w jakiego typu wagonie chce się jechać. Teoretycznie… Można bowiem zaznaczyć przedział dla osoby z dzieckiem do lat sześciu lub miejsce dla „osoby z niepełnosprawnością". Mamy też do wyboru „wagon dowolny" lub „wagon przedziałowy". Nie znalazłem możliwości prostego wyboru wagonu bezprzedziałowego lub przedziałowego. Podróżny może też długo próbować klikać różne terminy, aby spróbować upolować bilet w klasie pierwszej. Za każdym razem zobaczy tylko, że opcja jest „niedostępna", ale ani razu nie otrzyma prosto napisanej informacji, że nie wynika to z braku miejsc i może już przestać klikać – po prostu połączenie z Warszawy do Rijeki nie oferuje pierwszej klasy (próżno jednak szukać tej wiadomości nawet w zakładkach „szczegóły", gdzie zarówno w opcji bezzwrotnej, jak i elastycznej pojawia się tylko informacja dotycząca zasad taryfowych).

eprasa.pl 7bcb357858

Popularna trasa widokowa Bernina Express łączy Chur, najstarsze miasto Szwajcarii, z Tirano we włoskiej Lombardii FOT. SWITZERLAND TOURISM

Pociąg nad Adriatyk ze stolicy Polski ma wyruszać cztery razy w tygodniu: we wtorki, w czwartki, piątki i niedziele. Połączenie powrotne PKP InterCity zaplanowało na poniedziałki, środy, piątki i niedziele. Próba zakupu biletu na wtorek 1 lipca kończyła się w zeszłym tygodniu informacją „brak ofert spełniających kryteria" (znów nikt podróżnego nie informuje, czy po prostu danego pociągu akurat tego dnia nie ma, choć miał jeździć we wtorki, czy może wszystkie miejsca zostały już wyprzedane). Słuszną linię ma nasza kolej – przecież jakby wszystko działało tak, żeby rezerwacja była prosta, szybka i przyjemna, to w tym wakacyjnym szale polski podróżny by się zapomniał i jeszcze by pomyślał, że to PKP InterCity jest dla klienta, a nie odwrotnie.

Ostatni kurs w tym roku z Warszawy zaplanowano na 29 sierpnia, a z Rijeki na 31 sierpnia. Pociąg z Warszawy do Rijeki ma być dopiero początkiem planu podbicia przez PKP europejskich torów. Istotnie ma wzrosnąć liczba połączeń do Budapesztu, Monachium czy Berlina. Minister infrastruktury Dariusz Klimczak zapowiedział także podjęcie działań ukierunkowanych na uruchomienie bezpośredniego połączenia kolejowego z Polski do Austrii i Włoch w sezonie narciarskim. Czy i kiedy pojedziemy polskim pociągiem do Grazu, Werony lub Mediolanu? Tego jeszcze nie wiadomo. Miłośnikom tej formy transportu już dziś polecamy za to najbardziej malownicze europejskie połączenia koleją.

Między włoskimi miejscowościami Levanto i La Spezia kursuje Cinque Terre Express FOT. ADOBE STOCK

PRZEZ ALPY DO PALM

Popularna trasa widokowa Bernina Express – wybudowana w latach 1908–1910 – łączy Chur, najstarsze miasto Szwajcarii, z Tirano we włoskiej Lombardii z okazałymi palmami na wyciągnięcie ręki. Po drodze w panoramicznych wagonach podziwiać można niezwykle malownicze Alpy. Podczas podróży o długości 144 km pociąg wąskotorowej Kolei Retyckiej przejeżdża przez 55 tuneli i pokonuje 196 mostów. Romantyczna podróż odbywa się po najwyżej położonych torach kolejowych w Europie. W najwyższym punkcie wagony wjeżdżają na wysokość aż 2253 m n.p.m. Na peronie znajdującej się na wysokości 2091 m n.p.m. stacji w szwajcarskim Alp Grüm postój trwa nieco dłużej, aby podróżni mogli zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia.

Podczas podróży, która w jedną stronę z Chur do Tirano zajmuje nieco ponad cztery i pół godziny, pasażerowie mogą podziwiać widoki ze słynnego wiaduktu Landwasser, oglądać lodowiec Morteratsch, Alpy Bergamskie czy Masyw Bernina. Wrażenie robią również m.in. piękne turkusowe jeziora (Lago Bianco, Lej Pitschen, Lej Nair), dolina Valposchiavo oraz słynny okrężny wiadukt Brusio. Podróżni mijają też zielone wąwozy z wodospadami i liczne lasy świerkowe. Nie bez powodu to kolejowe połączenie w roku 2008, czyli na stulecie istnienia, zostało wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Do wyboru są bilety na pierwszą i drugą klasę – można je rezerwować z rocznym wyprzedzeniem. Bilet w obie strony na całą trasę kosztuje w zależności od klasy wagonu i położenia w pociągu (wagony z tyłu są droższe) od 89 do 226 franków szwajcarskich za osobę (od 403 zł do 1022 zł). Dzieci poniżej szóstego roku życia podróżują bezpłatnie. Bilet w jedną stronę (bilet rezerwowany z zaledwie kilkudniowym wyprzedzeniem), kupowany w ramach oferty „last minute", można znaleźć nawet za 36 franków szwajcarskich (równowartość 163 zł) – podróżując z rodziną, trzeba jednak pamiętać, że czasem bilety na tę trasę są całkowicie wyprzedane albo na ostatnią chwilę dostępne jest jedynie jedno miejsce. Jest też opcja dla oszczędnych – tą samą trasą jeżdżą nie tylko pociągi z wagonami panoramicznymi, lecz także tradycyjne szwajcarskie składy w cenie ok. od 33 do 45 franków za podróż w jedną stronę z Chur do Tirano.

Niemal dwa razy dłużej niż Bernina Express, bo niemal osiem godzin, trwa podróż szwajcarskim Glacier Expressem. Pasażerowie podróżujący w panoramicznych wagonach pomiędzy miejscowościami Zermatt i St. Moritz dzięki wielkim przeszkleniom mogą oglądać alpejski krajobraz w całej okazałości. Podróż obejmuje przeprawę przez 291 mostów i 91 tuneli i daje mnóstwo okazji do robienia niezwykłych zdjęć (np. góry Matterhorn, która jest powszechnie uważana za najczęściej fotografowaną górę na świecie).

Osiem godzin trwa podróż szwajcarskim Glacier Expressem FOT. GLACIER EXPRESS AG

NORWESKIE FIORDY

Aby podziwiać w spokoju dziewiczą przyrodę oraz kunszt inżynierów kolejowych tras, warto też wybrać się w podróż pociągiem po norweskich szlakach. Wśród najsłynniejszych linii w Norwegii – uznawanych jednocześnie za jedne z najpiękniejszych na świecie – znajdują się m.in. Bergensbanen, Flåmbanen oraz Raumabanen. Pierwsza z nich, otwarta w roku 1909, zaczyna się w Oslo i biegnie do Bergen. Jest jednym z najwyżej położonych szlaków kolejowych, którego trasa wiedzie m.in. przez płaskowyż Hardangervidda, a także miejscowość Finse (to tu przez wiele tygodni twórcy „Gwiezdnych wojen" kręcili sceny z lodowej planety). Pokonanie niemal 500 km, w tym 182 tuneli oraz wielu mostów,

eprasa.pl 7bcb357858

zajmuje mniej więcej siedem godzin. Bilet w jedną stronę dla osoby dorosłej można kupić już za 639 norweskich koron (równowartość 230 zł).

Kontynuacją linii Bergensbanen jest trasa kolejowa Flåmbanen – zaliczana do najbardziej stromych na Starym Kontynencie. Pociąg wyrusza z niewielkiego miasteczka Flam brzegiem fiordu Aurlandsfjord. Podczas trwającej niecałą godzinę podróży można podziwiać nie tylko widok na fiord, lecz także na strome szczyty i spektakularne wodospady Rjoandefossen i Kjosfossen (latem pociąg zatrzymuje się przy nich, aby podróżni mogli zrobić sobie pamiątkowe selfie).

W Norwegii warto się też wybrać w podróż linią Raumabanen. Trasa o długości nieco ponad 114 km, biegnąca z Åndalsnes (górskiej stolicy Norwegii) do położonego na wysokości 659 m n.p.m. miasteczka Dombås, zyskała wśród turystów opinię jednej z najbardziej malowniczych w Europie. Podróż nowoczesnym pociągiem z dużymi panoramicznymi oknami zajmuje w zależności od wybranej opcji jedną godzinę lub godzinę i czterdzieści minut. Niezwykły kolejowy szlak pozwala nacieszyć wzrok widokiem potężnych gór (w tym majestatycznej Romsdalshorn), ostrych nagich szczytów, rwących rzek z krystalicznie czystą wodą z lodowców, spektakularnych wodospadów i porośniętych zielenią zboczy. Maszyniści pamiętają o tym, że każdy marzy o pięknym zdjęciu, przy najpiękniejszych krajobrazach mocno więc zwalniają. Robią również dłuższe przystanki zarówno przy słynnym moście Kylling (łącznie pociąg pokonuje 32 mosty), jak i przy Ścianie Trolli (Trollvegge), czyli najwyższej pionowej ścianie w Europie, która od podstawy do najwyższego punktu mierzy ok. 1200 m. Wrażenie robi również okrężny tunel wewnątrz góry. A wśród fanów Harry'ego Pottera również most, na którym kręcona była jedna ze scen filmu „Harry Potter i Książę Półkrwi".

CINQUE TERRE EXPRESS

Miłośnicy kolejowych podróży preferujący cieplejsze klimaty powinni wybrać się do Włoch. Wiele zwykłych tras może się tam spodobać, niezależnie od tego, czy za oknem widać morze, góry czy dymiącą dyskretnie Etnę.

Najpopularniejsza podróż włoską koleją nie trwa długo, ale gdy pociąg pokonuje trasę wzdłuż wybrzeża, przejeżdżając od jednej malowniczej wioski do drugiej, można się poczuć niemal tak, jakby wagony unosiły się na wodzie. Za oknami pociągu rozciągają się niezwykłe widoki na Riwierę Włoską – z jednej strony na mieniące się różnymi pastelowym kolorami wille, śródziemnomorską roślinność, gaje oliwne oraz rozległe winnice, a z drugiej na strome klify i promienie słońca, które odbijając się w turkusowych falach Morza Liguryjskiego, romantycznie migoczą. Z okien pociągu można podziwiać pięć najpiękniejszych wiosek rybackich na świecie. Są to Monterosso, Vernazza, Corniglia, Manarola oraz Riomaggiore. Wioski Cinque Terre od 1997 r. są wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Za szczególnie piękny uznawany jest krótki odcinek trasy pomiędzy Monterosso i Vernazzą. Konieczne trzeba zarezerwować miejsce przy oknie.

Od połowy marca do 2 listopada między miejscowościami Levanto i La Spezia kursuje Cinque Terre Express, który zatrzymuje się w każdej ze słynnych wiosek. Koszt biletu w jedną stronę wynosi zaledwie 5 euro. Długość trasy: 20 km. Można też rano szybko przegryźć focaccię i marząc o kolacji z owocami morza, wybrać się w dłuższą nadmorską podróż i kupić bilet np. z liguryjskiej Genui do toskańskiego Livorno.

PORTUGALSKIE WINNICE...

Miłośników cieplejszego klimatu urzeka również malownicza trasa kolejowa „Linha do Douro" biegnąca w północnej Portugalii. Jak wskazuje nazwa, ta popularna wśród turystów linia biegnie wzdłuż rzeki Douro. Przed oczami podróżujących z Porto do Pocinho rozciągają się widoki na niezwykłą dolinę, potężną rzekę i przepiękne winnice. Poza przyrodą zachwycają również małe, pomalowane na biało i niebiesko stacje kolejowe. Podróż w jedną stronę trwa mniej więcej trzy i pół godziny.

... I FRANCUSKIE PIRENEJE

Z kolei Francuzi dumni są ze słynnego Żółtego Pociągu, którego trasa biegnie z położonej na wysokości 427 m n.p.m. miejscowości Villefranche de Conflent do

Francuzi dumni są ze słynnego Żółtego Pociągu FOT. ADOBE STOCK

zbudowanej na wysokości 1232 m n.p.m. malutkiej mieściny Latour-de-Carol (gdzie znajduje się najwyżej położona stacja kolejowa we Francji). Trasa ma zaledwie 63 km długości. Podróż w kanarkowym wagonie od 115 lat daje pasażerom okazję do podziwiania południowej części francuskich Pirenejów.

BAŁKAŃSKI CUD TECHNIKI

Podróżni, którzy dotrą pociągiem na Bałkany, mogą zainteresować się też malowniczą trasą, łączącą nadmorskie, czarnogórskie miasta Bar ze stolicą Serbii: Belgradem. Na trasie o długości 476 km pociąg pokonuje aż 254 tunele i 435 mostów oraz wiaduktów, w tym spektakularny most Mala Rijeka o długości 498,8 m, który wznosi się na wysokość 198 m nad doliną rzeki Mala Rijeka w Czarnogórze.

Pięknych kolejowych tras tylko w Europie jest tak wiele, że można im poświęcić specjalne wydanie tygodnika. Czytelników zachęconych tym tekstem do podróży pociągami pozostaje więc namówić do odnajdywania wielu innych malowniczych tras w Słowenii, Grecji, we Włoszech, w Hiszpanii, Szkocji, Szwecji czy Danii. Warto też spojrzeć przez okno w wagonie na polskie zamki i rodzime krajobrazy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W Norwegii warto się wybrać w podróż linią Raumabanen FOT. SJ NORGE

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. TVC NEWS NIGERIA/YOUTUBE

CZYNNIK ROZPRASZAJĄCY

Na Uniwersytecie Olabisi Onabanjo w Nigerii studentki przystępujące do egzaminu są sprawdzane, czy mają na sobie biustonosze. Pracownice uczelni dotykają klatek piersiowych studentek ustawionych w kolejce na salę egzaminacyjną. Jeden ze studentów, broniąc tej praktyki, stwierdził, że chodzi o przestrzeganie uniwersyteckiego dress code'u, który zakłada, że garderoba nie może być czynnikiem rozpraszającym.

KRADZIEŻ WESELNA

Okazja czyni złodzieja. Może nią być wesele. Tak się stało w Singapurze, gdzie radość nowożeńców przerodziła się w konsternację. Z ich przyjęcia ślubnego skradziono kopertę z pokaźną kwotą pieniędzy (o równowartości 39 tys. dol.). Sprawca przestępstwa został schwytany po tym, gdy mniejszą część łupu przehulał w jakiejś grze hazardowej. Człowiek ów bynajmniej nie był gościem wesela. Znał on po prostu plan hotelu, w którym odbywała się impreza.

WAKACYJNE WINO

Kieliszek wina podczas wakacji na Wyspach Kanaryjskich nie powinien stanowić problemu. A jednak bywa, że jest inaczej. Przekonała się o tym pewna kobieta, gdy do stolika, przy którym spożywała trunek, dosiadła się rodzina: dwoje dorosłych i troje dzieci. Matka dzieci powiedziała, że nie życzy sobie, żeby w ich obecności był spożywany alkohol. Adresatka tej uwagi nie dała jednak za wygraną. Skończyło się tym, że zamówiła butelkę wina i dwa kieliszki wódki. Wtedy rodzina opuściła stolik.

LUNCH CMENTARNY

Czy cmentarz może być miejscem spożywania lunchu? Okazuje się, że tak. W serwisie Reddit pewien człowiek wyznał, że taki ma właśnie zwyczaj, i opowiedział o związanych z tym perypetiach. Na co dzień pracuje w zgiełku, więc szuka w środku dnia odpoczynku tam, gdzie może być całkowicie sam. Stąd wybór cmentarza jako miejsca spożywania posiłku w godzinach pracy. Reakcje internautów na to wyznanie są skrajnie różne.

ZAMIESZKI NA PLAŻY

Upały nie tylko rozleniwiają ludzi, lecz także mogą być katalizatorem agresywnych zachowań. Tak w mediach intepretowane są wydarzenia na plaży Broadstairs w Wielkiej Brytanii, gdzie niedawno temperatura sięgnęła 30 st. C. Doszło tam do bójki dwóch mężczyzn. Przyglądało się jej ok. 100 gapiów, jednak zamiast próbować antagonistów rozdzielić, zagrzewali oni ich do dalszej walki. W rezultacie doszło do zamieszek z udziałem ok. 50 osób. Interweniowała policja. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Półgłówki i rządy maszyn

Sztuczna inteligencja nie tylko nas rozleniwia, lecz także wręcz ogłupia – to wniosek naukowców Instytutu Technologii w Massachusetts (MIT). Z ich badania wynika, że korzystanie z ChatGPT do pisania esejów zmniejsza zaangażowanie mózgu i prowadzi do spadku zdolności poznawczych. Użytkownicy z grupy stale korzystającej z AI osiągali gorsze wyniki „na poziomie neuronalnym, językowym i behawioralnym" od tych, którzy używali jedynie wyszukiwarek lub nie korzystali z żadnych technologicznych udogodnień.

To kolejne takie ostrzeżenie. W 2024 r. naukowcy z Uniwersytetu Monterrey w Meksyku dowodzili, że nadmierne poleganie na sztucznej inteligencji prowadzi do pogorszenia funkcji poznawczych (podobnie jak nieużywanie mięśni prowadzi do ich zaniku).

Tymczasem AI rewolucjonizuje już proces edukacji, stając się dla wielu uczniów „protezą poznawczą" (Falk Lieder ukuł ten termin w 2019 r.). Stopniowo ludzie będą więc coraz głupsi i mniej zdolni do krytycznej oceny treści dostarczanych przez algorytmy. To uzależni ich od maszyn. Efekt: AI będzie nie tylko wspierać te półgłówki w wykonywaniu zadań, lecz także podejmować za nich kluczowe decyzje.

Część globalnych „liderów" radzi, aby od razu przyuczać dzieci na hydraulików, murarzy czy elektryków, bo pracownicy umysłowi nikomu nie będą już potrzebni. Cała nadzieja w tym, że powstaną jednak elitarne akademie intelektualne, w których specjaliści spowalniać będą proces atrofii mózgu, szkoląc ze zdolności krytycznego myślenia, zachowania zdrowego rozsądku czy analizy informacji. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zielony Ład a wojna z Rosją

Gdyby to nie była tragedia, to byłaby to komedia. Ale jest tragedią, a trudno śmiać się z nieszczęścia, i to własnego.

Jak wiadomo, wojna Rosji i Ukrainy od jej zarania w dużej mierze polega na wzajemnych atakach na różnego rodzaju infrastrukturę – zwłaszcza wojskową i energetyczną. Niszczenie elektrowni stało się tam jednym z głównych sposobów gnębienia wroga – pozbawiania go dostępu do prądu i ogrzewania, a przy okazji psucia nastrojów obywateli, bo po ciemku i w zimnie o dobre nastroje niełatwo.

I Rosja, jak się zdaje, bije w tej dyscyplinie Ukrainę na głowę, głównie z powodu swojej rozległości i w związku z tym trudności w osiągnięciu celu, jakim byłby blackout Rosji. Ale i Moskwie nie udaje się doprowadzić do blackoutu Ukrainy, choć z pewnością jest tego celu bliższa od Kijowa, a własne generatory prądu to na Ukrainie od dawna widok powszechny.

Ale, jak się okazuje, nawet ta zmaltretowana przez Rosję energetyka Ukrainy ma się o tyleż lepiej w porównaniu ze zmaltretowaną przez unijny Zielony Ład energetyką Polski, że jak przychodzi co do czego, to nie Polska ratuje swoim prądem Ukrainę, lecz – przeciwnie – Ukraina ratuje swoim prądem Polskę. Tak było np. 2 czerwca, kiedy to ratunkiem dla nas okazał się awaryjny import prądu stamtąd.

„Mili Państwo – napisał na platformie X Jakub Wiech, ekspert do spraw energii i klimatu oraz wiceszef serwisu energetyka24.pl – sytuacja w naszej elektroenergetyce jest taka, że wczoraj ratowaliśmy się awaryjnym importem 200–400 MW z Ukrainy. Awaryjny import. Z Ukrainy. Państwa, gdzie trwa wojna". Bo też – jak się okazuje – czymże dla energetyki jest nawet krwawa wojna z Rosją w porównaniu z wojną totalną wypowiedzianą przez Brukselę systemom energetycznym państw Unii Europejskiej, w tym Polski? Wojną polegającą na niszczeniu stabilności i suwerenności tych systemów przez eliminowanie zapewniających je elektrowni opartych na węglu i zmuszaniu do zastępowania tych stabilnych źródeł energii niosącymi ze sobą niestabilność OZE – fotowoltaiką i wiatrakami. Co, jak widać także ostatnio, prowadzi do blackoutów – jak w Hiszpanii – czy po prostu niedoborów prądu w systemie – jak w Polsce.

Ale niech no tylko Ukraina (kiedyś, kiedyś) przystąpi do UE, to już ją zielonoładowcy z Brukseli tak przeczołgają, że się z rozumem nie pozbiera. Tak Ukraińcom dosolą gigantycznymi podwyżkami cen prądu i ogrzewania za emisję CO_2, a przy tym pozamykają im kopalnie węgla i elektrownie na węgiel i całą Ukrainę zastawią farmami fotowoltaicznymi i wiatrakowymi, że o prąd Ukraińcy będą musieli żebrać… w Moskwie? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Elity

Kiedy zdarza mi się użyć słowa „elita" w sensie czysto opisowym, spotykam się z protestami odbiorców, którzy oburzają się, że elit to już od dawna nie ma. Że wytępili nam je Niemcy i Rosjanie, a potem działający w imieniu tych ostatnich komuniści. Gdyby rozumieć pojęcie elity jako wartościujące – byłoby tak faktycznie. A jednak elity przecież są, jeżeli chcemy opisać polskie społeczeństwo z socjologicznego punkt widzenia. To ludzie, którzy trwają od dekad w aparacie władzy, obsadzają media, wysokie stanowiska w urzędach czy firmach.

Jakie są elity tak rozumiane, jak działają, jak powstały i jak manipulują dołami – o tym napisał Jerzy Karwelis w swojej nowej książce

Jakie są elity tak rozumiane, jak działają, jak powstały i jak manipulują dołami – o tym napisał Jerzy Karwelis w swojej nowej książce „Elity. Krótki przewodnik po polskich elitach". Nie jest to praca stricte naukowa – co zresztą jest jej zaletą, bo prawdopodobnie byłaby wtedy strawna tylko dla niewielkiej grupy naukowców – ale nie jest to też czysta publicystyka, oderwana od faktów i rzeczowej analizy. Karwelis zawsze dbał o faktograficzną podbudowę swoich rozważań i podobnie jest tym razem.

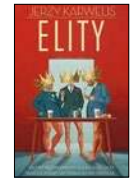

JERZY KARWELIS „ELITY" WYDAWNICTWO CAPITAL 2025

Biorąc pod lupę czy to kolejne grupy elit, czy sposoby ich oddziaływania na cały układ, autor uzupełnił wywody zgrabnymi diagramami, pozwalającymi łatwiej uchwycić, jak działa dana część mechanizmu. Problem w tym, że im dalej posuwamy się w lekturze, tym bardziej ponuro się robi. Gdyby przyjąć wizję Karwelisa – a przekonuje do niej bardzo skutecznie – trzeba by uznać, że nie tylko nie mamy elit prawdziwych, lecz także jest nawet gorzej: cały system nastawiony jest na to, żeby one nie powstały. Czy faktycznie jest tak źle? Coś buntuje się we mnie przeciwko takiemu widzeniu spraw, ale z drugiej strony, czytając m.in. o nieskutecznej batalii PiS o zmianę systemu, zakończonej ostatecznie wciągnięciem go przez ten system, nie mogę się z Karwelisem nie zgodzić.

Może teraz czas na kontynuację, znacznie trudniejszą do napisania: „Jak stworzyć prawdziwą elitę?". ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

Niemiecka maszynka do robienia pieniędzy

Jakub Wozinski

Niemal najszybciej rosnącą spółką głównych indeksów na świecie jest ostatnio niemiecka firma Rheinmetall AG, którą upatruje się jako przyszłego głównego beneficjenta europejskiego programu zbrojeń

Złośliwi komentatorzy zwracali jeszcze do niedawna uwagę na to, że największą spółką w Europie pozostawała duńska Novo Nordisk produkująca głównie leki na otyłość. Coraz bardziej zapóźnionemu względem światowej konkurencji Staremu Kontynentowi z pewnością nie przysparza to chluby, ale być może za kilka lat szczyty rankingów spółek o największej kapitalizacji będą zajmowały firmy zbrojeniowe.

Jeśli spełnią się złożone ostatnio zapowiedzi europejskie, to kraje NATO będą wydawały rocznie nawet 72 mld euro na zbrojenia. Swoją własną armię, o zgrozo, chce także posiadać Unia Europejska, której organy dążą na dodatek do zmuszenia wszystkich krajów członkowskich do składania zamówień jedynie u podmiotów z krajów wspólnoty.

TRZECI WYŚCIG ZBROJEŃ

Rynki finansowe odczytały płynący z tych zapowiedzi komunikat jednoznacznie. Gdy 4 marca Ursula von der Leyen ogłosiła wielki plan ReArm Europe (Remilitaryzacja Europy), wartości akcji niemieckiej firmy Rheinmetall, brytyjskiej BAE Systems, włoskiego Leonardo oraz francuskiego Thales wzrosły w ciągu jednego dnia aż o kilkanaście procent. Dwanaście europejskich spółek zbrojeniowych stało się ostatnio prawdziwymi ulubieńcami inwestorów, którym nie zaszkodziła nawet trwająca wojna handlowa z USA. W dłuższej perspektywie najbardziej imponujący wzrost odnotował Rheinmetall, który jest obecnie wyceniany na więcej niż nawet Volkswagen i który stał się piątą największą niemiecką firmą pod względem kapitalizacji.

Posiadająca swoją siedzibę w Düsseldorfie firma stoi przed szansą wzięcia udziału w trzecim już programie wielkich zbrojeń. Poprzednie nie przyniosły jej chluby, a obecnie planowany może ją silnie uwikłać w kontrowersyjny schemat sprowadzający się do odebrania suwerenności państwom członkowskim Unii. Pomimo tego kierownictwo Rheinmetall AG z ogromnym entuzjazmem podjęło plany eurokratów i aktywnie wspiera kampanię na rzecz utworzenia nowej, zmilitaryzowanej Euro-Rzeszy.

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. ADOBE STOCK

Założona w 1889 r. przez inżyniera Heinricha Erhardta firma niemal od samego początku rosła wraz z narzuconym przez cesarza Wilhelma II i niemieckie elity programem zbrojeń. Początkowo skupiała się na amunicji i działach polowych, lecz z czasem znacząco poszerzyła swoją ofertę m.in. o broń strzelecką. Pierwsza wojna światowa przyniosła ogromne zamówienia oraz wzrost zatrudnienia do nawet 50 tys. osób. Absolutnym liderem w zakresie kontraktów zbrojeniowych był wówczas Krupp, lecz Rheinmetall znalazł się już w czołówce grupy pościgowej.

Traktat wersalski narzucał Niemcom ścisłe ograniczenia związane z produkcją uzbrojenia. Firma z Düsseldorfu została zmuszona do tego, aby częściowo przestawić się na produkcję do celów cywilnych. W jej fabrykach produkowano przejściowo m.in. lokomotywy i różnego rodzaju maszyny. Kierownictwo spółki starannie obchodziło jednak zakazy, korzystając m.in. z pomocy partnerów ze Skandynawii. Gdy więc pełnię władzy przejął Adolf Hitler, produkcja mogła powrócić na dawne tory. Spółka przeniosła nawet w 1938 r. siedzibę do Berlina, aby być jak najbliżej ośrodka władzy, i realizowała ogromne kontrakty na karabiny maszynowe, armaty, moździerze czy działa przeciwpancerne. Szczególnie owocnie przebiegała współpraca z Hermann Göring Gewerke.

DRUGIE ZMARTWYCHWSTANIE

W czasie drugiej wojny światowej Rheinmetall była drugą co do wielkości firmą zbrojeniową III Rzeszy i tak jak większość niemieckich przedsiębiorstw korzystała z pracy przymusowych pracowników (m.in. w oddziale we Wrocławiu). Przegrana wojna sprawiła, że majątek firmy znalazł się zarówno w zachodnich strefach okupacyjnych, jak i w sowieckiej. Rosjanie wywieźli większość wyposażenia fabryk, które wpadły w ich ręce, lecz pozostająca pod nadzorem zachodnim cześć Rheinmetall dosłownie powtórzyła manewr z okresu po traktacie wersalskim. Tym razem okres uśpienia miał trwać nie kilkanaście lat, lecz kilkadziesiąt.

Przywracając swoją siedzibę do Düsseldorfu, Rheinmetall był w okresie powojennym ściśle podporządkowany władzom państwowym i okupacyjnym. Firma zaczęła produkować m.in. windy i maszyny wykorzystywane w transporcie. Powrót do dawnego modus operandi dokonał się już w 1955 r., gdy Amerykanie zgodzili się na utworzenie Bundeswehry. Niemiecki biznes miał udowodnić swoje przywiązanie do demokracji, wzmacniając siły zbrojne ściśle podporządkowane jankesom.

Problem polegał jednak na tym, że władze francuskie i amerykańskie przyzwoliły na to, aby druga co do wielkości firma zbrojeniowa z okresu nazistowskiego została przekazana w ręce… rodziny mocno uwikłanej w nazizm. Za namową Konrada Adenauera, usilnie promowanego jako kandydata na ołtarze Kościoła katolickiego, 56 proc. udziałów w Rheinmetall AG przejęła w 1956 r. rodzina Röchlingów. Zmarły zaledwie rok wcześniej Hermann Röchling był wpływowym członkiem NSDAP i właścicielem wielkiego koncernu przemysłowego. Po wojnie skazano go na więzienie m.in. za podżeganie do zajęcia Bałkanów i przejęcia tamtejszych fabryk, choć lista jego grzechów była zdecydowanie dłuższa.

Pod rządami Röchlingów Rheinmetall wznowił produkcję m.in. broni maszynowej i armat oraz stał się producentem dział dla czołgów Leopard (wygrywając później regularnie kontrakty na ich modernizację). Firma zaczęła wkrótce przejmować innych producentów broni z Wielkiej Brytanii i Holandii oraz realizować zamówienia dla armii z całego świata.

NOWI UDZIAŁOWCY

Tak jak większość rodów kontrolujących od dekad największe niemieckie przedsiębiorstwa Röchlingowie starali się zawsze trzymać nieco na uboczu. W 2004 r. postanowili jednak ostatecznie sprzedać znaczącą część swojego większościowego pakietu akcji przy pomocy banku Goldman Sachs. 42 proc. udziałów w firmie zostało w ten sposób nabytych przez wielu inwestorów instytucjonalnych i prywatnych, z których żaden nie posiada dziś więcej niż ok. 12 proc. Według danych zamieszczonych na stronie spółki najwięcej udziałów ma francuskie Societe Generale, a w dalszej kolejności firma inwestycyjna BlackRock oraz banki inwestycyjne Goldman Sachs i Morgan Stanley.

Jak jednak oczywiście wiadomo, wielkie firmy inwestycyjne w rodzaju BlackRock poprzez swoją rozbudowaną sieć udziałów w publicznie notowanych spółkach sprawują realnie większą kontrolę nad poszczególnymi firmami niż zwykłe podmioty. W przypadku Rheinmetall ma to ogromne znaczenie, ponieważ kanclerz RFN Friedrich Merz pracował wcześniej przez kilka lat w niemieckiej spółce należącej do giganta z Wall Street, przez co zyskał sobie nawet nad Renem przydomek Mr BlackRock.

Zyskawszy przed dwiema dekadami globalny akcjonariat, Rheinmetall stał się zdecydowanie bardziej globalnym graczem, przejmując kolejne firmy

eprasa.pl 7bcb357858

z USA, Hiszpanii czy Australii. W udany sposób wszedł w epokę cyfrową, rozwijając nowoczesne systemy łączności oraz zaangażował się w projekty związane z elektromobilnością. Wśród oferowanych przez firmę nowych produktów znalazły się m.in. pojazdy opancerzone Boxer i Lynx, które pozostają jednymi z głównych hitów sprzedażowych.

Ukoronowaniem wieloletniego rozwoju spółki z Düsseldorfu było włączenie jej w 2023 r. do głównego indeksu DAX na frankfurckiej giełdzie. Już wtedy było to spore wydarzenie, ponieważ w wydawałoby się tak bardzo zdemilitaryzowanych Niemczech firmy produkujące uzbrojenie miały teoretycznie bardzo utrudniony wstęp do grona korporacyjnej superelity. Oprócz Rheinmetall na prestiżowym indeksie znaleźć można tylko jedną firmę zajmującą się tak jak ona produkcją wojskową. Jest nią Airbus, który jednak znaczną część swojej działalności podporządkował celom cywilnym.

ZARABIANIE NA UKRAINIE

Współcześnie Rheinmetall zatrudnia nawet 33 tys. osób, na co znaczny wpływ mają wielkie kontrakty na produkcję amunicji artyleryjskiej dla Ukrainy, serwis czołgów Leopard oraz dostawy różnego rodzaju pojazdów opancerzonych. W czerwcu ubiegłego roku firma otworzyła nawet na Ukrainie we współpracy z Ukroboronpromem nowy zakład produkcyjno-naprawczy. Na etapie budowy znajduje się już drugi zakład, w którym ma być wytwarzany proch, a dość zaawansowane są plany budowy kolejnych dwóch.

W ubiegłym roku Rheinmetall odnotował rekordowe zyski, portfel zamówień wzrósł do 55 mld euro, a przychody spółki osiągnęły poziom 9,8 mld euro. Zarząd planuje nawet zwiększyć zatrudnienie o kolejne 8 tys. osób, choć i tak nie pobije jeszcze swojego rekordu z czasów pierwszej wojny światowej. Niedawno władze spółki ogłosiły, że do końca dekady portfel zamówień wzrośnie do 300 mld euro, a Rheinmetall będzie realizował kontrakty o wartości aż jednej czwartej wszystkich europejskich wydatków obronnych.

Po wielu dekadach lider niemieckiego przemysłu zbrojeniowego ma znów doskonałe warunki do rozwoju. Nie dziwi więc, że zarząd spółki stał się w ostatnich miesiącach tak bardzo zaangażowany w plany budowy unijnego federalnego superpaństwa. Prezes Armin Papperger udzielił w kwietniu 2024 r. wywiadu „Financial Times", w którym zaproponował, aby w Europie poszczególne państwa przestały preferować swoje własne firmy zbrojeniowe i korzystały z usług międzynarodowych grup zdolnych konkurować z amerykańskimi potentatami. Pomysł ten w zadziwiający sposób współgra z realizowaną przez Komisję Europejską inicjatywą na rzecz powtórnego uzbrojenia Europy. Zgodnie z zaprezentowanymi przez Ursulę von der Leyen planami przyszłą europejską armię miałyby dozbrajać namaszczone przez Brukselę międzynarodowe konsorcja korzystające obficie z 800 mld euro pozyskanych z emisji wspólnotowego długu.

W ubiegłym roku Rheinmetall odnotował rekordowe zyski, portfel zamówień wzrósł do 55 mld euro, a przychody spółki osiągnęły poziom 9,8 mld euro

Rheinmetall ma szansę załapać się na kontrakty finansowane z pieniędzy polskiego podatnika nie tylko w kontekście wielkich zamówień realizowanych pod nadzorem Brukseli. Ostatnio firma zawarła specjalne porozumienie z amerykańskim koncernem Lockheed Martin zakładające wspólną produkcję m.in. wyrzutni HIMARS czy też śmigłowców Apache, które przecież zostały zakupione przez Wojsko Polskie. Kontrakty te mają być realizowane przez specjalnie w tym celu wybudowaną fabrykę w Niemczech.

CZOŁGI ZAMIAST VOLKSWAGENÓW

Jakiś czas temu o prezesie zbrojeniowego potentata zrobiło się po raz kolejny głośno za sprawą planów, które przedstawił wspólnie z zarządem Volkswagena. Na wspólnej konferencji prasowej prezesi obu firm zadeklarowali 12 marca wolę współpracy przy przekształceniu jednej z fabryk zajmującej się do niedawna produkcją aut w montownię czołgów. W należącym do Volkswagena kompleksie zlokalizowanym w Osnabrück miałyby odtąd powstawać Leopardy 2 oraz pojazdy opancerzone Lynx. Firma z Wolfsburga została ostatnio zmuszona do zredukowania mocy produkcyjnych w Niemczech aż o połowę oraz do zamknięcia aż trzech zakładów. Podjęcie współpracy z Rheinmetall wymagałoby jednak przebudowy kosztującej setki milionów euro, dlatego niezbędna byłaby pomoc ze strony niemieckiego państwa. Szef koncernu zbrojeniowego stwierdził zaś, że projekt miałby szansę powodzenia, gdyby został rozpisany na co najmniej 10 lat i obejmował zamówienia na kilkaset pojazdów lub czołgów.

Tym samym liderzy niemieckiego biznesu wysłali do władz jasny sygnał, że są w stanie do pewnego stopnia ograniczyć upadek niemieckiego przemysłu, jeśli tylko będzie polityczna wola do tego, aby przestawić produkcję cywilną na wojskową. Niemieckie firmy motoryzacyjne, na czele z Volkswagenem, mają przecież długą tradycję produkcji na cele militarne, dlatego z pewnością świetnie odnalazłyby się w nowych realiach.

Rheinmetall przejawia ogromne ambicje, ale w perspektywie globalnej pozostaje wciąż graczem z drugiej ligi. Największymi producentami uzbrojenia na świecie są firmy amerykańskie, w dalszej kolejności chińskie. Gdyby jednak wielki plan eurokratów wypalił, firma z Düsseldorfu mogłaby liczyć na ogromny awans w światowej hierarchii. Rzecz jasna, niemiecki przemysł zbrojeniowy musiałby zapewne podzielić się zamówieniami z podmiotami z Francji, Włoch czy Wielkiej Brytanii (która pod rządami Partii Pracy coraz wyraźniej zgłasza chęć powrotu do Unii), ale głównym beneficjentem z pewnością okazałby się Rheinmetall.

W tym kontekście nie powinno dziwić to, że europejscy politycy są tak bardzo przeciwni zakończeniu wojny na Ukrainie oraz deklarują wolę finansowania wysiłku zbrojnego Kijowa bez żadnych ograniczeń czasowych. Trwający konflikt nie tylko dostarcza im idealnego pretekstu do utworzenia superpaństwa z niezależną od państw członkowskich armią, lecz także przekłada się na zauważalny rozwój europejskiego przemysłu zbrojeniowego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

FOT. JAP.

ŠKODA KODIAQ II IV

Niedźwiedź kodiacki, czyli kodiak, to obok niedźwiedzia polarnego największy żyjący drapieżnik lądowy. I to właśnie tym wielkim miśkiem – żyjącym na wyspie leżącej przy południowym wybrzeżu Alaski – inspirowali się twórcy nazwy wielkiego SUV-a czeskiej marki. Masywność i siła modelu, który na europejskich drogach zadebiutował w roku 2016, spodobały się tak wielu klientom, że koncern stworzył drugą generację niedźwiedziego przeboju.

Kodiaq II urósł (ma już 475,8 cm długości) i stał się bardziej elegancki. Wnętrze drugiej generacji nie tylko jest bowiem ergonomiczne, lecz także zostało wykończone ze starannością godną niemal samochodów klasy premium (dużo lepsza jest też w nowej generacji jakość użytych materiałów). Wygodne są zarówno przednie fotele, jak i tylna kanapa (pasażerowie z tyłu mają też możliwość samodzielnego sterowania klimatyzacją). Chociaż w kabinie dominuje 13-calowy ekran systemu multimedialnego, to Czesi nie zmuszają kierowców do obsługi każdej funkcji za pomocą kliknięć. Są też wygodne „inteligentne" pokrętła do obsługi klimatyzacji, głośności, trybu jazdy czy podgrzewania foteli, które przy okazji bardzo ciekawie unowocześniono (łączą wygodę manualnych pokręteł z malutkimi cyfrowymi wyświetlaczami). Jest też oczywiście bezprzewodowa obsługa Android Auto i Apple CarPlay.

Pod maską Kodiaqa II mogą znajdować się: jednostka wysokoprężna (2.0 TDI), silnik benzynowy (1.5 TSI lub 2.0 TSI) lub hybryda typu plug-in. I właśnie ten ostatni wariant, łączący silnik 1.5 TSI z silnikiem elektrycznym, zagościł na redakcyjnym parkingu. Napęd hybrydowy sprawia, że do dyspozycji są 204 KM. Maksymalny moment obrotowy to 350 Nm. Ważący niemal 1,9 t rodzinny SUV od zera do pierwszej setki rozpędza się w 8,4 s. Prędkość maksymalna wynosi 210 km/h.

Dzięki dużym akumulatorom (o pojemności 25,7 kWh) nowym kodiakiem można na co dzień podróżować niczym elektrykiem. Na jednym ładowaniu da się realnie zrobić ok. 90 km (według producenta zasięg tylko na prądzie wynosi 120 km). Średnie zużycie paliwa bez prądu w mieście, na trasie krajowej, ekspresówkach i autostradzie wyniosło 6,5 l/100 km. Nieźle! Na pochwałę zasługują również dobrze zestrojone zawieszenie oraz niezłe wyciszenie wnętrza.

Dużym minusem hybrydy jest to, że nie ma napędu 4 x 4, a jedynie na przednią oś. Na szczęście bagażnik jest bardzo duży nawet w wersji hybrydowej (jego pojemność wynosi 745 l – robi wrażenie, choć w wersji bez akumulatorów kufer ma aż 910 l pojemności).

Škoda Kodiaq II, jak na niedźwiedzia przystało, stanowczo broni swojego kawałka terytorium na zatłoczonym rynku SUV-ów. A robi to m.in. za pomocą rozsądnie skalkulowanego cennika. Najtańszy wariant potężnego, praktycznego rodzinnego auta można kupić za 170,1 tys. zł. Wariant PHEV zaczyna się od 199,5 tys. zł. ©℗

MOVA K30 MIX

Atrakcyjne wzornictwo, skuteczne mopowanie, funkcja samooczyszczania, niezła bateria, prosta obsługa oraz bardzo dobry stosunek ceny do jakości i możliwości – to największe zalety odkurzacza pionowego chińskiej marki Mova.

Nowocześnie wyglądający, biały K30 Mix to urządzenie typu trzy w jednym: łączy bowiem w sobie funkcje klasycznego odkurzacza z elektrycznym mopem, który w zestawie ma również ręczny odkurzacz do odkurzania kanapy, tapicerki etc.

Obsługa ważącego 3,98 kg urządzenia jest banalnie prosta. Wystarczy włączyć tryb automatyczny (do wyboru jest też Ultra, Max, Ssanie), aby zobaczyć, że testowany sprzęt świetnie radzi sobie z rozlaną kawą w kuchni, zaschniętymi plamami ketchupu czy śladami błota w korytarzu (w likwidowaniu zaschniętych plam pomaga wałek mopujący obracający się z prędkością 500 obr./min). Urządzenie do mycia używa zawsze czystej wody, a brudną odprowadza do osobnego pojemnika (pojemność zbiornika na świeżą wodę wynosi 600 ml, a na brudną 500 ml, z kolei odkurzacz ręczny ma zbiornik na kurz o pojemności 500 ml).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Testowany model dokładnie sprząta przy krawędziach. Przydatna jest też opcja ustawienia odkurzacza pod kątem 180 stopni – dzięki temu można posprzątać pod łóżkiem, stolikiem telewizyjnym etc. (wysokość odkurzacza wynosi 14 cm) bez potrzeby robienia tymczasowego przemeblowania. Tam, gdzie mieszkają futrzaki lub osoby z bujną czupryną, sprawdzi się też specjalny skrobak z zębami, który rozplątuje zaplątane w szczotkę włosy/sierść.

Bateria wystarcza na mniej więcej pół godziny pracy. Po sprzątaniu wystarczy opróżnić pojemnik z brudną wodą, uzupełnić go czystą, a następnie odstawić odkurzacz do stacji, która naładuje baterię, automatycznie wyczyści szczotki (przy użyciu czystej wody), a następnie cichutko wysuszy je powietrzem nagrzanym do 60 st. C.

Chociaż do mopowania podłóg ten model jest rewelacyjny, to jakość sprzątania na sucho jest przeciętna. Bez trudu poradzi sobie z kurzem na meblach, rozsypanymi na kanapie okruszkami czy sierścią na samochodowej tapicerce. Siła ssania na poziomie 18 000 Pa nie czyni jednak z tego modelu najpotężniejszej maszyny do odkurzania wysokich dywanów (choć w trybie ultramocnym daje sobie radę). Przydałoby się też oświetlenie LED.

Model K30 Mix debiutował w cenie 1749 zł, a obecnie kosztuje 1399 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 7bcb357858

W ojczystym mieście Adama Małysza

Letni widok na miasto Wisłę

FOT. ADOBE STOCK

Cezary Gmyz

Każdy, kto po Wiśle żegluje, musi się nauczyć – jak to się mówi w wodniackim żargonie – czytać rzekę. W miejscu, w którym jeszcze wczoraj była – jak to mawiają żeglarze – „stopa wody pod kilem", dziś może być mielizna. Jeśli popatrzymy na stare mapy, to ze zdumieniem możemy odkryć, że miasta położone kiedyś nad rzeką są dziś oddalone od niej o kilka kilometrów

Wisła jest na tyle niezwykłą rzeką, że nawet dokładnie nie wiadomo, jaka jest jej długość. Na ostatniej tablicy pokazującej kilometraż rzeki, jakieś 200 m przed ujściem, widnieje wartość 941. Jednak najczęściej podawana wartość to 1047 km, choć niektóre źródła podają również 1022. Zacznijmy od tej pierwszej wartości. Otóż kilometraż rzeki w tym przypadku nie jest liczony od źródeł, które znajdują na Baraniej Górze w Beskidach. Tutaj chodzi o Wisłę żeglowną, a za taką rzeka uchodzi od ujścia Przemszy na wysokości Oświęcimia. To właśnie punkt oznaczony cyfrą 0. Co ciekawe, wszystkie inne rzeki mają kilometraż liczony od ujścia i to właśnie w miejscu, gdzie rzeka uchodzi czy to do Bałtyku, czy to do innej rzeki, znajduje się punkt zerowy. No ale królowa czymś wyróżniać się musi. Więc jej bieg liczony jest z góry w dół rzeki.

RZEKA CIĄGLE SIĘ ZMIENIA

Co w takim razie z dwoma pozostałymi wartościami? Otóż 1022 to wartość podawana od dawna. Jednak najnowsze metody pozwoliły stwierdzić, że Wisła jest dłuższa, i dziś przyjmuje się wartość 1047. Skąd ta różnica? Otóż rzeka nie jest organizmem stałym, a już zwłaszcza tak wielka jak Wisła. Rzeka żyje i ciągle się zmienia. Wiedzą o tym doskonale ci, którzy po niej żeglują. Zdarza się, że znaki nawigacyjne, pokazujące, gdzie jest główny nurt, na niektórych odcinkach są zmieniane raz na dobę. Każdy, kto po Wiśle żegluje, musi się nauczyć – jak to się mówi w wodniackim żargonie – czytać rzekę. W miejscu, w którym jeszcze wczoraj była – jak to mawiają żeglarze – „stopa wody pod kilem", dziś może być mielizna. Jeśli popatrzymy na stare mapy, to ze zdumieniem możemy odkryć, że miasta położone kiedyś nad rzeką są dziś oddalone od niej o kilka kilometrów. Najlepiej widać to na przykładzie Czerska, gdzie zamek przed wiekami znajdował się nad samą rzeką. Większość warszawiaków nie ma pojęcia, że Jeziorko Czerniakowskie niemające dziś styczności z nurtem rzeki to pozostałość po wiślanym starorzeczu. Podobnie jak nie zastanawiają się nad tym, że Saska Kępa i Kępa Potocka były kiedyś wyspami oddzielonymi od stałego lądu rzecznym nurtem. Te zmiany widać też w Grudziądzu, gdzie nabrzeżne spichlerze są dziś odsunięte od rzeki lądem, a niegdyś tuż przy nich cumowały statki.

Jednak dziś chcielibyśmy wrócić do źródeł i opisać górny, nieżeglowny odcinek rzeki zwany Małą Wisłą. I tutaj też mamy problem z długością tego odcinka. Jedni uważają, że tym określeniem powinno się nazywać odcinek Wisły od miejsca, w którym łączą się ze sobą Biała i Czarna Wisełka, ciągnący się przez ok. 20 km, gdzie rzeka ma raczej charakter górskiego potoku. Ja jednak skłaniam się do przekonania panującego w regionie, że Mała Wisła ciągnie się jeszcze przez dalsze prawie 100 km aż do ujścia Przemszy, w którym znajduje się wspomniany punkt 0. Rzeczywiście na tym odcinku z wyjątkiem fragmentów, gdzie można próbować pływać tratwami czy kajakami, większymi jednostkami się nie da żeglować. Myliłby się jednak ktoś, kto twierdziłby, że wody te nie miały gospodarczego znaczenia, bo nie nadają się do transportu. Wręcz przeciwnie.

eprasa.pl 7bcb357858

Wisła już na tym odcinku była spławna, choć nie w sensie żeglowności. Rzeką spławiano bowiem drewno wyrębywane w beskidzkich lasach. Ale oprócz tego Wisła na tym i innych odcinkach ciężko pracowała. Trudno policzyć nawet, jak ciężko, bo dane się zmieniały. Mamy jednak informacje z nieodległej Żylicy wchodzącej w skład zlewiska Wisły. Na zaledwie 18-kilometrowym odcinku pracowało w szczytowym okresie aż 30 młynów. Na Wiśle na pewno było ich nie mniej, a dodatkowo rzeka zapewniała funkcjonowanie garbarni, kuźnic czy nawet słynnych zakładów kapeluszniczych w Skoczowie.

Jednak wróćmy teraz do źródeł, a konkretnie do miasta, które nazywa się dokładnie tak samo jak rzeka. Wisła to miejsce niezwykłe, bo w nim w niewielkiej odległości od siebie znajdują się rezydencje aż dwóch głów różnych państw. Pierwsza to pałacyk myśliwski Habsburgów. Pierwotnie znajdował się właśnie u źródeł Wisły na Baraniej Górze, a konkretnie na polanie Przysłop. Gościli tutaj aż dwaj cesarze – niemiecki Wilhelm II Hohenzollern oraz ostatni cesarz austriacki Karol Habsburg, choć jeszcze jako arcyksiążę. Atrakcją, która przyciągała tutaj koronowane głowy, było polowanie na głuszce. W międzywojniu obiekt został przekształcony w schronisko turystyczne. Po wojnie omal nie uległ zagładzie. Odgrywał bowiem rolę prowizorycznego hotelu robotniczego i chciano go rozebrać. Ostatecznie jednak Towarzystwo Miłośników Wisły się nim zaopiekowało i pałacyk przeniesiono do centrum Wisły, gdzie do dziś można go podziwiać.

STOLICA POLSKIEGO LUTERANIZMU

Choć pałacyk Habsburgów w stylu tyrolskim wart jest zobaczenia, to nie ukrywajmy, że specjalnie nie wyróżnia się od licznych tego typu budowli, które można oglądać w Austrii. Na tym tle naprawdę wielkie wrażenie robi rezydencja Prezydenta RP na Zadnim Groniu. Pierwotnie w tym miejscu znajdował się pałacyk myśliwski arcyksięcia cieszyńskiego Fryderyka Habsburga. Po upadku monarchii habsburskiej miejscowi górale doszczętnie go obrabowali. W roku 1927 Sejm Śląski podjął uchwałę, by pałacyk wyremontować i przeznaczyć go na rezydencję Prezydenta RP. Oddano go do użytku dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia, jednak już w nocy z niewyjaśnionych przyczyn został on strawiony przez ogień do fundamentów. Sejmik Śląski postanowił w tym miejscu wznieść zupełnie nowy obiekt. W ten sposób powstał jeden z najpiękniejszych zespołów architektonicznych w stylu polskiego modernizmu. Cały kompleks składający się z zamków Górnego i Dolnego oraz tzw. gajówki został zaprojektowany przez Adolfa Szyszko-Bohusza. Wnętrza projektowali zaś Andrzej Pronaszko i Włodzimierz Padlewski. Długi czas po wojnie obiekt ten nie istniał na mapach. Wypoczywali tutaj komunistyczni notable, począwszy od Bolesława Bieruta, a na Edwardzie Gierku skończywszy. Dopiero w roku 1981 obiekt zaczął być użytkowany jako ośrodek wypoczynkowy jednej ze śląskich kopalń. Jak można się domyślić, nie służyło mu to dobrze. Dopiero w roku 2002 z powrotem odzyskał status rezydencji głowy państwa. Jednak wymagał gruntownego remontu. I tutaj trzeba oddać sprawiedliwość Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, że za jego prezydentury obiekt z wielką pieczołowitością przywrócono do pierwotnej świetności. A na strychu odnaleziono część oryginalnych mebli według projektu Pronaszki. Zamek Górny można zwiedzać, kiedy nie jest użytkowany przez głowę państwa. Ale dobrze jest zrobić rezerwację przynajmniej tydzień wcześniej. Warto, bo nie codziennie można zobaczyć prezydencki salon kąpielowy czy gabinet używany przez prezydenta Ignacego Mościckiego. Z okien zaś widać sztuczne Jezioro Czerniańskie, czyli właśnie to miejsce, do którego wpływają wody Czarnej i Białej Wisełki.

Miasto Wisła jest wspaniałą bazą wypadową w Beskidy. Wiele osób przedkłada ją nad Zakopane czy Szklarską Porębę, ceniąc sobie większy spokój i mniejszy blichtr

Jednak nie tylko zamek jest godzien uwagi. Samo centrum Wisły jest również interesujące. Punkt centralny miasta stanowi rynek z ewangelicko-augsburskim kościołem pw. Apostołów Piotra i Pawła oraz plebanią. Oba obiekty są doskonale znane miłośnikom twórczości Jerzego Pilcha, który lwią część swojej literatury poświęcił rodzinnemu miastu. Warto pamiętać, że właśnie w Wiśle znajduje się nieoficjalna stolica polskiego luteranizmu. Ale jednak najbardziej znanym przedstawicielem tego wyznania z tego miasta pozostaje Adam Małysz, który w Wiśle ma nawet swoje muzeum. Nietrudno go zresztą spotkać w jego rodzinnym mieście. I co ważne, w odróżnieniu od wielu innych celebrytów sportu nigdy nie odmawia wspólnego zdjęcia czy autografu. W gruncie rzeczy nadal pozostał – jak to pisał Pilch – wiślańskim synkiem.

Warto też pamiętać, że przy tym samym rynku 3 maja 1946 r. odbyła się największa defilada Żołnierzy Wyklętych. Osobiście przyjmował ją słynny król Podbeskidzia Henryk Flamme „Bartek", który ze swoimi podkomendnymi zajął miasto. To wydarzenie ma również związek z królową polskich rzek, bo koncentrację oddziałów „Bartka" przed zajęciem miasta przeprowadzono na stokach Baraniej Góry, skąd tryskają źródła Białej i Czarnej Wisełki.

W Wiśle warto też zwiedzić willę Juliana Ochorowicza, zwaną Ochorowiczówką. Dziś mieści się w niej Muzeum Realizmu Magicznego. Sam Ochorowicz, który był najbardziej znanym polskim okultystą, mieszkał tutaj niespełna 10 lat, wyprowadzając się stąd w 1912 r. Budynek, w którym odbywały się seanse spirytystyczne, nie cieszył się dobrą sławą. Komuniści urządzili w nim mieszkania komunalne. Dopiero w roku 2014 zapadła decyzja, że należy obiekt wyremontować i ulokować w nim muzeum. Jednak w odróżnieniu od zamku niestety nie zachowało się prawie nic z oryginalnego wyposażenia wnętrz. Warto jednak obejrzeć galerię, w której zgromadzono m.in. prace Zdzisława Beksińskiego i Rafała Olbińskiego.

Wisła oferuje jednak o wiele więcej. Przede wszystkim jest wspaniałą bazą wypadową w Beskidy. Wiele osób przedkłada ją nad Zakopane czy Szklarską Porębę, ceniąc sobie większy spokój i mniejszy blichtr.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7bcb357858

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

W słońcu Hiszpanii

Gazpacho to andaluzyjski przysmak popularny na całym świecie – to tzw. zupa bez gotowania. Jej korzenie sięgają średniowiecza, pierwotnie przyrządzano ją na bazie oliwy, octu balsamicznego, chleba i warzyw. Potem, gdy do Europy trafiły pomidory i papryka, zupa ta zmieniła się i tradycyjnie do dziś przygotowujemy ją z pomidorów, ogórka zielonego i papryki, chociaż nie we wszystkich przepisach papryka jest dodawana.

Latem nie zawsze mamy ochotę stać przy kuchni i gotować ciepłe posiłki, więc ta propozycja będzie idealna dla miłośników zup. Taki hiszpański chłodnik przygotowywany z dojrzewających na słońcu pomidorów miałam okazję jeść podczas krótkiej wizyty u rodziny w Chicago. Kuchnia hiszpańska jest bardzo popularna w całej Ameryce, a jako że nasz gospodarz jest jej wielkim miłośnikiem, opanował przepis na gazpacho do perfekcji. Cały sekret zupy polega na precyzyjnym i bardzo drobnym pokrojeniu warzyw w kostkę, dodaniu dobrej oliwy z oliwek, a przede wszystkim octu balsamicznego. Sama nazwa zupy – „gazpacho" – pochodzi od łacińskiego słowa „gaspo", co oznacza małe kawałeczki. Hiszpanie do zagęszczenia zupy używają chleba posiekanego na mniejsze kawałki albo po prostu dodają aromatyczne grzanki z chleba podsmażone na oliwie. Zupa powinna być mocno schłodzona, a wręcz lodowata. Często dodaje się do niej kostki lodu, dzięki temu podawana na słońcu temperatura dania robi się idealna.

Hiszpanie urozmaicili swoją ulubioną zupę poprzez dodanie różnych składników, np. szynki serrano albo awokado i krewetek. Wersji jest oczywiście tyle, na ile pozwala fantazja kucharza. Cokolwiek by mówić, gazpacho podbiło nasze serca – jest wyjątkowo lekkie, aromatyczne i zdrowe, a jedząc je, mamy wrażenie, jakbyśmy spędzały czas w słońcu cudownie gorącej Hiszpanii.

Gazpacho

• 4 kromki chleba pszennego • 2 ząbki czosnku posiekanego lub przeciśniętego przez praskę • 4 zielone ogórki (długie, obrane i pokrojone w drobną kostkę) • 1 duża cebula (pokrojona w drobną kostkę) • 1 zielona papryka (pokrojona w drobną kostkę) • 2,5 kg soczystych jędrnych pomidorów obranych ze skórki i pokrojonych na drobne kawałki • 100 ml oliwy z oliwek • 2 łyżeczki soli • 2 łyżeczki czarnego pieprzu mielonego • 1 łyżeczka mielonej papryki • ¼ łyżeczki ostrej papryki cayenne • 1 łyżka soku z limonki lub sok z ½ cytryny • 2 łyżeczki octu winnego • świeża bazylia i pietruszka lub liście mięty

Warzywa przed krojeniem najlepiej schłodzić w lodówce. Dobra rada: pomidory możemy pokroić na drobne kawałki lub zblendować, następnie dodajemy wszystkie pokrojone składniki z przepisu. Doprawiamy przyprawami, mieszamy i schładzamy w lodówce. Pieczywo podsmażamy na patelni z każdej ze stron do zarumienienia. Podajemy razem z zupą. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zastrzyki młodości

Wydaje się, że operacje plastyczne stały się już czynnością tak banalną jak czyszczenie zębów u dentysty. W kręgu hollywoodzkim przynajmniej. A i u nas usteczka Kaczora Donalda widzi się tu i ówdzie. Jednak w tych sprawach Amerykanie wciąż wyprzedzają Polaków o parę długości.

W centrum światowej myśli naukowej – Dolinie Krzemowej – starzenie się uważane jest za anomalię. Wadę, którą należy naprawić jak błąd w systemie. To kraina ludzi żyjących daleko od tradycyjnych instytucji, od rodzin, Kościołów i wszystkich struktur, które zazwyczaj pomagają reszcie populacji zaakceptować śmierć. W tym wszechświecie panuje duchowość „posttradycyjna". Starzenie się i śmierć są postrzegane jako problemy, które można rozwiązać dzięki postępowi technologicznemu.

Oto najnowszy Święty Graal w tym świecie: osocze krwi. Z laboratoriów trafiło do luksusowych klinik. Celebryci ulegli wezwaniu osocza. Orlando Bloom poddał się zabiegowi, podczas którego pobrano jego krew, oddzielono czerwone krwinki od osocza za pomocą maszyny, która następnie „oczyściła" osocze, usuwając toksyny. Ostatecznie jego „czystą" krew wstrzyknięto z powrotem do jego ciała.

Badania wartości krwi nie są nowe. W 1864 r. francuski przyrodnik Paul Bert połączył krew starej myszy z krwią młodej. Doświadczenie to w dzienniku „Le Figaro" skomentował prof. Miroslav Radman, biolog komórkowy i autor książki „The Immortality Code". Oznajmił on, że zaobserwowano, iż stara mysz stopniowo stawała się młodsza, poprawiły się jej zwinność, zdolności umysłowe, stan skóry i sierści, a nawet połączenia nerwowe były liczniejsze.

Dolina Krzemowa nie lubi czekać. Testuje, inwestuje i komercjalizuje. Kalifornijski start-up Ambrosia założony w 2016 r. przez Jesse Karmazina, przedsiębiorcę i absolwenta Uniwersytetu Stanforda, oferował transfuzje osocza młodej krwi za kwotę od 8 tys. do 12 tys. dol. za litr. Te oferty zyskały znaczny rozgłos medialny, jednak FDA (Food and Drug Administration – agencja regulacyjna do spraw leków w USA) zabroniła dalszej działalności na tym polu.

W 2020 r. Médéric Alzheimer Foundation opublikowała komunikat, w którym stwierdziła, że transfuzje osocza nie opóźniają efektów starzenia się ani choroby Alzheimera. W komunikacie tym można przeczytać: „Żadne poważne badanie nie wykazało skuteczności tych transfuzji w spowalnianiu starzenia się u ludzi. Etycznie byłoby to bardzo skomplikowane do udowodnienia". A dalej pada zdanie: „Nie wiemy wszystkiego, co zawiera osocze. Może ono przenosić szkodliwe elementy, takie jak wirusy". ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Bye-bye, nasza bomba

Gdyby brać na poważnie argumenty Izraela, a także USA, że wojna z Iranem ma cel zapobiegawczy, czyli niedopuszczenie do wejścia w posiadanie broni atomowej przez Iran, który na Zachodzie robi za czarnego luda, trzeba się zastanowić nad wieloma zagadnieniami krążącymi w polskim komentariacie geopolitycznym. Bo skoro taka reakcja, z taką argumentacją, w dodatku nietrzymającą się prawa międzynarodowego, wchodzi w grę, to znaczy, że albo mamy do czynienia z podwójnymi standardami, albo zmienił się tzw. paradygmat działań międzynarodowych i trzeba się z tym albo zmierzyć, albo odwrócić wzrok, udając, że nic się nie stało.

No bo dlaczego np. taki Iran mieć bomby atomowej nie może, a Izrael, to i owszem? Zwłaszcza że na użytek międzynarodowy Izrael takiej bomby nie ma, a na użytek strategii odstraszania – ma. I wszyscy wiedzą, że Izrael takie bomby posiada i jakoś nikt nad Izrael nie leci z bombowcami. A że Iran to taki agresywny jest, to dlatego tam polecą nie tylko wojska IDF, lecz także Amerykanie? A co to? Izrael robi w tym regionie za gołąbka pokoju czy jednak agresora, który od dziesięcioleci realizuje strategię „Clean Break", która oznacza, że Izrael będzie, czując się zagrożony… atakował swoich sąsiadów i doprowadzał ich kraje do poziomu „państw upadłych"? Jemu wolno, a reszcie nie.

To poziom międzynarodowy, ale reakcja – zwłaszcza USA – na podejrzenia wobec Iranu o dochodzenie do militarnego atomu pokazuje nam również nasze miejsce w szeregu. Pełno przecież u nas debat na temat polskiej proliferacji, nuclear sharing, państwa progowego, które ma mieć rozmontowane części składowe do bomby, a może je poskładać w razie „W". Przecież o to podejrzewany jest Iran i widzimy, co z takimi podejrzeniami robią mocarstwa, byleby tylko powzięły mniej lub bardziej zasadne podejrzenia, że ktoś chce się na skróty dostać do pierwszej ligi atomowej. Przypadek Iranu pokazuje nam, że polski militarny atom to marzenie ściętej głowy. Nie pozwolą. Przecież taka Rosja, tak jak USA w przypadku Iranu, od razu poczuje się zagrożona, a Trump to zrozumie, gdyż sam – jak mówi – tak się poczuł.

A więc wszyscy ci autorzy książek o „naszej bombie" od czasu ataku na Iran piszą już tylko beletrystykę. Skoro widać, jak takie plany karzą mocarstwa, to trzeba porzucić wszelkie marzenia, panowie. I rzeczywiście odnotować prymat strategii faktów dokonanych nad porządkiem międzynarodowym, który staje się powoli historycznym zapisem naiwnych marzeń o końcu historii. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Big Pharma kontratakuje

Pamiętam rozpromienionego Bartosza Chmielowca, rzecznika praw pacjentów, który 11 lutego 2022 r., po badaniach prowadzonych przez prof. Adama Barczyka nad działaniem amantadyny w zwalczaniu COVID-19, ogłosił, że nie potwierdzono skuteczności leku. W ślad za tym jego urząd rozpoczął nękanie lekarzy przepisujących chlorowodorek amantadyny pacjentom z objawami tej choroby. Konkluzje konferencji Chmielowca nie tylko były sprzeczne z doświadczeniem setek tysięcy, a może milionów Polaków, którzy omijając oficjalne wytyczne, leczyli się amantadyną, lecz także rozmijały się z innymi badaniami. Kilka miesięcy później zespół prof. Konrada Rejdaka w Lublinie wykazał skuteczne działanie leku, ale ogłoszenie wyników tych badań przeszło właściwie bez echa. Chmielowiec do nich już się nie odniósł, bo musiałby zakwestionować oficjalną narrację, że jedynym remedium na strasznego wirusa jest przyjmowanie kolejnych dawek szczepionki.

Zważywszy na skalę szkód pacjentów, spowodowanych niedostępnością systemu opieki zdrowotnej, w latach tzw. walki z pandemią (2020–2022), w tym ok. 200 tys. zgonów nadmiarowych i brak aktywności Rzecznika Praw Pacjenta w tej zasadniczej kwestii, można z całą stanowczością stwierdzić, że urząd reprezentowany przez Chmielowca jest instytucją fasadową. RPP nie reprezentuje interesów pacjentów.

Dziś pod pretekstem dbałości o lepszą ochronę pacjentów przed „pseudomedycznymi praktykami", które mogą szkodzić zdrowiu, rząd przygotowuje ustawę zwaną „lex szarlatan". Chodzi o zmianę ustawy o prawach pacjenta i RPP, która rozszerza uprawnienia rzecznika, nam zaś ogranicza prawo do naturalnej medycyny i wyboru metody dbania o zdrowie. Pod pozorem zwalczania oszustów medycznych eliminuje wszystkich tych, którzy funkcjonują poza tzw. systemem. Wprowadza drakońskie kary – do miliona złotych – które mają na celu praktyczną eliminację niezależnych lekarzy, terapeutów, dietetyków. Grozi nam zatem zakaz działalności specjalistów naturalnych metod (np. ziołolecznictwa), ponieważ zostaną one arbitralnie uznane za „niepotwierdzone naukowo". Nowe prawo jest sprzeczne z zasadą świadomej zgody. Ponadto stosuje nieprecyzyjne, nieostre pojęcia i słownictwo, zostawiając pole interpretacji organom, które – jak widać na przykładzie procesów lekarzy kwestionujących oficjalną politykę wobec pandemii – mogą działać w złej wierze.

Jeszcze do 16 lipca można wziąć udział w konsultacjach, wysyłając swoje stanowisko na adres: konsultacjeds@mz.gov.pl. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ludzie nie ufają bankom

Taki niby mądry jestem, a pojęcia nie mam, co myśleć o rączym Giertychu. Stop. Czy to nie jest aby agent PiS-owski? Stop. Poszedł mianowicie do Moniki Olejnik i zaczął opowiadać, że Wojciech Olszański, pseudonim Jaszczur, czyli Kamrat, czyli człowiek w furażerce, czyli człowiek, który potrafi wypowiedzieć zdanie bez czterech przekleństw, ale tego nie nadużywa, sfałszował wybory, wprowadzając swoich ludzi do komisji wyborczych. Stop. Przecież jak ktoś go oglądał w Internecie, jak Jaszczur siedzi obok spokojnego Ludwiczka, to do głowy by mu nie przyszło, że ów duet byłby w stanie wyprowadzić w pole całe rządzone przez Platformę państwo. Stop. No normalnie kabaret, no jak? No luuudzie? Stop. Najkorzystniejszym wytłumaczeniem słów mecenasa Romana Giertycha dla samego Giertycha jest konstatacja, że normalnie wziął i zwariował. Czasy są ciężkie, każdemu może się dysk przegrzać…

Jeden z najweselszych polskich socjologów, prorządowy Radosław Markowski, podjął się próby wytłumaczenia, czemu kryminaliści w zakładach karnych głosowali na Trzaskowskiego, a nie na Nawrockiego. Stop. „Bo im też zależy na pewnego rodzaju praworządności” – powiedział. Stop. Zgoda, aczkolwiek kluczem do zrozumienia jest sformułowanie „pewnego rodzaju”, coś w podobie Tuskowej „demokracji walczącej”, czyli żadnej tam demokracji. Stop.

Zaradni ludzie przestali ufać bankom. Stop. U podejrzanego o łapownictwo Stefana Ł., dyrektora Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami Targówek, znaleziono ponad 3,5 mln zł w gotówce. Oficjalnie zarabiał ponad 200 tys. zł rocznie. ZGN podlega burmistrzowi dzielnicy, a burmistrz – prezydentowi miasta Rafałowi Trzaskowskiemu. Stop. No i co? Zaradni ludzie przestali ufać bankom.

Sławosz Uznański-Wiśniewski jako drugi Polak poleciał w kosmos. Stop. I tu mała ciekawostka: lot ten umożliwił, podpisując odpowiednie dokumenty, PiS-owski minister Waldemar Buda jeszcze w 2022 r. Stop. Wtedy „Gazeta Wyborcza” piórem Piotra Cieślińskiego (przytaczam to nazwisko, bo nie warto pamiętać) napisała o głupiej rozrzutności rządu: „Płacimy ponad miliard złotych za wystrzelenie Polaka w kosmos. Zapachniało PRL-em”. Stop. Kiedy rządy się zmieniły, a sam Uznański został mężem posłanki Platformy Obywatelskiej Aleksandry Wiśniewskiej, optyka Cieślińskiego (nie warto) i samej „Wyborczej” diametralnie się zmieniła. Stop. Okazało się, że to prawdziwy sukces oraz duma i z tegoż samego pióra spłynęły: „NASA daje zielone światło. Jest nowy termin startu Polaka” czy „Drugi Polak leci w kosmos. Dzisiaj wreszcie startuje misja IGNIS”. Stop. Napisałbym, że to dziwne, ale to przecież podwładni Michnika… ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Deficyt pod parasolem

Powodów do narzekań nie mają w ostatnich latach światowi producenci broni. Jeśli wierzyć amerykańskim mediom, to sama tylko produkcja amunicji artyleryjskiej kalibru 155 mm rośnie ostatnio w tempie, który zadziwić mógłby najbardziej wydajnych stachanowców. Jeszcze na początku roku 2022 amunicji takiej produkowano w USA skromne 9 tys. miesięcznie. W roku bieżącym Amerykanie zamierzają wytwarzać co miesiąc aż 100 tys. sztuk amunicji tego kalibru, 10-krotnie powiększając produkcję od momentu wybuchu wojny na Ukrainie.

Produkcja systemów rakietowych nie rośnie niestety w równie imponującym tempie. Jeszcze w roku 2018 amerykańskie zakłady zbrojeniowe produkowały ok. 350 rakiet Patriot rocznie. Pomimo ogromnego zapotrzebowania, skutkującego wyczerpywaniem się nagromadzonych zapasów, produkcja takich rakiet rośnie stosunkowo powoli. Plany koncernu Lockheed Martin zakładają wyprodukowanie w roku 2027 jedynie 650 patriotów.

Trwająca już od trzech lat wojna na Ukrainie znacząco zmniejszyła amerykańskie zapasy uzbrojenia. Konflikt na Bliskim Wschodzie też nie poprawił sytuacji w tym względzie. Długotrwałe ostrzeliwanie Strefy Gazy, Libanu, Jemenu i Syrii uszczupliło rakietowe arsenały, zawsze szeroko otwarte dla izraelskiego sojusznika. Amerykańska interwencja przeciw jemeńskim Huti skończyć się miała dlatego, że bez większego efektu zużywała zasoby deficytowych systemów uzbrojenia. Sytuację pogorszył tylko atak Izraela na Iran. W prasie amerykańskiej pojawiły się przed kilkoma dniami informacje, że izraelskie zapasy rakiet przechwytujących bliskie są wyczerpania. Ma ich z trudem wystarczyć na tydzień intensywnej obrony. Jak przyznają Izraelczycy, nie docenili oni liczby i skuteczności irańskich rakiet balistycznych, a znacznie przecenili swoją „Żelazną Kopułę”.

„Im więcej dzieci w rodzinie, tym więcej zużywa się rózeg” – mawiał na kartach „Przygód dobrego wojaka Szwejka” niejaki dziadek Chovanec, który karcił wszystkie dzieci okolicznych rodzin i pobierał za to wynagrodzenie ryczałtowe. Prawda ta stanęła właśnie przed oczami naszego amerykańskiego sojusznika, który wydaje się nią niemile zaskoczony. Rózgi zaczynają się kończyć, a nieposłuszna dzieciarnia potrafi je zawczasu policzyć. Wieloletnia deindustrializacja USA nie daje się odwrócić z roku na rok, a masowej produkcji rakiet nie sposób, z wiadomych względów, przerzucić do Chin. Dla liczących na „przeciwrakietowy parasol” państw NATO powinien to być temat do poważnych refleksji. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Antidotum raspailensis

Ileż to wdzięcznych tematów na felieton podsuwa „bieżąca sytuacja społeczno-polityczna”?! Ot, chociażby analizy niezawodnych profesorów Markowskiego i Środy, którzy komentując wyniki wyborów prezydenckich, stale dostarczają dowodów na potwierdzenie słuszności diagnozy Chestertona, że świat intelektualistów dzieli się na tych, którzy mówią o rozumie, i na tych, którzy rozumu używają. Albo jak nie zadziwić się w świetle nieustających, silnych razem prób skręcenia wyników wyborów nad trafnością diagnozy sformułowanej przez urzędującego prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska podczas warszawskiego wiecu wyborczego Rafała Trzaskowskiego o tym, że „rządzą nami polityczni gangsterzy”. Skądinąd, czy pan premier nie jest tak zwyczajnie ciekawy, kto jest tym gangsterem (liczba pojedyncza?) w Radzie Ministrów, którą kieruje od 13 grudnia 2023 r.?

Jakże nie zadumać się nad drogą polityczną obecnego prezesa Rady Ministrów, która wiodła przez ugrupowania mające w swoich nazwach „wolność” i jakże zachęcająco brzmiące przymiotniki: „liberalny”, „demokratyczny”, „obywatelska”. A na końcu okazać się może, że wizytówką kierowanego przezeń rządu pełnego „gangsterów politycznych” (poważnie traktujmy publicznie wypowiedziane słowa szefa rządu!) są obraz matki zakutej w kajdanki od stóp do głów na pogrzebie swojego czteromiesięcznego dziecka oraz próby podważenia wyników demokratycznych wyborów.

Ludzie, których dopadnie kiedyś kara za sianie „mowy nienawiści” (po to m.in. jest potrzebne ponowne przeliczenie głosów „zabezpieczonych” przez samorządowców z uśmiechniętej Polski), mogliby oczywiście nienawistnie snuć analogie historyczne – jeszcze lepiej pasujące do drogi, którą przeszedł Adam Bodnar, od urzędu Rzecznika Praw Obywatelskich do prokuratora generalnego – i mogliby przypominać, że Maksymilian Robespierre, zanim bez pamięci zakochał się w Obywatelce Gilotynie, był w Stanach Generalnych zadeklarowanym przeciwnikiem kary śmierci.

Mogliby przypominać, że Maksymilian Robespierre, zanim bez pamięci zakochał się w Obywatelce Gilotynie, był w Stanach Generalnych zadeklarowanym przeciwnikiem kary śmierci

Po co o tym pisać, skoro tzw. komentariat już tymi tematami zajął się profesjonalnie i wszechstronnie? Dość wpłynąć na zerowe kanały, odwiedzić chatę polską, zmierzyć układ sił, nie obawiać się nowego ładu lub zapoznać się z zawartością otwartej konserwy. Nie mówiąc o bogactwie podcastów, gdzie naprawdę warto, a nawet trzeba rozmawiać.

Nie piszę więc o gier tych paskudnych zasięgu i ich celu zmierzającym do uderzenia w same podstawy wspólnoty politycznej. Nie piszę też o ściekach „czystej wody” wylewającej się z pozostających w likwidacji mediów publicznych. Najlepszym antidotum na tak „oczyszczoną” wodę jest krystaliczna czystość wielkiej literatury, która przynosi prawdziwe katharsis dla serca i umysłu. Tak jak powieści Jeana Raspaila, znakomitego francuskiego pisarza i podróżnika, którego 100. rocznica urodzin przypada 5 lipca.

Nikt tak jak on, autor „Siedmiu jeźdźców”, nie opowiadał o tych, którzy z „podniesionymi wysoko głowami opuszczali Miasto o zmroku przez Bramę Zachodnią, której nikt już nie strzegł”. Nikt tak jak on nie pisał metafizycznych thrillerów („Oczy Ireny”). Nikt tak jak on – no może z wyjątkiem autora „Przesłania Pana Cogito” – nie pisał o wierności trwającej przez wieki i pomimo wszystkich przeciwności. Bo – jak mówił w „Pierścieniu rybaka” ostatni z Benedyktów – „wierność nie jest być może celem samym w sobie i odmawiając paktowania, traci się po drodze wielu ludzi, ale po co się targować, gdy ma się prawdę?”.

Gdy w „czystej wodzie” co rusz pławią się zdemaskowani gangsterzy polityczni wynoszeni pod niebiosa przez rozmaitych arcykapłanów propagandy (copyright by Krzysztof Stanowski), gdy pod pozorem promowania równości promuje się na ulicach stolicy satanizm, jak łyk krystalicznej wody smakują słowa wypowiedziane przez jednego z bohaterów powieści „Sire” Jeana Raspaila: „Prawo Boskie jest jak wiecznie bijące źródło. Nie podlega ono ludzkiej władzy i jest tylko przekazywane przez tych, których Bóg wybrał. Nie może przestać obowiązywać, nigdy nie przestało i nigdy nie przestanie. Można uciąć głowy królom, wypędzić ich, zapomnieć o nich, ale prawo Boskie trwa dalej, jak niewyczerpana łaska, której skutki się nawarstwiają”. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

KRÓL

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

No Kings! (Żadnych królów!) – to nowe hasło skierowane przeciw polityce Trumpa w związku z masową deportacją nielegalnych imigrantów. Przeciwnicy deportacji mają też transparenty wulgarne, kierowane wobec policji i służby granicznej. Tych wulgarnych nie będę cytował.

Kto protestuje? Ci sami, którzy wcześniej machali transparentami BLM, antify, emblematami Hamasu, flagami palestyńskimi i ukraińskimi.

Kto te protesty wspiera finansowo? Soros, i nie kryje się z tym. W USA nie musi się kryć, bo nikt mu krzywdy nie zrobi. W USA prawo do protestu jest jasno zapisane w pierwszej poprawce do konstytucji. W USA wolno nawet palić i znieważać flagę USA, pod warunkiem że to twoja flaga, a nie ukradziona komuś innemu. Gdyby była kradziona, wówczas odpowiada się za zniszczenie cudzej własności, ale nie za znieważenie flagi jako takiej.

Niektóre zdjęcia z tych protestów można pomylić ze zdjęciami z Iranu, gdzie też pali się i depcze amerykańskie flagi.

***

No Kings!

Hm... Gdyby w Ameryce rzeczywiście panowała władza autorytarna, gdyby tu był jakiś król w sensie dosłownym lub przenośnym, wówczas wymachiwanie transparentem „No Kings!" byłoby niemożliwe. Tym bardziej niemożliwe byłyby palenie flagi oraz wiece, na których głowy Trumpa zrobione z gumy nadziane są na pal, a obok wisi napis zachęcający do zgilotynowania tego „króla".

W żadnym kraju europejskim nie są dozwolone tego typu protesty, gdzie ktoś nawołuje do oberżnięcia głowy urzędującemu prezydentowi. Na terenie krajów UE również flagi narodowe, a nawet ta szmata z symbolem unii są chronione i ich palić zakazano. Władze i przepisy w Unii są o wiele bardziej autorytarne niż w USA.

A gdyby ktoś w Chinach palił komunistyczną flagę komunistycznych Chin lub gdyby w Iranie nawoływał do obalenia dyktatury islamistów, wówczas władza rozprawi się z nim krwawo.

W Ameryce władza rozprawia się jedynie z atakiem bezpośrednim na funkcjonariuszy – za to cię wsadzą. Protestujący przeciw polityce „króla" Trumpa zrzucali kawałki betonu na głowy policjantów stojących pod wiaduktem, rzucali też w policjantów zamrożonymi butelkami z wodą „do picia" oraz podpalali policjantów za pomocą butelek z benzyną, czyli koktajli Mołotowa. Za to „król" kazał wsadzać do więzienia – za bezpośrednie ataki na funkcjonariuszy, w tym za naplucie im w twarz.

***

Również polskie media nazywają Trumpa „władcą autorytarnym". A co takiego robi Trump? Realizuje w sposób ścisły przepisy prawa. Prawo zostało uchwalone w sposób demokratyczny lata temu. Niektóre przepisy powstały, zanim Trump się urodził, niektóre przepisy są takie same jak w Europie – np. naruszenie nietykalności cielesnej policjanta… Trump wykonuje przepisy prawa. I nawet nie on sam – mianował ludzi i nakazał STOSOWAĆ SIĘ DO PRZEPISÓW, czego w epoce Bidena zaniechano.

W Polsce w epoce PiS i w obecnej epoce Tuska też zaniechano. Przepisy istnieją – dałoby się wsadzać do więzienia nielegalnych imigrantów oraz masowo ich deportować; dałoby się zamknąć granicę z Niemcami, a Niemcy to obecnie nasz największy wróg w ramach Unii. Wykorzystują swoje przepisy oraz przepisy unijne. Radiowozy niemieckiej policji bywają w Polsce bez zaproszenia, bo im wolno. Polskie służby mogłyby takie radiowozy zatrzymać lub nie wpuścić – na to też są przepisy. No ale niemieckie służby z istniejących przepisów korzystają, a Polska ze swoich przepisów nie korzysta. Zaniechanie.

Mała i słaba Słowenia stwierdziła, że ma gdzieś strefę Schengen – uchwaliła wprowadzenie kontroli na granicach.

***

A dlaczego polska policja nie podaje rysopisów przestępów? Nie podaje się narodowości, Gruzin, Ukrainiec, Wenezuelczyk, nie podaje się, że przestępcą był czarny lub ciapaty. Wszystko to wolno i powinno się podawać, bo to prowadzi do ujęcia przestępcy. Gdy przestępca wyróżnia się z tłumu tym, że jest czarny, podanie tej informacji ułatwi pogoń. Przepisy są. Niewykonywane, omijane, ignorowane.

W tym czasie szeryf z Florydy skierował proste i zgodne z przepisami słowa do uczestników agresywnych demonstracji „No Kings!":

- Nie podporządkujesz się poleceniom funkcjonariuszy – trafiasz do celi;
- Zablokujesz drogę – wylądujesz w więzieniu;
- Spróbujesz ucieczki – od razu do aresztu;
- Napaść na pojazd policyjny lub prywatny – kierowcy mają prawo się bronić, nawet jeśli to oznacza rozjechanie napastnika;
- Plucie na policjanta lub uderzenie go – najpierw wizyta w szpitalu, potem odsiadka.

Szeryf jasno postawił granice dotyczące formy protestu: Jeśli rzucicie czymkolwiek w stronę funkcjonariusza – cegłą, koktajlem Mołotowa – lub jeśli wyciągniecie broń, to wasze rodziny zostaną poinformowane, gdzie mogą odebrać wasze zwłoki. Zastrzelimy was na zimnego cmentarnego trupa.

A w Polsce prokuratura skierowała akt oskarżenia przeciw żołnierzowi, który oddał 12 strzałów ostrzegawczych do agresywnych imigrantów na granicy z Białorusią. Dwanaście ostrzegawczych! Przepis mówi o jednym ostrzegawczym, a gdy napastnik nie zrozumiał ostrzeżenia, kolejne powinny być obronne.

***

TV REPUBLIKA podaje dzień po dniu:

Migranci kręcą się w pobliżu miejsc zabaw dzieci. Robią im zdjęcia. W domach dziecka umieszczani są nastoletni migranci wśród cztero-, pięcioletnich dzieci.

Trzech Somalijczyków z Niemiec na ulicach miasta. Ksiądz z plebanii pytał, czy potrzebują pomocy. Odpowiedzieli, że nie, i wałęsają się po ulicach. Obecne prawo nie pozwala ich deportować – tako podano. Bzdura! Każdego można deportować.

Nadzy imigranci na ulicach Lublina, dwóch Etiopczyków, nie mieli dokumentów. Kolejnych trzech w Skierniewicach – nie wiadomo, ile mają lat, ktoś stwierdził na oko, że chyba 17, więc zostali zakwaterowani w domu dziecka. ©℗

eprasa.pl 7bcb357858

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

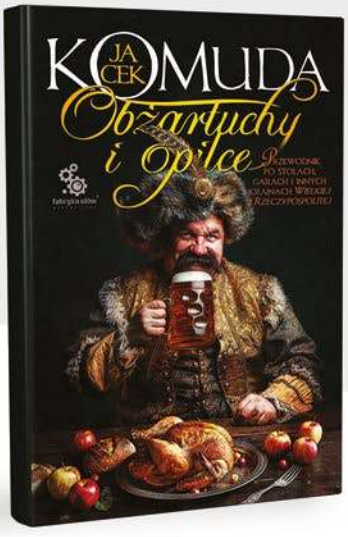

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~575~~ ZŁ

273,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 302 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7bcb357858

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

WAKACYJNE CUDA II RZECZYPOSPOLITEJ

Od Helu do Okopów św. Trójcy – Przedwojenna Polska była turystycznym rajem, oferując urlopowiczom przyrodnicze i kulturowe bogactwo

Automobilowe szaleństwo – Samochód był w II RP bardzo rzadkim widokiem. Tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na automobilowe wojaże po kurortach

Krucjata Morela – Młody Brytyjczyk uparł się, by nagłośnić zbrodnie dokonywane w Kongu przez władcę Belgii. Zorganizował kampanię społeczną, która pokrzyżowała jego plany

Polska królowa pędzla i palety – Olga Boznańska przez wielu znawców, a także zwykłych muzealnych oglądaczy uważana jest za najwybitniejszą polską malarkę wszech czasów

Jana Parandowskiego sztuka mimikry – Miano olimpijczyka przylgnęło do niego m.in. dlatego, że ten wybitny znawca antyku na gruncie piśmiennictwa polskiego zajmował pozycję bliską bogom na Olimpie

„Król" zagłębiowskich Żydów – Mojżesz Merin w czasie wojny niepodzielnie rządził żydowską społecznością Zagłębia. Wolną rękę dał mu w tym zakresie sam Heinrich Himmler

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7bcb357858